

VIP

VADMECUMINTERESUJĄCEJPROZY

MARTIN  
**AMIS**  
STRZAŁA CZASU



# Spis treści

## CZEŚĆ I

1 Co krąży, tu zdąży

2 Musisz być okrutny, żebyś był dobry

3 Jestem uzdrowicielem, więc wszystko, co robię, uzdrawia

## CZEŚĆ II

4 Każdy robi, co umie najlepiej, a nie to, co najlepsze

5 Tu nie ma żadnego „czemu”

6 Zero razy zero i tak da zero

7 Kocha, nie kocha

## CZEŚĆ III

8 Bo kaczki są tłuste

Posłowie

Martin Amis

Strzała czasu  
albo  
natura występku

(Time's Arrow)

Przełożył: Michał Kłobukowski



1997

# CZEŚĆ I

# 1

## Co krąży, tu zdąży

Ruszyłem naprzód, z najczarniejszego snu prosto między lekarzy... amerykańskich: czułem ich wigor, ledwie powściągany, jak obfite uwłosienie ich ciał; i srogi dotyk srogich dłoni - lekarskich, takich silnych, czystych, aromatycznych. Choć byłem już prawie sparaliżowany, okazało się, że mogę poruszyć oczami. W każdym razie jakoś się poruszyły. Lekarze chyba wykorzystywali mój bezruch. Rozmawiali - czułem to - o moim przypadku, lecz także o innych sprawach, o wolnym czasie, którego mieli w bród: o różnych swoich konikach i tak dalej. Wtem przyszła mi do głowy myśl, zaskakująco klarowna i niewątpliwa, w pełni ukształtowana, dojrzała: Jak ja nienawidzę lekarzy. Wszystkich. Wszelkich. Choćby ten żydowski kawał o staruszce, która biegnie brzegiem morza i krzyczy z rozpacz: *Ratunku! Mój syn lekarz tonie!* I to ma być śmieszne. Jej duma chyba rzeczywiście śmieszy: silniejsza od jej miłości. Ale czemu właśnie dumą napawają ludzi te dzieci z lekarskimi dyplomami (czemu nie wstydem, czemu nie pełną niedowierzania zgrozą?), za pan brat z bakcylami i trychinami, z bólem i cierpieniem, operujące wstrętnym słownictwem i równie wstrętnymi narzędziami (zakrwawiony fartuch gumowy na haku). Odźwierni życia. Czemu się tego podejmują?

Lekarze wokół mojego łóżka (oczywiście swobodnie ubrani, opaleni) promieniowali puchatą pewnością siebie - i jednomyślnością, jaką daje ostoja w grupie. W swojej sytuacji mogłem czuć się urażony tą bez troską. Lecz właśnie uspokajała

mnie nijakość tych lekarzy (sportsmenów, atletów, speców od wigoru) – zapewne skutek uboczny ich śmiertelnie poważnej pogoni za „dobrym życiem”. No cóż, lepsze dobre niż złe. Zmieści się w nim surfing, błogie frymarczenie przyszłością, łucznictwo, lotnia, wykwentne kolacje. Zanim się zbudziłem, śniło mi się... Nie, nie tak. Inaczej: nad ciemnością, z której się wyłoniłem, dominowała jakaś figura, sylwetka mężczyzny o absolutnie nieposkromionej aurze, nasyconej pięknem, przerażeniem, miłością, ohydą, a przede wszystkim mocą. Ta męska postać czy też esencja miała chyba na sobie biały płaszcz (śnieżnobiały kitel). I czarne buty z cholewami. A na ustach szczególny uśmiech. Mógł to właściwie być negatyw-zjawia lekarza numer jeden: jego czarnego dresu i przepotężnych pepegów oraz zadowolonej miny, z jaką wskazał palcem moją pierś, kręcąc głową. Czas płynął niedocieczonym nurtem, bo wypełniała go walka; łóżko wyglądało jak pułapka lub wilczy dół, zasłonięte sieciami, i było tak, jakby się wyruszało w straszną podróż do straszego sekretu. Czego mógłby ten sekret dotyczyć? Jego, właśnie jego: najgorszego człowieka w najgorszym miejscu i czasie. Wyraźnie nabierałem sił. Lekarze o ciężkich dłoniach i ciężkich oddechach przychodzili i odchodzili, podziwiając moje nowe charkoty i skowyty, co bardziej efektowne tiki, atletyczne skurcze. Często siadywała przy mnie pielęgniarka, sama jedna, i czarująco nade mną czuwała. Jej kremowy uniform szeleścił jak opakowanie, a ja wiedziałem, że mogę w tym dźwięku złożyć wszystkie swoje tęsknoty i całą ufność. Czułem się już bowiem zdecydowanie lepiej, po prostu tip-top. Jak nigdy. Najpierw w lewym boku (nagle), a potem w prawym (rozkosznie, ukradkiem) wróciło mi czucie i wszelkie jego uroki. Doczekałem się nawet pochwały z ust pielęgniarki, bo zręcznie wygiąłem grzbiet, i to prawie bez pomocy, kiedy robiła ten swój numer z basenem... W każdym razie leżałem

sobie w nastroju z cicha odświętnym, nie wiem jak długo, póki nie wybiła zła godzina i nie przyszli sanitariusze. Doktorów od golfa mogłem jakoś ścierpieć, a pielęgniarka miała same plusy. Ale sanitariusze dobrali się do mnie elektrycznością i powietrzem. Trzej. Bezceremonialni. Wpadli do sali, wbili mnie w ubranie i wynieśli na noszach do ogrodu. Tak jest. A później elektrodami jak słuchawki (białymi - rozgrzanyymi do białości) stuknęli w pierś. Zanim wreszcie sobie poszli, jeden mnie pocałował. Chyba nawet wiem, jak się taki zabieg nazywa: pocałunek życia. Potem musiałem pewnie zemdleć.

Kiedy oprzytomniałem, aż mi cmoknęło w uszach i zaraz ogarnęło mnie przepyszne osamotnienie, fala miłości i podziwu dla dużego, flegmatycznego ciała, w którym tkwiłem, tak zaprzątniętego sobą, obojętnego, ciała, które właśnie się pochylało nad klombem róż i wyciągało ręce do zwisającego pędu klematisu, żeby go zaczepić na drewnianej ścianie. To duże ciało dłużyło w ziemi umiejętnie, bez pośpiechu: owszem, zna się na tej robocie. Chciałem chwilę odpocząć, porządnie się rozejrzeć po ogrodzie - ale coś tu nie gra. Coś nie gra: ciało, w którym siedzę, nie jest posłuszne mojej woli. Rozejrzyj się, mówię mu. Ale jego szyja mnie ignoruje. Oczy mają własne plany. Czy to coś poważnego? Coś nam dolega? Nie wpadłem w popłoch. Zadowolilem się widzeniem peryferyjnym, najlepszą w końcu namiastką. Zobaczyłem skędzierzawioną florę, pikującą z góry na dół i drżącą: coś jakby pulsacja lub seria delikatnych eksplozji w skroni. I dookolną bladą zieleń, prążkowaną i inkrustowaną bladym światłem, w odcieniu... w odcieniu amerykańskich pieniędzy. Dłużyłem w ziemi, póki nie zaczęło się ściemniać. Cisnąłem narzędzia do komórki. Zaraz, zaraz. Czemu idę do domu tyłem? Zaraz. Czy to zmierzch nadciąga, czy świt? Jaka jest - jaki jest w tej mojej podróży szyk zdarzeń? Jakie

zasady? Czemu ptaki tak dziwnie śpiewają? I dokąd ja w ogóle zmierzam?

Jedno jest pewne: ustalił się pewien rytm. Chyba już z grubsza się połapałem.

Mieszkam w Ameryce, wśród sznurów do bielizny i skrzynek na listy, w Ameryce nieszkodliwej i dobrodusznej, w kraju barw podstawowych i koktajlu kultur, gdzie każdy lubi siebie i innych. Nazywam się oczywiście Tod Friendly. Tod T. Friendly - „Przyjazny”. Ależ tak, jestem, w „Zielonych Latach”, przy wejściu do „Hangaru Hanka” albo na trawniku przed białym ratuszem wypinam pierś, z rękami na biodrach, z miną mówiącą „ho-ho-ho”. Taki już ze mnie gość. Jestem - jestem w warzywniaku, na poczcie, rzucam te różne „Siemasz”, „Na razie”, te jakieś „Doskonale, doskonale”. Ale wychodzi to niezupełnie tak. Na przykład:

- Elanoksod, elanoksod - mówi pani w drogerii.
- Oktsyszw elanoksod - wtóruję jej. - Inap u kaj a?
- Ogerbod oc?

- Mhmm - mruczy na koniec, odwijając z papieru mój tonik do włosów. Cofam się do drzwi, przelotnym gestem dotykając kapelusza. Mówię bezwolnie, bo wszystko teraz tak robię. Prawdę powiedziawszy nieprędko się połapałem, że żalosne ćwierkanie, które wszędzie słyszę, to właśnie mowa ludzka. Jezu, przecież nawet głosy skowronków i wróbli brzmią dostojniej. Tłumaczę ten ludzki świergot na normalne dźwięki - z prostej ciekawości. Szybko się go nauczyłem. Widać znam go jak własny, skoro już mi się w nim śni. Ale tu, w głowie Toda, jest i drugi język. W tym drugim też czasem śnimy.

Lecz na razie w zgrabnej czapce, w nowych butach, z gazetą pod pachą mijamy domki (gęsta zabudowa), skrzynki pocztowe (Wells,



Cohen, Rezika, Meleagrou, Klodzinski, Schering-Kahlbaum, kogo tu nie ma), ciche ambicje drobnych posesjonatów (SZANUJ CO NIE TWOJE), autobusy pełne dzieciarni, żółtą tabliczkę ZWOLNIJ - DZIECI, a na niej czarną sylwetkę chłopca spieszącego z teczką (oczywiście nie patrzy. Biegnie, cały tym pochłonięty. Twarz, oczy celują skosem w dół. Nie ma głowy do aut: chce tylko - no i wolno mu - robić użytek ze swoich doczesnych mocy). Gdy malcy przeciskają się obok mnie w supersamie, cnotliwie mierzę im czupryny. Tod Friendly. Do jego myśli nie mam dostępu, za to w emocjach po prostu się nurzam. Jestem krokodylem w gęstej rzece jego tonusu psychicznego. I wiesz co? Każde spojrzenie, każda para oczu - nawet jeśli całkiem niewinnie go taksują - trafia w jakiś delikatny punkt, a ja czuję gorącą falę strachu i wstydu. Czy to w ich stronę zmierzam? Strach Toda, kiedy się tak nad nim chwilę zastanowię, jest naprawdę przerażający. I niezrozumiały. Jest to strach przed okaleczeniem. Kto byłby sprawcą? I jak Tod może się ustrzec?

Patrz. Jesteśmy coraz młodszy. Słowo daję. I silniejsi. Nawet wyżsi. Nie bardzo rozpoznaję świat wokół nas. Wszystko niby znajome, ale wcale mnie to nie uspokaja. Przeciwnie. Pełno w tym świecie błędów, diametralnych pomyłek. Inni też młodnieją, lecz jakoś się nie przejmują, nie bardziej niż Tod. W przeciwieństwie do mnie nie czują, że to wbrew intuicji, trochę też obrzydliwe. Ale jestem bezsilny, nad niczym nie mam kontroli. Nie mogę robić z siebie wyjątku. Czy tamci też kogoś w sobie noszą, takiego pasażera czy pasożyta jak ja? Szczęściarze. Zakład, że nie śni im się nasz sen. Postać w białym kitlu i czarnych butach z cholewami. A w ślad za nią zamieć, wichur i śnieg z deszczem, burza ludzkich dusz.

Tod i ja codziennie czytamy gazetę i odnosimy ją z powrotem do sklepu. Zawsze uważnie sprawdzam datę. To idzie tak: po drugim

października - pierwszy. Po pierwszym - trzydziesty września. I co powiesz? Podobno każdy wariat ma w głowie coś jakby studio czy atelier filmowe, które sam urządza, dekoruje, zamieszkuje. Ale Tod wydaje się zdrowy na umyśle, a jego świat nie jest hermetyczny. Chyba po prostu film wyświetla mi się od końca.

Nie taki znów ze mnie naiwniak.

Okazuje się na przykład, że dysponuję sporą liczbą informacji bez wartości rynkowej, czy - jak kto woli - wiedzą ogólną.  $E = mc^2$ . Prędkość światła wynosi trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Niezłe tempo. Wszechświat jest skończony, ale nieograniczony. Planety nazywają się Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun, Pluton - biedny Pluton, poniżej zera, poniżej normy, cały z lodu i skał, i tak ma daleko do ciepła i blasku. Życie to nie bajka. Wahnięcia, objazdy. Coś wygrasz, coś przegrasz. W sumie się zniweluje. Wyrówna do poziomu. Co krąży, tu zdąży. 1066, 1789, 1945. Mam nadzwyczaj bogate słownictwo (monada, retrowersja, nekropolia, palindrom, antydyses-tablismenarianizm) i z nonszalancką swobodą poruszam się wśród reguł gramatyki i ortografii. Na tabliczce SZANUJ CO NIE TWOJE brak przecinka. (A przy szosie numer sześć wisi reklama NIE WINNE WINKO z pisownią rozłączną zamiast łącznej.) Pominąwszy czasowniki oznaczające ruch lub proces, które zawsze mam ochotę wziąć w cudzysłów („dawać”, „spadać”, „jeść”, „wydalać”), język pisany rozumiem bez trudu, w przeciwieństwie do mówionego. Jeszcze jeden kawał: „Dzwoni do mnie dziewczyna i mówi: «Przyjeżdżaj, chata pusta». No więc jadę, i myślicie, że co?

Faktycznie, chata pusta”. Mars to rzymski bóg wojny. Narcyz zakochał się we własnym odbiciu - we własnej duszy. Gdybyś poszedł na układ z diabłem, a on chciałby czegoś od ciebie, nie

oddawaj mu lustro. Wszystko, byle nie lustro, twoje odbicie, sobowtór, sekretny współnik. Ale jedno się przynajmniej diabłu chwali: działa z własnej inicjatywy, a nie tylko na cudzy rozkaz.

Nie sposób zarzucić Todowi Friendly, że kocha się we własnym odbiciu. Przeciwnie: patrzeć na nie nie może. Całą toaletę robi po omacku: goli się elektryczną maszynką i sam się strzyże brutalnymi nożycami kuchennymi. Bóg jeden wie, jak Tod wygląda. W domu jest naturalnie parę luster, ale nigdy nie patrzy w nie, nie zasięga ich rady. Czasem mignie mi w zacienionej witrynie; kiedy indziej trafi mi się krzywe odbicie w lśniącym kranie, w nożu. Trzeba przyznać, że moją ciekawość mocno studzi obawa. Ciało Toda nie najlepiej wróży: patetyczne plamy na grzbietach dłoni, tors udrapowany fałdami skóry zalatującej drobiem i miętą, no i te stopy. Na ulicach Wellport spotykamy nieraz świetne okazy starych Amerykanów - baryłkowatych dziadków i tęgie wilki morskie: „pyszne” typy. Tod nie jest pyszny. Jeszcze nie. Na razie wciąż jest nieźle sterany, cały pokręcony, naburmuszony i zawstydzony. A jego twarz? No cóż, stało się - pewnej nocy, w przerwie między złymi snami. Podreptał do ciemnej łazienki, zgarbił się nad umywalką, zagubiony, w totalnej depersonalizacji, i puścił wodę z kranu, żeby się uspokoić albo okiełznać. Jęknął, wyprostował się przed ciemnym lustrem i sięgnął ręką do kontaktu. Nie ma gwałtu, pomyślałem. Ale nie dało się wolniej niż z prędkością światła. Tylko spokój. No, to fru...

Przeczuwałem, że mam zaszary wygląd, ale to już zakrawa na śmieszność. O rany. Rzeczywiście wyglądamy jak kupa gnoju. Ściśle mówiąc, krwi placek. Ojejku. Czy tam w środku naprawdę ktoś jest? Owszem: pomалу wyłonił się kształt, głowa Toda. W obstawie uszu wielkich jak gitary ciemną koloru skórki pomarańczowej przykrywały rzadkie włosy, białe robale. W dodatku tłuste. Tego

akurat się spodziewałem: każdego ranka zbiera z nich do butelki maź, a co kilka miesięcy sprzedaje ją w drogerii za niecałe trzy i pół dolara. Tak jak tę słodkowonną zasypkę, którą z siebie wytrząsa jego zagadkowo grzeszne ciało... Co do samej twarzy: z jej ruin i zgliszcz nie da się nic wyczytać, tylko spirale ekspresji wokół oczu, surowych, skrytych, karygodnie komicznych, wystraszonych. Tod zgasił światło. Wrócił do łóżka i podjął przerwany koszmar. Z jego pościeli bije biały zapach strachu. Muszę wąchać wszystko to, co on - zasypkę dla niemowląt, jego paznokcie, zanim ogień nimi plunie, a Tod nadstawi miskę i w bólach przytwierdzi je do czubków swych podeksycytowanych palców.

Czyżbym się mylił, że to dziwaczny sposób? Choćby fakt, że źródłem wszelkiego życia, wszelkiej pożywności i sensu (a także sporych sum) jest jeden jedyny sprzęt domowy: dźwigienka spłuczki sedesu. Pod koniec dnia, tuż przed kawą, wchodzę. A on już tam na mnie czeka: upokarzający, ciepły odorek. Spuszczam spodnie i ciągnę za magiczną rączkę. I nagle wszystko pływa, łącznie z papierem toaletowym, którego używasz i zaraz zręcznie nawijasz go z powrotem na rolkę. Podciągasz spodnie i czekasz, aż minie ból. To chyba cała ta transakcja tak nas boli, ta zależność. Nic dziwnego, że przy tym płaczemy. Rzut oka na czystą wodę w muszli. Ja tam nie wiem, ale to chyba cholerny sposób na życie. Potem już tylko dwie kawy bez kofeiny i buch do wyra.

Jedzenie to też średnia przyjemność. Najpierw wstawiam czyste naczynia do zmywarki, która działa, nie można narzekać, tak jak cała moja domowa maszynaria, póki nie przyjdzie jakiś gruby drań w dresie, żeby ją zmasakrować narzędziami. Początek jest do wytrzymania, ale potem wybierasz brudny talerz, wyjmujesz ze śmieci resztki, siadasz przy stole i chwilę czekasz. Zaczyna mi się

odbijać tym i owym, a kiedy mam już pełne usta, językiem i zębami zręcznie ugniatam z bezkształtnej mazi kąski, odkładam je na talerz i dalej rzeźbię nożem, widelcem i łyżką. To akurat właściwie relaks, chyba że trafi się zupa czy inna zhora. Potem żmudne studzenie, składanie wszystkiego do kupy i pakowanie, zanim odwieziesz cały kram do supersamu, gdzie zresztą, przyznam, mój trud jest niezwłocznie i sownie wynagradzany. Jeszcze tylko przejść się z wózkiem albo z koszykiem między półkami i odłożyć na miejsce każdą paczkę czy puszkę.

Kolejny wielki zawód w tym życiu: czytanie. Co noc zwlekam się z łóżka, żeby zacząć dzień – od czego? Nie, nie od książki. Nawet nie od porządnej gazety. Nie. Przez dwie, trzy godziny muszę znosić ujadanie jakiegoś brukowca. Zaczynam u dołu kolumny, pracowicie pnę się wzwyż i wreszcie napotykam gorszące, wydrukowane wołami podsumowanie artykułu: MĘŻCZYŻNA URODZIŁ PSA. Albo: AKTORECZKA ZGWAŁCONA PRZEZ PTERODAKTYLA. Czytałem nawet, że Greta Garbo zreinkarnowała się jako kot. No i te wszystkie bzdury o jakichś tam bliźniakach. Z kosmicznych chmur lodowych zstąpi wkrótce nordycka rasa wyższa, aby władać ziemią przez tysiąc lat. I tyle gadania o Atlantydzie. Nic dziwnego, że tę lekturę przywożą mi śmieciarze. Taszczę ją do domu całymi workami, które wyłaniają się jakby same z potwornych szczęk śmieciarki, wcielenia uprzemysłowionej przemocy. Siedzę więc, śliniąc się w kieliszek, i chłonę ten szajbnięty szajs. Trudno i darmo. Jestem na łasce i niełasce Toda. Co się dzieje? Pytam, co się dzieje na świecie? A skąd mam wiedzieć. Czasem tylko coś mi wpada w oko, kiedy Tod przestaje się gapić w „Krzyżówkę Na Jednej Nodze”. Bo przeważnie muszę kontemplować takie mądrości, jak *Niematy (4)* albo *Przeciwieństwo brudu (8)*. W saloniku stoi regał z książkami. Za zakurzoną szybą preżą zakurzone grzbiety. Ale nic

z tego. Nic, tylko ŻYCIE EROTYCZNE NA PLUTONIE. ZSA ZSA GABOR TO JA, TWIERDZI MAŁPA. SYJAMSKIE BLIŹNIĘTA.

Rok za rokiem mija piorunem i pojawiają się pewne plusy. Epoka Reagana bardzo chyba Todowi służy.

Fizycznie jestem w znakomitej formie. Kostki nóg, kolana, kręgosłup i szyja już mnie nie bolą bez przerwy, a w każdym razie nie wszystkie naraz. Dużo szybciej się ruszam

- choćby i na drugi koniec pokoju. Ani się obejrzysz, a już tam stoję. Sylwetkę mam prawie książęcą. Dawno sprzedałem laskę.

Tod i ja czujemy się tak fantastycznie, że nawet zapisaliśmy się do klubu i gramy w tenisa. Może zresztą trochę pochopnie, bo - przynajmniej z początku - cholernie bolały nas plecy. A w ogóle tenis to głupi sport, stwierdzam: kosmata piłka wyskakuje z siatki albo z ogrodzenia w głębi kortu i wszyscy czterej młócimy w nią, póki jej nie zgarnie do kieszeni - na moje oko, całkiem według swego widzimi się - serwujący. Ale co się naskaczemy i naparskamy, to nasze. Przekomarzamy się i nabijamy z naszych pasów przepuklinowych i opasek na łokcie. Puk, puk - mówią rakiety. Tod jest dosyć popularny; koledzy chyba go lubią. Nie wiem, co on do nich czuje, ale jego gruczoły donoszą mi, że nie pragnie dowodów uwagi, najchętniej całkiem by bez niej się obszedł.

Przeważnie siedzimy w świetlicy i gramy w karty. Tam też widuję prezydenta - w telewizorze zawieszonym pod sufitem. Tak, tych starszych panów, dziadków z plamami na skórze i soczkami w szklankach, zdrowo rajcuje prezydent: jego zmarszczone brwi, jego gafy i niezrównane włosy. Tod lubi świetlicę, lecz nienawidzi i boi się pewnego jej bywalca. Jest to niejaki Art - jeszcze jeden goryłowaty dziadźka. Kiedy grzmotnie cię w plecy, to jakby chciał zabić, a jego potężny głos przenika galaktyki. Sam się zląkłem, gdy

Art pierwszy raz doturlał się do naszego stolika, dał Todowi po karku, aż mu go o mało nie złamał, i huknął z niewiarygodną mocą:

- Żresz je na surowo!

- Tak? Na czym? - spytał Tod. Art pochylił się nad nim.

- Innym możesz wciskać popelinę, Friendly, ale ja wiem, na czym ci najbardziej zależy.

- O, w tych plotkach jest wiele przesady.

- Ciągle jeszcze się za nimi uganiaasz? - zawołał Art i poturlał się dalej.

Ilekcroć próbujemy się przemknąć obok jego stolika, zapada krótka cisza i zaraz po sali niesie się szept:

- Tod Friendly: miał więcej dup niż deska w kłocie. Todowi wcale to nie w smak. Wcale a wcale.

Chociaż owszem, ostatnio w supersamie zahacza wzrokiem o ciała miejscowych *Fraulein* ciągnących wózki z zakupami. Kostki nóg, zarys miednicy, wcięcie mostka, włosy. Wyszło też na jaw, że Tod ma czarną skrzynkę, a w niej zdjęcia kobiet - wesołych starych lal w wieczorowych sukniach albo beżowych spodniach. Listy przewiązane wstążkami, medaliony, różne miłosne bibeloty. Bliżej dna, tam gdzie Tod nieczęsto buszuje, kobiety wyraźnie młodnieją i pokazują się w szortach lub w kostiumach kąpielowych. Jeśli trafnie się domyślłam, co ta kolekcja wróży, to po prostu nie mogę się doczekać. Dosłownie przebieram nogami. Nie wiem, czy nie zabrzmiało to zbyt niejasno, przyznam jednak, że zaczyna mnie męczyć towarzystwo Toda. Zgoda, jedziemy na jednym wózku. Lecz Todowi nie służy ta samotność. Żyje przecież w zupełnej izolacji. Bo nie wie o moim istnieniu.

Ciągle nabywamy nowych nawyków. A raczej nałogów - złych, samotnych nawyków. Tod grzeszy solo... Rozsmakował się w tytoniu i alkoholu. Zaczyna od nich dzień: cicha lampka czerwonego,

zadumane cygarko - a czy uleganie tym przywarom z samego wieczora nie uchodzi za rzecz szczególnie złą? Mało tego. Bez entuzjazmu, a na ile potrafię ocenić, także bez wielkiego powodzenia, wdajemy się sami ze sobą w jakieś seksowne igraszki. Nie codziennie, ale jeśli już, to natychmiast po przebudzeniu. Potem dźwigamy się z łóżka i zbieramy z podłogi ubranie, siadamy i ślinimy się do kieliszka, pykając cierpką cygaretkę gapimy się w brukowiec pełen beznadziejnych bzdetów.

Nie umiem poznać - a muszę wiedzieć - czy Tod jest dobry. Albo jak bardzo jest zły. Na ulicy odbiera dzieciom zabawki. Serio. Dzieciak sobie stoi, obok podenerwowana matka, tęgi tata. Tod podchodzi. Zabawkę - piszczącą kaczuszkę czy coś - podaje mu uśmiechnięte dziecko. A Tod ją - cap. I wycofuje się z tak zwanym - jeśli się nie mylę - „uśmieszkiem gównojada”. Twarz dziecka blaknie, nagle się zamyka. Uśmiech znika razem z zabawką: Tod zabrał jedno i drugie. Idzie do sklepu, żeby spieniężyć. Za ile? Raptem za kilka zielonych. W pale się nie mieści. Facet potrafi zabrać niemowlakowi cukierek dla głupich pięćdziesięciu centów. Chodzi do kościoła i w ogóle. Wlecze się tam co niedziela, w kapeluszu, krawacie, ciemnym garniturze. Te wybacзлиwe spojrzenia, którymi obrzucają człowieka przy wejściu... Tod wyraźnie potrzebuje tych spojrzeń, potrzebuje społecznej aprobaty. Siedzimy w stallach i wielbimy trupa. Ale i tak widać, po co Tod przyszedł. Jezu, jak mu nie wstyd. Zawsze ściąga z tacy spory banknot.

Bardzo to wszystko jest dziwne i obce. Wiem, że mieszkam na wścieklej, czarodziejskiej planecie, która ocieka czy też płacze deszczem, czasem wręcz miota jego strugami, jakby smagała mnóstwem biczów, z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na



sekundę strzela w firmament grotami elektrycznego złota i jednym jedynym wzruszeniem płyt tektonicznych może w pół godziny zbudować miasto. Tworzenie... łatwizna, kwestia chwili. Istnieje też, zdaje się, wszechświat. Ale nie znoszę widoku gwiazd, chociaż wiem, że tam są, no i jednak na nie patrzę, bo Tod nocą spogląda w niebo, jak każdy, grucha i wskazuje palcem. Wielka Niedźwiedzica, Syriusz, Pies. Gwiazdy to dla mnie igły i szpilki, mapa zmory sennej. Nie łącz kropek... Tylko w jedną mogę wpatrywać się bez bólu. W jedną planetę. W tę, którą nazywają gwiazdą wieczorną, gwiazdą zaranną. W żarliwą Wenus.

W czarnej skrzynce Toda - wiem - pełno jest listów miłosnych. Cierpliwości, mówię sobie. Na razie co pewien czas składam, zaklejam byle jak i wysyłam listy, których nie napisałem. Tod robi je z ognia. W kominku. Potem wychodzimy przed dom i wtykamy je do naszej skrzynki z napisem T.T. FRIENDLY. Są to listy do mnie, do nas. Jak dotąd tylko od jednej osoby. Od jakiegoś faceta z Nowego Jorku. U dołu zawsze ten sam podpis. Treść listów też niezmienna:

*Szanowny Panie!*

*Mam nadzieję, że zdrowie dopisuje. U nas pogoda wciąż względnie łaskawa! Z najlepszymi życzeniami, szczerz oddany...*

Nadchodzą co rok, koło sylwestra. Szybko wydały mi się monotonne i nijakie. Tod jest innego zdania. Przed nadejściem każdej przesyłki jego fizjologia całymi nocami sygnalizuje wzmożony strach, haniebną ulgę.

Ale na księżyc lubię patrzeć. O tej porze miesiąca jego twarz ma szczególnie tchórzliwy wyraz i cofnięty podbródek, jak wygnana, odarta z zaszczytów dusza Ziemi.

## 2

# Musisz być okrutny, żebyś był dobry

Nowość goni nowość. Nowy dom. Kariera. Auto. No i miłość. W tym całym poruszeniu nie miałem prawie chwili dla siebie.

Przeprowadzka była operacją idealnie symetryczną: przytomną i elegancką. Przyszli jacyś atleci i załadowali moje rzeczy do furgonetki. Jechałem z nimi w szoferce (przerzucając się monosylabami) – aż do celu. Czyli do miasta. Pojechaliśmy na południe od rzeki szosą numer sześć, przez tory, mijając zagrody dla zwierząt rzeźnych pełne zardzewiałych gorsetów, wyciągów i kołnierzy ortopedycznych. Nowy dom jest mniejszy niż ten, do którego przywykliśmy: segment, dwa pokoje na parterze, dwa na piętrze, z tyłu podwóreczko. Zachwyca mnie to miejsce, bo najbardziej chyba cenię ludzką różnorodność i ten uroczy amerykański pluralizm, który tutaj przejawia się jeszcze silniej niż pod starym adresem. Ale Tod jest w rozterce. Skołowany. Widzę to. Na przykład w dniu przeprowadzki, zanim tragarze skończyli taszczyć skrzynie i pudła, wymknął się do ogrodu – tego samego ogrodu, w który włożył lata pracy. Pomału ukląkł i chciwie, smakowicie węsząc... Było to na swój sposób piękne. Rosiste krople pojawiły się na suchej trawie i wzbily w powietrze, jakby dzięki skurczom naszej klatki piersiowej. Obmyły nam policzki – rozkosz! – a potem wessaliśmy je piekącymi oczami. Tyle cierpienia. I czemu? Myślałem, że Tod oplakuje ogród i to, co z nim zrobił. Kiedy

zaczynaliśmy, ogród wyglądał jak raj, ale z upływem lat - no cóż, powiem tylko: nie moja wina. I nie moja decyzja. Ja przecież nigdy nie decyduję. Czyli łzy Toda były łzami skruchy, żalu. Za to, co uczynił. No, popatrz. Koszmar, wszystko zwiędło i zapleśniało, dostało grzyba i plam. Tulipany i róże cierpliwie zaszuszył i połamał, a ich ekshumowane zwłoki otulił plastikiem, zaniósł w papierowej torbie do sklepu i sprzedał. Pokrzywy i inne zielska wwiercił w ziemię, która przyjęła, zachłannie chwyciła całą tę szpetotę. Takie wydał owoce sumienny wandalizm Toda. Z lublicą, mączlikiem i pilarzem Tod jest spoufalony. I z końską muchą. Powolnym skrętem nadgarstka wzywa je, żeby mu siadły na twarzy. *Musca domestica* ma oskomę na muskuł, odlatuje i zawraca: odpoczywa, z nadzieją i złością zacierając łapki. Niszczenie - trudna sprawa. Niszczenie wymaga czasu. Tworzenie, jak już mówiłem, to fraszka. Na przykład auto. Ledwo trochę się zadomowiliśmy, wstępujemy do małego ni to warsztatu, ni to cmentarzyska samochodów o parę ulic na południe. Powiedziałbym: dziura w ścianie, a nie firma. Tylko że nie było nawet ściany, żeby w niej wyharatać dziurę. Okoliczne domy dały za wygraną. Tak już widać jest we współczesnym mieście. Da się w nim pracować. Ale od nikogo serio się nie wymaga, żeby tam mieszkał. Sedno sprawy, sens i sedno, osadza się na peryferiach, w karbowanych kolumnach wieżowców. A z autem na oko wszystko było w porządku. Auto jak auto. Lecz Tod patrzył na nie ze szczerym uczuciem, z mętnym żarem - czy ja wiem? - odtrąconej miłości. Zaraz podszedł facet z warsztatu, wycierając zatłuszczone palce zatłuszczoną szmatą. A Tod raptem mu daje osiemset dolców. Tamten liczy i chwilę się targują, bo Tod mówi dziewięćset, a mechanik siedemset, potem sześćset, ale Tod obstaje przy tysiącu, i tak dalej. Kiedy Tod został wreszcie sam na sam z autem, musnął palcami karoserię. Czego szukał? Blizn. Śladów

obrażeń... Pamiętam, że już wcześniej był smutny tamtego ranka. Od popołudnia, kiedy wybrał się na pogrzeb, a może przypadkiem obserwował go z daleka, na cmentarzu bez żałobników, gdzie groby nie wystawały z ziemi. Potem przeżegnał się i szybko wymknął. Wróciliśmy autobusem, a one zawsze tak się wloką, pełne pijaczków i rozwrzeszczanych dzieci... Nie ma to jak auto. Tak, auto. Codziennie zaglądaliśmy do warsztatu, a nasz wóz był w coraz cięższym stanie. Osiemset dolarów? Blachotłuki dosłownie na naszych oczach cierpliwie obrabiały go młotkami i kluczami, pochłonięte żmudną, demolką.

Łatwo więc się domyślić, że zanim pojechaliśmy odebrać auto (tym razem gdzie indziej: właśnie na peryferie), wyglądało jak ostatni gruchot. My też zresztą nie byliśmy u szczytu formy. Transakcję poprzedziło nadzwyczaj niemiłe preludium. Szpital. No właśnie. Wizyta na urazowym. Sami tam trafiliśmy (Tod zna to miasto na wspak, nie wiem skąd), Bogu dzięki nie na długo. Robisz, co musisz: ściągasz koszulę, dajesz się szturchać i opukiwać, ale nie podnosisz głowy: wolisz nie widzieć, co się dookoła wyprawia. Nie twoja rzecz zabierać głos. Nie twój interes. W końcu sanitariusze zawieźli mnie na peryferie, na miejsce kraksy. Stał tam mój wóz, jak stary wściekły knur przychwycony w pół spazmu, z ryjem i kłami zgniecionymi na dymiącą miazgę. Sam też nie czułem się najlepiej, kiedy policjant pomagał upchnąć mnie za kierownicą i próbował zatrasnąć pogiete drzwiczki. Od tego momentu odpuściłem sprawę, oddając wszystko w ręce Toda. Gapili się na nas różni tacy, a Tod przez chwilę też tylko się na nich głupio gapił. Zaraz jednak wziął się do roboty. Wdeptał hamulec, żeby auto szurnęło w tył i zaczęło miotać się konwulsyjnie, rżąc i rżąc. Zręcznym poślizgiem zawadził o zgięty hydrant na chodniku i nastawił mu zwichnięte ramię, aż chrupnęło - i slalomem pomknęliśmy wstecz.

Inne auta z piskiem opon wypełniały po nas nagłą próżnię.

Kilka minut później: pierwszy odcinek naszego życia erotycznego. Niezły zbieg okoliczności. Zajechaliśmy pod dom i Tod dał gaz do dechy, raptownie hamując. Nawet nie przystanął, żeby napatrzeć się samochodowi (fantastyczny stan: nówka!), tylko wbiegł do mieszkania, z gorącym sapnięciem ściągnął płaszcz i porwał za telefon.

Usiłowałem się skupić. Większość chyba złapałem. Szło to z grubsza tak:

- Żegnaj, Tod.
- Czekał. Nic nie rób.
- A co za różnica? Zastrane życie i tyle.
- Irene - powiedział.
- Właśnie że tak, Tod, zrobiła się ze mnie wstrętna starucha. Jak to się stało?
- Nie mówisz serio.
- Nie, nie mówię serio. Zabiję się.
- Nie mówisz serio.
- Zadzwoń do „New York Timesa”.
- Irene - powtórzył z jakimś nowym żarem w głosie. I w całym ciele.
- Wiem, że zmieniłeś nazwisko. I co ty na to! Wiem, że uciekłeś.
- Nic nie wiesz.
- Naskarzę na ciebie.
- Naprawdę?
- Mówisz o nim w nocy. Przez sen.
- Irene.
- Znam twój sekret.
- Co mianowicie?
- Mam ci coś do powiedzenia.

- Irene, jesteś pijana.

- Zasraniec.

- Tak? - rzekł Tod znudzonym tonem... i nie czekając na odpowiedź położył słuchawkę. Odstawił telefon i przez chwilę słuchał, jak dzwoni z mechanicznym uporem. A potem milczy. Tonus psychiczny miał neutralny, przejrzysty... Odtąd sprawy mogą chyba iść tylko ku lepszemu. Chciałem, żeby wyciągnął czarną skrzynkę, tobym się dobrze przyjrzał tej jakiejś Irene. Ale oczywiście nie wyciągnął. Jeszcze czego.

Może miłość będzie jak prowadzenie auta.

- Już sobie nie pojeździsz, dziadku - powiedział mechanik w wysmarowanych ogrodniczkach. To samo powtórzył pielęgniarz w śnieżnobiałym kitlu. Ale się pomylili. Dopiero teraz sobie pojeździmy. Tod chyba tęskni za starym domem, tym w Wellport, bo najczęściej właśnie tam lądujemy. Zatrzymał klucz, więc wchodzimy do środka i przechadzamy się po pokojach. Zupełnie pustych. Tod wszystko mierzy. Miłośnie. Ostatnio zaczęliśmy oglądać inne domy w okolicach Wellport. Ale żaden nie zasługuje, żeby go mierzyć jak nasz dawny. Szosą numer sześć Tod wolno turla się wstecz.

Zaczęliśmy znajdować listy miłosne, w śmieciach, listy od Irene. Tod przegląda je, przechylając głowę, i wpycha do szuflady. Może miłość będzie jak prowadzenie auta. Kiedy ludzie przenoszą się z miejsca na miejsce - kiedy podróżują - to zawsze patrzą, skąd jadą, a nie dokąd zmierzają. Czy wszystko robią w ten sposób? W takim razie miłość będzie jak prowadzenie auta - co w pierwszej chwili brzmi niezbyt sensownie. No bo jest na przykład pięć biegów wstecznych i tylko jeden do jazdy naprzód, oznaczony literą R: jak rewers, czyli „wstecz”. Siedząc za kierownicą nie patrzymy, gdzie jedziemy, tylko tam, skąd przybywamy. Zdarzają się oczywiście

kraksy, ale w sumie wszystko gra. Miasto płynie, leje się symfonią zaufania.

Moja kariera... Wolałbym o niej nie mówić. Wolałbyś o niej nie słyszeć. Pewnej nocy wstałem z łóżka i pojechałem - fatalnie mi się prowadziło! - do jakiegoś biura, na przyjęcie z nowymi kolegami. O szóstej wszedłem do pokoju, w którym na biurku stała tabliczka z moim nazwiskiem, włożyłem biały kitel i zacząłem pracę. Jaką? Lekarza!

Życie przyspiesza, a ja krążę wśród mieszkańców miasta, w miejskiej scenerii z metalu i cementu, w której wszystkie interakcje są ostrzejsze, z większą ikrą i iskrą. Miasto - a to akurat wcale nie jest takie znowu wielkie (choćby w porównaniu z Nowym Jorkiem, gdzie wciąż, jak słyszę, panuje względnie łaskawa pogoda) - otóż miasto robi coś każdemu, kto w nim mieszka. Zwłaszcza może temu, kto w ogóle w mieście nie powinien być. Przynajmniej nie teraz. Kto jest nieodpowiednim człowiekiem w nieodpowiednim miejscu i czasie. Irene nie powinna mieszkać w mieście. Tod w pewnym sensie czuje się tu u siebie. Przestał jeździć do Wellport, ale na pewno dalej tęskni za nim, za bezpiecznym, moralnie obojętnym brakiem wigoru, za uniformem biernej starości, który tam nosił. Starcy nie są przecież okrutni. Po ludziach starych, zgarbionych nie spodziewamy się okrucieństwa. Tego o promiennym wzroku, różowym języku...

A tu jest nie tylko miasto, ale samo centrum, w dodatku podupadłe. I chociaż Tod właśnie zdobył świetny zawód, mieszka wśród dołów społecznych. Dół, centrum - jak objawiają się te stany? Jezu, skąd w ogóle biorą się miasta?

Można sobie z grubsza wyobrazić monstrualny trud ich nieuniknionej rozbiórki (za setki lat, kiedy dawno już minie mój

czas) i nieuniknionego stwarzania miłej ziemi – zielonej, obiecanej. Ale cholernie się cieszę, że nie byłem przy tym, jak miasto się pojawiło. Musiało chyba ożyć jednym susem. Ożyć jednym susem z wielkiej, stratowanej ciszy, z pyłu i wilgoci. Większość moich kolegów po fachu mieszka rozsądnie i logicznie – na wzgórzu albo na wschodnim przedmieściu, bliżej oceanu. Lecz Tod Friendly może potrzebować miasta, bo tu zawsze jest wśród ludzi i nikt nie poświęca mu osobnej uwagi.

Jak zacząłem karierę? Jakiś miesiąc temu zbudził się nocą w wyjątkowo rozpaczliwym stanie, na wpół ubrany, a wszystko wokoło nieznośnie się huštało, jakby całą sypialnię przycumowano do rozchwianego kabestanu w brzuchu Toda, gdzie jęczy jego sekret. Nic dziwnego, że wczoraj czułem się tak okropnie, pomyślałem. Wczoraj zawsze jest okropne, kiedy on da w szyję. Potem wstał i zrobił coś... „znamiennego”: skromnie znamiennego. Poszliśmy do saloniku, złapali mosiężny zegar, który zawsze zdobił gzyms kominka (ależ ten Tod ma silne ręce), i brutalnie zawinęli go w ozdobny papier z kosza na śmieci. Tod powstał chwilę, patrząc na cyferblat, a później w lustro, z bladym uśmiechem. Pokój wciąż wirował. Wbrew wskazówkom zegara. Wsiedliśmy do auta i popędzili na przyjęcie w ZUL-u, czyli Zespole Usług Lekarskich przy szosie numer sześć. Tod, nawiasem mówiąc, wcisnął nasz zegar jednej z pielęgniarek, małej Maureen. Była poruszona, ale palnęła miłą mówkę. Mała Maureen, której twarz tak mnie niepokoiła, piegowata z jasną cerą, smętnie nordycka, usta za duże albo po prostu zbyt wydatne, z natury zdolne wyrażać tylko bezsilność. Bezsilność: nadzieję i beznadzieję, obie naraz.

Skłamałbym, gdybym twierdził, że to całe doktorowanie było dla mnie zupełną niespodzianką. Nasz wąski dom już od jakiegoś czasu zapełniały medyczne akcesoria, lekarski szpej. Książki o anatomii



zrodzone z ognia na podwórku za domem. Receptariusze. Plastikowa czaszka. Pewnego dnia Tod wyjął ze śmieci dyplom w ramce i zawiesił go na gwoździu wbitym w drzwi ubikacji. Z rozbawieniem wpatrywał się w ozdobne pismo, dobre parę minut. A mnie oczywiście każdy taki incydent zdrowo podkręca, bo słowa mają przynajmniej jasny sens, chociaż Tod zawsze czyta je wspak.

Przysięgam Apollinowi Lekarzowi, Zdrowiu i Panakei, wszystkim bogom i boginiom, biorąc ich za świadków, jako przysięgi tej i zobowiązań następujących dochowam ściśle wedle sił i osądu swego... W czystości i niewinności świętej zachowam życie moje i sztukę moją. Do czyjegokolwiek domu wniknę, celem wejścia mojego będzie jedynie dobro chorego, jakoż nigdy mną kierować nie będzie rozmyślne bezprawie ani występki...

Tod zdrowo się uśmieł... No i ta charakterystyczna czarna torba, wyciągnięta z szafy. A w niej jeden wielki ból.

Mały stadion pełen bólu, z ciemnością na dnie.

Irene dzwoni teraz do Toda regularnie. Chyba warto, żebyśmy się trochę poznali: zanim co. Jest spokojna i (przeważnie) trzeźwa; Tod znosi jej telefony jak jeden z wielu obowiązków, z rezygnacją: w jednej ręce szklaneczka whisky, w drugiej cierpliwa cygaretki. Irene mówi, że jest smutna. I samotna. Coraz mniej wini Toda za swoje nieszczęście. Wie, jaki z niego drań, i sama nie rozumie, czemu go kocha... Ja też nie rozumiem. Ale miłość to dziwna rzecz. Dziwna rzecz. Irene zastanawia się czasem - trzeba przyznać, że całkiem beznamietnie - czy samobójstwo nie byłoby jakimś wyjściem. Tod ostrzega, że grzech tak mówić. Osobiście uważam, że z tym samobójstwem to czcze pogrożki. Przemyślałem sprawę. Samobójstwo nie jest wyjściem. Nie na tym świecie. Skoro już tu jesteś, skoro raz wsiadłeś, nie możesz wsiąść. Nie możesz się

wyrwać.

Irene popłakuje, lecz z opanowaniem. Tod nie zdradza się ze swoimi myślami. Kobiecie jest przykro. Jemu też. Takie to już życie.

Mam nadzieję, że on jej w końcu wszystko jakoś wynagrodzi.

Samo leczenie nauczyłem się traktować dość stoicko. Nie żebym miał coś do gadania. Nie ja tu rządzę. Nie ja noszę spodnie. A skoro tak, stoicyzm jest chyba jedyną nadzieją. Wygląda na to, że Tod i ja radzimy sobie z pracą, żadnych jak dotąd reklamacji. Oszczędzono nam też najkrwawszej roboty - a odchodzą tu czasem niewiarygodne jatki. Tod słynie, o dziwo, z nadwrażliwości, która ściąga na niego kpiny i inne wyróżnienia. O dziwo, bo wiem skądinąd, że wcale nie jest nadwrażliwy. To ja taki jestem. To ja. Tod ma skórę jak nosorożec. Jego tonus psychiczny - dystans i brak zdziwienia - chroni go przed rzeczywistością codziennych dyżurów, przed bezsennymi spojrzeniami, przed odorem ludzkich ciał w trakcie obróbki. Tod wszystko zniesie - a ja cierpię. Dla mnie praca to ośmiogodzinny atak paniki. Wyobraź sobie, jak się kulę w ukryciu, wstrząsany wątlými mdłościami, odwracając wzrok... Borykam się z problemem przemocy, tym najtrudniejszym. Intelktualnie prawie już potrafię przyznać, że przemoc jest zbawienna, że jest dobra. Lecz całym sobą wzdragam się przed jej brzydotą. Teraz widzę, że zawsze taki byłem, już w Wellport. Dziecko krzyczące do utraty tchu, nagle uspokojone mocnym klapsem ojcowskiej ręki, martwa mrówka wskrzeszona niedbałym nadeptaniem podeszwy, zraniony palec, uleczony i zasklepiiony ostrzem noża: na ich widok mrużyłem oczy i robiłem unik. Ale ciało, w którym żyję i krążę, ciało Toda, nie czuje nic. Wygląda na to, że mamy następujące specjalności: robota papierkowa, gerontologia, schorzenia centralnego układu nerwowego i tak zwane odrzekanie.

Siedzę w białym kitlu, pod ręką mam młotek neurologiczny, kamertony, latareczkę, szpatułki, szpilki, igły. Pacjenci są jeszcze starsi ode mnie. Trzeba przyznać, że wchodzą na ogół z całkiem pogodnymi minami. Odwracają się przodem, siadają i mężnie kiwają mi głową.

- W porządku - mówi Tod. A na to pacjent:

- Dziękuję, panie doktorze - i podaje mu receptę. Tod bierze ją i pokazuje swoją starą sztuczkę z piórem i bloczkiem.

- Zapiszę panu coś - oświadcza dostojnym tonem - co na pewno pomoże.

Zwykły kit, wiadoma rzecz: lada chwila - choć więcej w tym poufałości niż znajomości - bezceremonialnie, posepnie wsadzi biednemu staruszkowi palec w dupę.

- Raczej stracha - mówi pacjent, odpinając pasek.

- Jest pan chyba w niezłej formie - odpowiada Tod. - Jak na swoje lata. Ma pan depresję?

Po obrzędku na kanapce (paskudne przeżycie dla obu stron: jakże wszyscy przy tym skowyczemy) Tod, dajmy na to, obmacuje tętnice szyjne, a także skroniowe u nasady uszu. Potem nadgarstki. Przykłada stetoskop do czoła tuż nad oczodołami.

- Proszę zamknąć oczy - mówi do pacjenta, który oczywiście zaraz je otwiera. - Wziąć mnie za rękę. Podnieść lewą. Dobrze. Niech pan sobie chwilę odsapnie.

I wtedy zaczyna się odrzekanie. Na ogół przebiega następująco: Tod:

- Mogłaby wybuchnąć panika. Pacjent:

- Krzyknąłbym „pali się”. Tod:

- Co by pan zrobił, gdyby pan był w teatrze i nagle zobaczył ogień i dym? Pacjent:

- Że co?

Tod (po namyśle):

- To nienormalna odpowiedź. Prawidłowa brzmi: „Nikt nie jest doskonały, więc nie należy krytykować innych”.
- Bo jeszcze powybijają szyby - mówi pacjent, marszcząc czoło.
- Jaki jest sens przysłowia: „Kto mieszka w szklanym domu, nie powinien rzucać kamieniami”?
- Eeee, siedemdziesiąt sześć. Osiemdziesiąt sześć.
- Ile jest dziewięćdziesiąt trzy minus siedem?
- 1914-1918.
- W jakich latach toczyła się pierwsza wojna światowa?
- Proszę bardzo - mówi pacjent, prostując się na krześle.
- Zadam panu teraz kilka pytań.
- Nie.
- Sen w normie? Jakies problemy z trawieniem?
- W styczniu skończę osiemdziesiąt jeden.
- A ma pan... ile lat?
- Jakoś nie bardzo się czuję.
- Co panu dolega?

No i tyle. Wychodząc nie mają wesołych min - o, nie. Cofają się z wytrzeszczonymi oczami. I znikają. Tylko na chwilę przystają, żeby wykonać ten obmierzły gest: zapukać - cichutko - do twoich drzwi. Ale przynajmniej nie wyrządzam tym staruszkom wyraźnej ani trwałej szkody. W przeciwieństwie do przytłaczającej większości pacjentów Zakładu Usług Lekarskich wychodzą stąd w nie gorszym stanie, niż weszli.

Pozycja społeczna lekarzy jest, rzecz jasna, straszliwie wysoka. Kiedy w białym kitlu, z czarną torbą krążysz wśród ludzi, wznoszą ku tobie oczy. Najbardziej widać to u matek: całą swoją postawą oznajmiają, że ich dzieci są w twojej mocy; jesteś lekarzem, więc możesz dać dziecku święty spokój, zabrać je albo zwrócić - wolna

wola. Tak, wysoko nosimy głowy. My, lekarze. W naszej obecności ludzie czują się skarceni i natychmiast poważnieją. Ich wzniesionym oczom lekarz zawdzięcza heroiczną aurę pielgrzyma, ponury nimb. Żołnierz biologii. Czemu służy?... Jedyne (prócz pogawędek z Irene), co pozwala mi jakoś wytrzymać, to fakt, że Tod i ja tak cholernie dobrze się czujemy: fizycznie. Nie rozumiem, czemu nie przyjmuje tej poprawy z większą wdzięcznością. Kiedy pomyślę, jak czuliśmy się w Wellport, o rany, ledwo trzymaliśmy się na nogach. Przejście przez pokój zabierało nam dwadzieścia pięć minut. A teraz schylamy się i nic: prawie nie stęknjemy, prawie nam w kolanach nie chrupnie. Śmigamy po schodach - pali się, czy co? Czasem w kawałkach wraca do nas ze śmieci własne ciało. Ząb, paznokieć. Trochę włosów. Mętlik w głowie i lekkie mdłości, które z trudem powściągałem, uznając je za składową egzystencji, to, jak się okazuje, chwilowa przypadłość. A czasem, czasem całymi minutami (zwłaszcza na leżąco) nic nie boli.

Tod nie docenia tej poprawy. A jeśli nawet, to traktuje ją bardzo nonszalancko. W sumie. Ale zobacz. Pamiętasz ten zdawkowy seks, którym zabawialiśmy się w Wellport, nasze seksowne igraszki z samym sobą? Tod dużo bardziej teraz się do nich przykłada. Żeby uczcić swój rosnący wigor, a może dla wprawy. Tak czy owak wcale nie wydaje się oczywiste, że robimy postępy... Tod? Sam nie wiem. A co u ciebie? Coś z tego masz? Bo dla mnie to dalej kompletna kłapa.

Jego sny pełne są postaci rozproszonych jak liście na wietrze, dusz tworzących konstelacje wzorem tych gwiazd, których widoku nie cierpię. Tod prowadzi jakiś długi wywód i nawet mówi prawdę, lecz niewidzialni słuchacze i sędziowie na szczęście nie dają wiary i odwracają się - milczący, znużeni, zniesmaczeni. Często z

rezygnacją masakrują go cierpcy rajcy, boleśnie otyli burmistrze, uciemienieni tragarze dworcowi. Czasem pała wielką mocą, która bucha z niego, wszystko rozstrzygając i klarując: moc użyczona mu przez opiekuńczego stwórcę, zawiadowcę wszystkich jego snów.

Alfonsi, kurewki...

Głowią się nad tutejszymi porządkami, stosunkami, pojednawczymi mechanizmami przeoczonego, wystygłego miasta. A nie brak mi okazji. Żeby się nad tym głowić. W ogóle głowią się, przyznam, bardzo często. Właściwie zmuszony byłem stwierdzić, że jestem w sumie dość ociężały na umyśle. Może nawet poniżej normy albo ciut autystyczny. Możliwe, że brak mi którejś klepki. Rachunek klepek mi się nie zgadza; świat nie zgadza się nabrać sensu. Wszystko wskazuje, że jadę z Todem na przyprzążkę, ale on ma nie wiedzieć o moim istnieniu. Taki jestem sam... Tod Friendly, krzepki, uśmierający Tod Friendly bez przeszkód obchodzi miejskie podziemia, przytułki, schroniska, hoteliki, noclegownie. Nie należy do tych wścibskich zatwardziałców, złotych rączek, co to w niecierpiących zwłoki sprawach osobistych muszą patrolować owe tajemnicze instytucje, których hasło brzmi „gwałt”. Tod przychodzi i odchodzi. Doradza, kieruje, zaleca. Pośrednik rozpaczy. Bo życie tutaj to ćpun, kurwa, rozbita rodzina, brak stałego adresu.

Kurwy lecą na mężczyzn dojrzałych. Serio. Prawie nie widać, żeby się fatygowały dla gości w swoim wieku. Klienci czujnie cofają się do specjalnych pokoi, do mieszkań wynajętych na tymczasem w niskiej kamienicy na Herrerze, w tym domu, który pławi się w niepowtarzalnej wilgoci i ohydzie. Odbywa się akt miłosny, za co klient - z niejasnych powodów zwany też frajerem - natychmiast dostaje wynagrodzenie. Potem luba parka wraca na ulicę i każde idzie w swoją stronę. Mężczyźni odchodzą chyłkiem, zawstydzeni

(że robią takie rzeczy za pieniądze). Ale kurwa zostaje na chodniku, wiecznie niesyta, w bluzce bez rękawów, w głęboko wyciętych szortach, i zabija czas przed kolejną randką. Albo podróżuje autostopem donikąd z innymi starymi sztywniakami, którzy przejeżdżają w cwanych starych wozach. Toda często można zastać w kamienicy u kurew. Jako starszego pana ciągle go podrywają. Lecz on nie przychodzi tam dla seksu i kasy. Przeciwnie. Sam wyklada szmal (drobne sumy, najwyżej kilka zielonych) i nigdy nie spuszcza spodni (do głowy mu nie przyjdzie: przecież kurwa to kto inny). Głównie chyba kupuje od nich prochy. Nie dla siebie: tetracyklina, metadon i reszta towaru trafia do apteki ZUL-u. Tod musi też opatrywać obrażenia, ilekroć odwiedza kamienicę na Herrerze, dom zmiętych prześcieradeł i splamionych bidetów.

W noclegowniach wszystkie lumpy jedzą to samo. Inaczej niż w restauracji czy w stołówce ZUL-u. Nie jest dobrze, uważam, kiedy każdy je to samo. Owszem, wiem, nikt z nas nie wybiera sobie pożywienia; decyduje kanalizacja, w niektórych domach wyraźnie sprawniejsza niż w innych. Lecz aż mnie mdli, kiedy widzę, jak machają łyżkami, a talerze - dwadzieścia, trzydzieści - pomалу wypełnia identyczna breja... Kobiety w ośrodkach kryzysowych i schroniskach kryją się przed swoimi wybawcami. Ośrodek kryzysowy nie bez kozery tak się nazywa. Chcesz mieć kryzys, to się tam zgłoś. Pręgi od uderzeń, otarcia skóry i podbite oczy uwydatniają się, sinieją, aż wybija godzina i kobiety w ekstatycznej udręce wracają do mężczyzn, ci zaś w okamgnieniu je leczą. Niektóre wymagają bardziej specjalistycznej kuracji. Resztkami sił wloką się do parku, do piwnicy, w ustronne miejsce, kładą się i czekają, a potem zjawiają się mężczyźni, gwałcą je i po bólu. Gówno prawda, mówi Brad, wstrętny sanitariusz, nic im takiego nie jest (im, czyli kobietom ze schroniska), z czego by ich nie wyleczył

kawał dobrej pyty. Tod srogo marszczy brwi, kiedy to słyszy. Ja także nie cierpię Brada - ale czasem, choć niechętnie, przyznaję mu absolutną rację. Co też się porobiło na świecie, że ktoś taki jak Brad ma rację? I że gównem to prawda? Nie we wszystkim zgadzam się z Todem. Co to, to nie. Strasznie jest na przykład cięty na alfonsów. Na te wybitne osobistości, które w dodatku tak ubarwiają miasto swymi ekscentrycznymi strojami i autami. Jak by sobie poradziły biedne dziewczyny bez alfonsów, którzy obsypują je pieniędzmi, niczego w zamian nie żądając? Inaczej niż Tod, gorzki brutal. Chodzi do nich tylko po to, żeby im wetrzeć brud w rany. I szybko się wycofuje, nim zjawi się wyrozumiały alfons i pięściami ozdobionymi biżuterią obstuka dziewczynę, żeby wróciła do formy. Kiedy tak nad nią pracuje, niemowlę w kołysce przy łóżku przestanie płakać i zaśmie jak aniołek, spokojne, że alfons czuwa.

Irene dalej regularnie dzwoni, ale nie powinienem robić sobie zbyt wielu nadziei. Myślałem, że pomału się do nas przekonuje. Nic podobnego. Znowu zwróciła się przeciw nam, jak nigdy dotąd. Czemu? Nie wiem. Może powiedzieliśmy coś nie tak?

Poprawia mi jednak humor to, jak Tod przygląda się kobietom na ulicy. Nareszcie patrzy, gdzie chce. Potrzeby i zainteresowania mamy co prawda nieidentyczne, ale przynajmniej zbliżone. Podoba nam się ten sam typ kobiet: kobiety. Tod najpierw spogląda na twarz; potem na piersi; i wreszcie na podbrzusze. Przy spojrzeniu od tyłu idzie to tak: włosy, talia, pośladki. Żaden z nas nie jest chyba szczególnym amatorem nóg, ale chciałbym czegoś więcej niż to, co dostaję. Sposób, w jaki Tod gospodaruje czasem, taksując poszczególne części ciała, też mnie złości. Na przykład zaniedbuje twarz. Muśnie ją wzrokiem z góry na dół i już się uwinął. A ja chętnie bym się podelektował. Może etykieta zabrania. Ale i tak



trochę mnie to wszystko pociesza. Już prawie nie miewamy zawrotów głowy, kiedy usiłuję zobaczyć coś, na co on nie patrzy, przyjrzeć się czemuś, czego on nie widzi.

Może właśnie dzięki tym studiom w terenie nasz samotny seks ożywił się nie do poznania. Brakujący składnik, ekstra esencję, znajdujemy, rzecz jasna, w toalecie. Albo w śmieciach.

Jak byśmy sobie poradzili bez toalety, Tod i ja? Jak byśmy sobie poradzili bez śmieci?

Nocą matki przynoszą Todowi niemowlęta. Tod tego nie pochwała, ale zwykle okazuje sporo współczucia. Matki płacą mu antybiotykami, które często bywają też chyba powodem cierpień dziecka. Musisz być okrutny, żebyś był dobry. Bobasy opuszczają gabinet wcale nie w lepszym stanie i cierpliwie się pieklą przez całą drogę do drzwi. A już ich

mamy idą w zupełną rozsypkę: wychodząc stąd po prostu wyją. Zrozumiałe. Doskonale je rozumiem. Przecież wiem, jak ludzie znikają. Dokąd? Nie pytaj. Nigdy o to nie pytaj. Nie twój interes. Maluchy na ulicy coraz bardziej maleją. Trzeba je pakować do wózek, a w końcu do nosidełek. Albo huśta się je w ramionach i łagodnie koi ich płacz: nic dziwnego, że żal im odchodzić. W ostatnich miesiącach płaczą więcej niż kiedykolwiek. I już się nie uśmiechają. Potem matki idą do szpitala. Gdzieżby indziej? Dwie osoby trafiają do pokoju, tego z kleszczami, z ubabranym fartuchem. Dwie. A wychodzi tylko jedna. Och, biedne matki, widać gołym okiem, jak się czują podczas tego długiego pożegnania, przewlekłego pożegnania z dziećmi.

No i najwyższa pora.

Odkąd się wreszcie zaczęło, nie posiadają się z oburzenia. Czemu Tod tak trwoni moje życie? Z dnia na dzień świat otworzył się

przede mną, odsłonił głębię i barwę. My też się otworzyliśmy. Nie jesteśmy już tylko powierzchnią, lecz morską otchłanią pełną wijącej się flory i pokrętnych ryb. Wszyscy są tacy, teraz już wiem: wzruszająco – nie, rozdzierająco – krusi. Nie mamy gdzie się skryć.

Miłość nie zdybała mnie zniecka – zostałem lojalnie uprzedzony. Zapowiedziała ją nowa porcja listów miłosnych. Ale nie od Irene, tylko do niej. Od Toda. Pisane tym jego kanciastym, równym charakterem, wyłoniły się oczywiście ze śmieci, z bebeczków plastikowego wora. Tod poszedł z nimi do saloniku i usiadł, kładąc na kolanach paczkę przewiazaną czerwoną wstążką. Czarną skrzynkę też miał pod ręką. Po chwili na chybił trafił wyciągnął ze środka paczki jeden list; utkwił w nim nieobecne, obojętne spojrzenie. Przeczytałem, ile się dało:

*Droga Irene!*

*Jeszcze raz dziękuję za poduszki. Podobają mi się, naprawdę. Pokój wygląda z nimi weselej i przytulniej... do niczego. Patelnię po jajeczniczy lepiej zalać zimną wodą niż gorącą... Nie przejmuj się Zanadto żylakami, są powierzchowne, bez przebarwień i obrzęków. Pamiętaj, podobasz mi się taka, jaka jesteś... Oczekuję naszego spotkania we wtorek z tą co zawsze niecierpliwością, ale w piątek byłoby może wygodniej...*

Bez emocji zajął się skrzynką. Choć fotografia, której szukał, była cała pomięta, zgnieciona, szybko ją uleczył zaciśnięciem pięści... Ale numer, pomyślałem. Więc to ona. Nie żadna młoda cipcia. Kawał starej baby. Uśmiechnięta, w beżowym spodnimie. Idąc wieczorem do pracy Tod zostawił listy przy schodkach przed domem, zamknięte w białym pudełku po butach, na którym ktoś – pewnie Irene – nabazgrał: „Niech Cię Diabli!” Nie wróżyło to najlepiej. Ale list Toda też moim zdaniem nie brzmiał zbyt

obiecująco.

Dwie noce później obudził się nad ranem i leżał oziębło.

- Akus - mruknął. Ostatnio często tak mruczy: Akus. Akus. Z początku myślałem, że to kaszel albo tłumiona zgaga, a może po prostu jakiś nowy niesympatyczny narów. Ale w końcu skojarzyłem, co facet mówi. Wylażł z łóżka i otworzył okno. I wtedy się zaczęło. Fala za falą, powiew za powiewem, pokój napełniło ciepło, trop innej istoty. Najbardziej wyczuwalny (i nieoczekiwany) był dym z papierosów! - którego Tod przecież nie znosi pomimo swoich cyklicznych cygaretek. I jeszcze jakaś cukierkowa lepkość, stara słodycz. Takie wonie słała nam z drugiego końca miasta... Tod bez pośpiechu zdjął piżamę i włożył szorstki szlafrok. Z niezbyt szczęśliwą miną rozgarnął pościel. Ale przynajmniej naszykował jej papierosy, wysypując na spodek kilka niedopałków i całą górę popiołu. Zamknęliśmy okno, zeszli na dół i zaczęli trochę.

Tod pokazał klasę - ośmieliłem się nawet pomyśleć, że to całkiem romantyczny gest, tak wyjść przed dom i stać w kapciach na mokrym chodniku. Choć jego nastrój z tamtej chwili nazwałbym raczej dogłębnym rozczarowaniem. Wkrótce usłyszeliśmy oślizgły szum opon jej auta i dostrzegliśmy na końcu ulicy dwa czerwone światełka. Zaparkowała, z hałasem otworzyła drzwiczki i precyzyjnie się przez nie. Ciut mnie zaskoczyło, że idzie przez jezdnię przodem, ze smutkiem kręcąc głową, jakby czemuś przeczyła. Kawał starej baby. Irene. Słowo daję.

- Tod? - powiedziała. - To już koniec. Zadowolony? Zadowolony czy nie, wszedł jednak przed nią do domu.

Kiedy włókł się na górę, zdarła z siebie płaszcz i też weszła na schody, dudniąc obcasami. Trochę mnie to, przyznam, zniechęciło. Wręcz zaboląło. Był to przecież mój pierwszy raz. Jestem może głupi, naiwny, ale miałem nadzieję, że będzie pięknie. Nic

podobnego. Musiałem na nią się napatoczyć akurat w kiepskim dniu. Ona też zresztą nie była taka, jaka by chciała. Och, nie moglibyśmy jednak jakoś się dogadać? Tod i ja położyliśmy się w skotłowanej pościeli, a Irene weszła do pokoju, zasłaniając oczy pięścią, w której ścisnęła papierową chusteczkę, i wymyślając nam od zasrańców. A potem zaczęła się rozbierać. Kobiety!

- Irene - próbował przemówić jej do rozsądku Tod. - Irene. Irene.

Rozbierała się prędko, jakby na wyścigi z czasem; ale pośpiech ten nie miał nic wspólnego z pożądaniem. Mówiła równie szybko, płacząc i kręcąc głową. Wielki stary babus w wielkim białym swetrze i wielkich białych spodniach. Jej biust tworzył pod brodą ostrokątne, aerodynamiczne urwisko, podtrzymywane czymś na kształt spadochroniarskiej uprząży, płataniną cum i bloczków. Spadł pancierz gorsetu. Sunęło ku mnie białe pupsko. Że też mogłem kolor jej ubrania wziąć za biel! Co mówiła, nad czym się rozwodziła w słowach po części utopionych, po części wyratowanych spośród westchnień i szeptów? W skrócie mniej więcej to: że mężczyźni zawsze są za tępi albo za ostrzy, nic pośrodku. Za głupi albo za bystry. Zbyt niewinni, zbyt winni.

- Kiepski żart - powiedział Tod, kiedy odwróciła się i na nas spojrzała. - Przecież wiesz, że nie mówiłem serio.

Trochę jakby złagodniała. Schyliła się i złożyła obok mnie tę swoją nieporęczną obfitość, a moja ręka sięgnęła po biały miąższ jej ramienia. Bliskość zapierająca dech. Nigdy, nigdy przedtem... Była spięta, podminowana (jak ja); ale skóra jest miękka. Dotknij. Daje. Poddaje się.

- Świetnie - rzekł Tod. - No to zjeżdżaj stąd w cholerę. Propozycja ta, jak z ulgą stwierdziłem, odrobinę ją uspokoiła. Ale w głosie Irene wciąż był lęk, kiedy powiedziała:

- Słowo.

- Słowo?

- Nigdy - odparła.

- Nie?

- I tak bym nie doniosła.

- Bzdura - powiedział Tod. - Kto by ci zresztą uwierzył. Za mało wiesz.

- Czasem wydaje mi się, że tylko dlatego dalej ciągniesz ten układ. Boisz się, że się wygadam.

Zapadła cisza. Irene przysunęła się jeszcze bliżej, a rozmowa przybrała inny obrót.

- Życie - zaczął Tod.

- Co? - Irene na to.

- Jezu, komu w ogóle zależy. Jedno wielkie gówno i tyle.

- A bo co? Nie dorastam, tak?

- Nie waż się o tym mówić.

- Dla swojej żony i dziecka też byłeś taki miły?

- To nas przecież nie dotyczy, prawda, Irene?

- Tylko wobec przyjaciół. I rodziny. Tych, których kocha.

- Człowiek nie ma obowiązku być zdrowy.

- W dodatku zabójczy - rzekła Irene.

- Musisz? Obrzydliwy nałóg.

Tod rozkaszał się i zaczął machać grubą prawą ręką. Po chwili Irene zgasła papierosa zapalką i wsunęła go z powrotem do paczki. Znaczącym ruchem obróciła się w naszą stronę. Nastąpiło dziesięć minut czegoś, co można by pewnie określić mianem preludium. Przytulanie, stękanie, westchnienia - te rzeczy. Potem Tod przewrócił się na bok i zawisł nad nią. A gdy rozchyliła uda, załała mnie fala myśli i uczuć, jakich nigdy przedtem nie miewałem. Posmak mocy.

- Kochanie - powiedziała, całując mnie w policzek. - Nic nie

szkodzi.

- Przepraszam - rzekł Tod. - Strasznie cię przepraszam. Czyli w końcu się pogodzili. Później szło już dużo łatwiej.

Tak, atmosfera była po prostu nadzwyczajna, kiedy się ubieraliśmy i schodzili na dół, żeby coś zjeść. Siedzieliśmy obok siebie we wnęce, spokojnie odwijając metr za metrem jasnego makaronu. A potem znowu coś po raz pierwszy: do kina, jakby nigdy nic. I to pod rękę. Czułem, że przemierzam nieznaną krainę, na paluszkach, z kobietą, której wolno mi dotykać - wolno mi z nią robić, co zechcę, a przynajmniej co zdołam. Gdzie są granice? Kiedy tak szliśmy, zawyła syrena: pełen aprobaty gwizd podrywacza z przeskakującej płyty gramofonowej... W kinie też nieźle się udało. Z początku przeżyłem chwilę niepokoju, bo Irene znów się rozplakała, nim zdążyliśmy choćby usiąść. A film rzeczywiście mógł przygnębić. Cały o miłości. Kochankowie z ekranu, promieniejący cichym pięknem i humorem, byli jakby stworzeni dla siebie, lecz po rozmaitych nieporozumieniach i przygodach jednak się rozeszli. Ale wtedy Irene już od pewnego czasu wydawała z siebie monotony, syty gulgot, chyba że akurat śmiała się do rozpuku. Wszyscy się śmiali. Tylko nie Tod. Nie Tod. Mnie co prawda też nie było do śmiechu. W końcu wylądowaliśmy w barze niedaleko kina. Irene piła koktajle: koniak z likierem miętowym. Tod parę kufli piwa. A chociaż do domu poszedł w podłym nastroju (całkiem nie w sosie), z Irene pożegnaliśmy się serdecznie i ciepło. Wiem, że jeszcze nieraz ją zobaczę. W dodatku zarobiliśmy dwadzieścia osiem zielonych. A razem z prażoną kukurydzą - trzydzieści jeden na czysto. Niby niewiele, ale takie to już czasy, że trzeba żyć z ołówkiem w rękę, bo wszystko z dnia na dzień tanieje, a Tod marszczy brwi i co chwila liczy pieniądze.

A ja straciłem głowę. Już nie wiem, gdzie góra, gdzie dół.

Przebaczenie w jej młodych niebieskich oczach, gdy ze śmiertelnym zażenowaniem zerkają z twarzy jak stary trampek, nabrzmiałej, pomarszczonej, spierzchniętej. Ach, ci ludzie! Trzeba chyba mieć mnóstwo odwagi czy czegoś, żeby wchodzić w cudze wnętrza, w innych ludzi. Każdemu się wydaje, że wszyscy prócz niego żyją w fortcach, w warowniach za fosą, za stromym murem zwieńczonym kolcami i szklaną stłuczką. Ale w rzeczywistości zamieszkujemy znacznie bardziej niepozorne konstrukcje. Jesteśmy, okazuje się, prowizorycznie sklecani. Albo i to nie. Ot, wtykasz głowę pod klapę namiotu i włazisz. Jeżeli cię zechcą.

Więc może jednak można uciec. Uciec z... nieodgadnionej monady. Podróż kobiety w głąb mężczyzny to cięższa przeprawa. Kobieta opowiada nam o sobie. Lecz ile tak naprawdę wie? A Tod jak zawsze z pokerową miną. Wciąż jeszcze nie jestem pewien, czy w końcu wobec niej się wywiąże.

\* \* \*

Fascynująca jest ta wiadomość o żonie i dziecku. O rodzinie, którą Tod i ja będziemy kiedyś mieli. Ale tak w ogóle, to z dziećmi mam kłopot. Wiadoma rzecz, z nimi tylko kłopot i zmartwienie. Martwieją w oczach.

Gdzie się podziewają te istotki, odrobinki, kiedy już znikną: nagle nieobecne? Mam nieodparte przecucie, że wkrótce zacznę je widywać we śnie Toda.

Co sześć, siedem dni, kiedy szykując się rano, żeby walnąć w kimono, z tępą rutyną szargamy się i brukamy (palcem pod włos mierzwimy brwi), Tod i ja czujemy, że sen tylko czeka swojej chwili, gdzieś po tamtej stronie zbiera siły. Jesteśmy zrezygnowani. Kładziemy się przy zapalanej lampie, a świt pomału gaśnie. Bije na nas letni pot, lśni i natychmiast się ulatnia. Podnosi nam się

częstość akcji serca, aż uszy zachłystują się świeżą krwią. Nie wiemy już, kim jesteśmy. Muszę być przygotowany, że Tod rzuci się raptem do lampy i naciśnie wyłącznik. A wtedy po ciemku, z krzykiem, który brutalnie wykręca mu szczękę - pogrążamy się. Olbrzym w białym kitlu, w czarnych butach z cholewami, w kilometrowym rozkroku. Gdzieś w dole, między jego nogami, kolejka dusz. Gdybym miał moc, chociaż tyle, żeby odwrócić wzrok. Proszę, nie pokazujcie mi niemowląt... Skąd taki sen? Tod jeszcze tego nie zrobił. Czyli śni mu się coś, co robi prędzej czy później.

Oni tam mają tak zwaną modę. Coś dla młodych trzpiotów, lecz mnie i Toda też czasem skorci. Poszliśmy na przykład niedawno do lumpeksu i wybraliśmy dwie pary rozszerzanych spodni. Chciałem od razu przymierzyć, ale miesiącami trzymał je w szafie na piętrze, aż dostały zmarszczek i bąbli i wreszcie zrobiły się w sam raz, akurat dopasowane do tej szczególnej procy, którą tworzą jego nogi. A pewnego wieczoru bez ceregieli w nie wskoczył. Później, po pracy, dokładnie przyjrzałem się tym naszym dzwonom, kiedy Tod przeglądał się w lustrze od stóp do głów, rozplątując pulchny węzeł krawata. Nie były takie znowu okropne, nie jak te dubeltowe sutanny, które wkrótce pojawiły się na ulicach. Ale i tak wydały mi się haniebne: gwałciły mój zmysł estetyczny. Ten zażywny obywatel, stary doktor - i jego zakichane łydki. Gdzie podział stopy, na miłość boską? To chyba wtedy odgadłem, że okrucieństwo Toda, sekret Toda, wiąże się z pewną zasadniczą pomyłką co do ludzkich ciał. A może właśnie odkryłem coś ze stylu, specyficznego kroju tego okrucieństwa. Miało być szmaciarskie, zasrane, błędne, od dupy strony: jak dzwony... Ale przyjęły się i teraz wszyscy w nich latają. Suną ulicami jak jachty: żeglarze wyrzuceni na miejski ląd. Aniśmy się obejrzeni, a tu sukienki jadą w górę prawie o metr. Zaskakująca



szczerść i moc kobiecego udźca. Już pomału zjeżdżają z powrotem, ale - Jezu.

Okrucieństwo ludzkie jest pewnie wartością stałą i wieczną. Tylko style się zmieniają. Kiedy kilka lat temu jakiś pedofil spacerował po domu towarowym albo siedział przy stoliku w zaciszu „Sałatkowej Orgii” czy „Desantu Deserów”, mógł koordynować swoje spotkania - międzypokoleniowe schadzki - przez przenośny telefon. Dziś takich telefonów nie uświadczysz, a domy towarowe i restauracje też nie te, więc pedofil musi sobie radzić inaczej, zmienić styl.

Zanosi się na wojnę. Niedużą wojenkę, na razie. Kiedy w barach spoglądamy znad szklanki Budweisera, Molsona czy Millera w telewizor pod sufitem, widzujemy to samo ujęcie: spośród fal oceanu niby ryba miecz eugenicznie skrzyżowana z płaszczką wzbija się helikopter i posępnie kuca na pokładzie lotniskowca, gotów do boju.

\* \* \*

Myślałby kto, że to spory komfort, kiedy jest się (właściwie) bezwolnym - a już na pewno bezcielesnym, więc i tak nie można by swej woli wprowadzić w życie. Owszem, sporo spraw organizacyjnych i porządkowych masz z głowy. Budzi się jednak zarazem przekorna chęć, żeby wysunąć się na pierwszy plan, wystąpić jako drogocenny wyjątek. Nie płyn wcięż tylko z prądem. Nie płyn, pod żadnym pozorem. Małe może i nie jest piękne. Ale duże jest szalone.

Nie chciałbym zostać posądzony o jakieś niezdrowe nawiedzenie na tym punkcie ani o niski współczynnik błysku - owszem, zgoda, pod wieloma względami ciężki ze mnie frajer - lecz śmiem twierdzić, że w zasadniczej kwestii różnic między ludźmi

wyprzedziłem Toda o parę długości. Jakiś wewnętrzny czujnik określa jego stosunek do wszelkich dających się wyodrębnić podgatunków ludzkich. Jego tonus psychiczny, wyskalowany według poszczególnych nastrojów i stanów pogotowia, skacze od jednej częstotliwości do drugiej: jedna przeznaczona jest dla Latynosów, inna dla Azjatów, jeszcze inna dla Arabów, Indian, Czarnych, Żydów. Ma też w rezerwie cały repertuar wrogich reakcji na widok sutenerów, kurew, ćpunów, wariatów, szpotawych, zajęczowargich, pederastów i zgrzybiałych starców. (Wtrącę przy okazji, co myślę o pederastach. Bo to chyba na temat. Otóż pederasta jest całkiem w porządku - w sumie miły facet - *pod warunkiem, że wie o tej swojej skłonności*. Dopiero kiedy nie zdaje sobie z niej sprawy, robi się zamęt. Robi się groźnie. A właśnie w uczuciach Toda wobec mężczyzn, kobiet i dzieci jest zamęt. Jest groźba. Żeby było jasne: nie wytykam Toda palcem - o, pedał, pedał. Nie tak dosłownie. Byłoby po prostu mniej mętnie i groźnie, gdyby trzeźwo rozważył możliwość, że jest pederasta. Tylko tyle.)

Musiałem się dopiero nauczyć tego rozróżniania. Przynajmniej na początku nikt nie budził we mnie z góry określonych uczuć, na plus ani na minus (oprócz lekarzy: skąd mi się to wzięło?). Poznając nowych ludzi wsłuchuję się w puls ich utajonego jestestwa i wiele z niego się dowiaduję: ile mają w sobie lęku, ile nienawiści, ile spokoju, ile zdolności wybaczenia. Chyba naprawdę uczuciowy ze mnie typ. Wyobraź sobie to ciało, którego mi brak: wyidealizowany płód, z wiernym uśmiechem na twarzy.

Jest w ZUL-u pewien japoński stażysta z Osaki, który przyjechał na pół roku w ramach wymiany. Z początku oczywiście dość towarzyski, stopniowo oddalał się, powlekał szklivem. Jego szczęście, że nie było go tu kilka lat temu, kiedy jeszcze serdecznie Japończyków nienawidziliśmy. Ma na imię Mikio. Dziwnie wygląda

z całym tym swoim brzemieniem inności: światło więźnie mu we włosach, a pod połami powiek migocze menisk srogiej inteligencji. W przerwie na lunch garbi się nad książką w stołówce ZUL-u. Przyglądam się z daleka. Czyta jak ja - tak jak ja bym czytał, gdybym miał wolną rękę. Przewraca kartki z prawa na lewo. Zaczyna od początku i kończy na końcu. Widzę w tym pewien pokrętny sens - lecz Mikio i ja jesteśmy tu w zdecydowanej mniejszości. Jakim cudem nasze mogłoby być na wierzchu? Tyle osób nie miałoby wtedy racji. Woda płynie wzwyż. Dąży do najwyższego poziomu. Myślałeś, że nie? Dym opada. Rzeczy powstają z gwałtu ognia. Ale nic nie szkodzi. Grawitacja po staremu przygważdża nas do planety.

Wielu współpracowników - Tod także - wyśmiewa go i w ogóle, ale Mikio to wolny człowiek, ma prawo czytać po swojemu. Pobożni Żydzi, zauważyłem, też tak czytają. Czyli ludzie są wolni, ogólnie rzecz biorąc są wolni, prawda? Otóż wcale na takich nie wyglądają. Potykają się, zataczają, głosy mają ochryple lub zdławione, leżą wspak drogami jakby już przebytymi, wytyczonymi. Och, z jakim wstrętem kobiety cofają się z deszczu w drzwi. Nie patrząc, dokąd idą, ludzie krążą po zaprogramowanych trasach, zbrojni w kłamstwa. Zawsze cieszą się na myśl o podróżach do miejsc, z których dopiero co przybyli, albo żałują czynów jeszcze nie popełnionych. Mówią „dzień dobry” zamiast „do widzenia”. Władcy kłamstw, sami szoguni szmelcu i szajsu. Tabliczki NIE ŚMIECIĆ - komu zabraniają? Przecież ani nam w głowie. Załatwia to rząd, nocą, ze śmieciarek; albo smutni panowie w uniformach przychodzą rano ciągnąc wózki i sieją nam śmieci, a przy okazji gówno dla psów.

Powtarzam to do znudzenia, ale fizycznie Tod i ja naprawdę

czujemy się znakomicie. Chociaż ciało nie szczędzi nam drobnych upokorzeń. Po staremu co rano dostajemy w dupę, jak każdy - lecz teraz załatwiamy się w try miga. Brawo, Tod - nie wiedziałem, że taki z ciebie kibelmajster, majsterklopka. Byłem już właściwie pogodzony z dozgonną perspektywą łzawej półgodzinki. A ostatnio uwijamy się w łzawe dwadzieścia minut.

Kiedy codziennie weryfikuję przed lustrem człowieczeństwo Toda, widzę, że nie zauważa tej poprawy. Jakby nie miał skali porównawczej. Chce mi się stuknąć obcasami, zacisnąć pięść: Tak! Czemu ludzi bardziej nie cieszy to ich świetne - stosunkowo - samopoczucie? Czemu nie klepiemy się bez przerwy po plecach, wołając: „I co ty na to?”

Nic więc dziwnego, że po wielu falstartach, wielu godzinach w bezsłonecznym morzu zakłopotania, skruchy i tremy, Todowi i mnie w końcu wyszło z Irene. Wykazała nienaganny takt i wcale nie podkreślała, jaki to przełom. Tod też nie skakał do sufitu: ot, codzienność. Ja za to wpadłem w ekstazę. Rozpierała mnie duma. Jestem prawie pewien, że jak zwykle dałem się ponieść. Teraz już ciut się uspokoiłem. Chodzę fantastycznie zblazowany. Więc to jest miłość. To jest życie. Mieć do nich dryg, smykałkę: żadna sztuka, okazuje się. Miłość z życiem idzie w parze. Naturalnie.

Namiętny romans pociąga za sobą (tak mi się przynajmniej zdaje: coraz ostrożniej definiuję związki przyczynowe) wzrost znaczenia mojej roli w ZUL-u. Roli, powiadam, bo lekarz uczestniczy w swego rodzaju spektaklu kulturowym, w kompozycji z ruchów, tonów i gestów pocziwej mocy. No i dobrze. Społeczeństwo temu pobbłaża. Ustąpiłem miejsca w miłym pokoiku na tyłach gmachu pewnemu starszemu panu i częściej można mnie teraz zastać w gabinetach przyjąć. Przerabiam już nie tylko starców. Kobiety i dzieci też.

Nawet niemowlęta. Nie możemy dać niemowlętom spokoju, czy co? Tod jest przy nich weselszy tutaj niż w domu (bo tam, w szlafroku i w kapciach, cierpiętnicze powłóczy nogami). Kiedy niemowlęta wjeżdżają w wózkach albo wnoszą je dorośli, mają się nieźle, a ty badasz je i mówisz: „Nic koleżce nie dolega”, coś w tym stylu. Kulą w płot. Zawsze kulą w płot. Bo po kilku dniach bobas wraca z purpurowymi uszami, cały zakasłany: ma krup. Ni cholery im nie pomagasz. Trudność polega chyba na tym, żeby tak postępując mimo wszystko pozostać poczciwcem.

Czasem zdarzają się przedziwne spotkania materiałów ludzkiego wyrobu - szkła, metalu - z ludzkim ciałem. I krwią. Za każdym razem mam ochotę rzucić pawia, ale najgorsze okropności i tak nas omijają, bo - jak twierdzą koledzy - w porównaniu z resztą branży biomedycznej my tu tylko odwalamy drobną łataninę: ciężkie przypadki sprowadzamy karetką na sygnale prosto ze szpitali miejskich i czym prędzej podajemy dalej. Jedno trzeba więc przyznać okaleczonym i zmasakrowanym. Że tu nie zagrzewają miejsca. Owszem, wygodny mamy układ w ZUL-u przy szosie numer sześć.

Nic dziwnego, że niektórzy pacjenci zaraz na wstępie wnoszą oficjalną skargę czy wręcz pozew. Składania wizyt domowych odmawiamy przez telefon, i to zanim petent zdąży poprosić - nim usłyszymy przerażenie w głosie matki, płacz niemowlęcia. Takie już mamy zasady, wyjaśniamy. Chcesz, żeby cię porypać, to sam przyjedź: porypiemy. Za umiarkowaną opłatą. I od ręki.

Tak jak się obawiałem, w snach Toda pojawiły się niemowlęta. Już są. A przynajmniej jedno. Ale nie dzieje się nic makabrycznego, więc na razie jakoś się trzymam.

Niemowlęta kojarzą się naturalnie z bezbronnością. Lecz nie

w tym śnie. W tym śnie niemowlę ma niebywałą moc. Jako najwyższa instancja rozstrzyga o życiu i śmierci rodziców, starszego rodzeństwa, dziadków - wszystkich, którzy są z nim w pokoju: około trzydziestu osób, chociaż pokój - jeśli to w ogóle jest pokój - nie może być dużo większy niż kuchenka Toda. Jest w nim ciemno. Powiem więcej: jest w nim czarno. Niemowlę - choć tak potężne - zanosí się płaczem. Może opłakuje właśnie to złowrogie odwrócenie ról, nowo nabyte, rozpaczliwie ciężkie obowiązki władcy. Rodzice ledwie dosłyszalnym szeptem usiłują je utulić, uciszyć: przez chwilę wydaje się, że będą może nawet musieli udusić. Owszem, budzi się ta bolesna pokusa. Bo niemowlę zawdzięcza swój drastyczny awans głosowi. Nie tłustym piąstkom, nie beużytecznym nóżkom, ale głosowi, dźwiękom, które wydaje, zdolności do płaczu. Rodzicom wolno oczywiście decydować o życiu i śmierci niemowlęcia, to ich niezbywalny przywilej. Lecz teraz, w tych osobliwych warunkach, w osobliwym pokoju, właśnie niemowlę ma w ręku ich życie i śmierć. Ich i wszystkich obecnych. Około trzydziestu dusz.

Tod męczy się dużo bardziej ode mnie. Ja przecież zawsze czuвам, kiedy mu się tak śni. I jestem niewinny... Nie oblewa mnie chorobliwy lakier uzurpacji i zarzutów. Wiem, że to tylko sen. Sadowię się wygodnie i (z lekkim, co prawda, niepokojem) śledzę nocny seans, który wyświetla głowa Toda, jego sekretny umysł - jego przyszłość. Gdy przyjdzie pora przeżyć to, co zwiastują sny (na przykład kiedy dowiemy się, w jaki sposób niemowlę zyskało taką moc), może bardziej się przejmę. A Tod przed każdym z tych snów sam szłocha jak niemowlę. Lecz miewa teraz czasem przy sobie Irene i nim się pograży, ona podnosi go na duchu.

W telewizji (patrz!) - na dachu, na gzymsie, wysoko, zapłakany mężczyzna w brudnej białej koszuli, z niemowlęciem na ręku. Nieopodal policjant pilnie przykucnięty, sprzężony i spięty przed tą

pilną konfrontacją czy też transakcją. Mówi przez tubę, że chce zabrać niemowlę. Czyli rozbroić zapłakanego mężczyznę w brudnej białej koszuli. Który nie ma broni. Jego bronią jest niemowlę.

Inaczej niż w czarnym pokoju, gdzie zwięglony mrok krąży po omacku wśród nieruchomych postaci. Wiem, że inaczej. Bo tutaj niemowlę nie jest bronią. Prędzej już bombą.

Akurat kiedy Tod zdołał ugruntować nasz związek z Irene, stworzyć układ, dla którego każdy normalny mężczyzna gotów byłby zabić - jej punktualne wizyty i czułe telefony, wspólne wypadki do kina, wyborne kolacje, spokój i bezpieczeństwo (przebaczenie), którymi nas obdarza jej obecność, i jeszcze to przepyszne rozleniwienie zbliżeń miłosnych co kilka miesięcy, jak w zegarku, no więc akurat kiedy na tyle z nią się spoufaliliśmy, że możemy chyba pomówić - łagodnie, lecz stanowczo - o bałaganie, który zapuszcza w domu, bo takie sprawy najlepiej jest wywlec na światło, a nie żeby jątrzyły się i paskudziły w ukryciu, i w ogóle - no, zgadnij. Tod zaczął kręcić z inną. Aha. Z Gaynor.

W pewną niedzielę po południu wsiedliśmy do auta i jak w transie pojechali za miasto, do Roxbury, zaparkowaliśmy, przeszliśmy się trochę ulicami, no i proszę: stała na progu swojego domu, w niebieskim szlafroku, z założonymi rękami, z ni to ubawioną, ni to urażoną miną.

- Ty stary draniu! - zawołała. Ale udało się nawiązać rozmowę. Nie wyczułem, co się święci, póki nie weszliśmy do środka. Tod, miałem ochotę powiedzieć: daj spokój. Głos sumienia. Zaledwie szept. Nikt nie słyszy. No i przerobili cały program od A do Z - a raczej na odwrót. Po tym niemrawym wstępie jeździmy teraz do Gaynor regularnie, co drugi tydzień. Nazywa się to „graniem na dwie strony” albo „podwójnym życiem” - i tak je właśnie odczuwam.

Jak rozdarcie. Chociaż przyznam, że fizycznie daje mi niezłego kopa, bo nasza nowa przyjaciółka kręci się po świecie sporo dłużej niż Irene. Złotko ma tylko pięćdziesiąt cztery lata. Ale jestem wytrącony z równowagi. Powiem szczerze: jestem oburzony. W zeszłym tygodniu umówił się z trzecią: z Elszą. I tak szczęście, że skończyło się na lunchu. Polało się wiele jadu, obrzuciła nas okropnymi wyzwiskami. W moim pojęciu kompletna kłapa, ale coś mi mówi, że Tod nie traci nadziei. Czy tak wolno? Czuję się, jakby za chwilę miano nas aresztować. Gdzie są granice?

Dla gruczołów Toda świat nagle jest kobietą. Nawet ostrość miasta w mokrą noc, woal ulewy, witraż mroku – jest kobietą. Ich wszechobecne kształty ślą jego gruczołom sygnały. Zastanawiam się, czy to nowe zainteresowanie ma charakter zawodowy, tak jak w ZUL-u, gdzie Tod pieczołowicie bada ich ciała, ogniska zaburzeń i wzburzeń. Ale ta świeżo wzbudzona ciekawość wydaje się o wiele zbyt rozległa i bezrządna, bez żadnej specjalizacji. Odpreżamy się, z filiżanką kawy zapadamy w fotel, obojętnie spoglądamy w okno, gdy wtem Tod spostrzega jakąś sylwetkę po drugiej stronie ulicy (co też...?), przez płot, przez liście, i daremnie wykręca sobie szyję, zapuszcza żurawia, aż w końcu pochyla się i wstaje.

Po co? Bo a nuż to kobieta.

Paralaksy zagród dla bydła przemieszczają się i drżą. Przemysł wkracza do miasta. Staniała benzyna. Wszystko szybciej się rusza. Chorych umysłowo zabrano z ulicy; nie pytamy, dokąd. Lepiej nie pytać. Nigdy nie pytaj. Już nie nomadzi, nocni wędrowcy... Szerzy się za to krzepki altruizm. Wszyscy mają teraz pracę, w stalowni albo w fabryce samochodów. Myją wiatr. Uprzątając hałdy śmieci i odpadków czyszczą też ziemię i niebo, przeistaczają auta, a narzędzia, części urządzeń, broń i śruby rozkładają na węgiel



i żelazo. Serio zajęli się problemami środowiska naturalnego, stawiają im wreszcie czoło, zjednoczeni wspólnym celem. Skończył się czas gadania. Nie ma gadania. Tylko czyn. Na totalną chorobę totalna terapia. Mniej jest miejsca dla myśli i uczuć, a przemożne zmęczenie wpływa chyba na ludzi stabilizująco. Praca wyzwala: kiedy idą do niej w piątek wieczorem, jakże się śmieją, pokrzykują, kołyszają w ramionach.

Tod uwielbia tłumy. Tłumowi można przewodzić i nikt nawet nie zauważy. Weźmy choćby rozszerzane spodnie. Już od pewnego czasu paraduje w tych swoich dzwonach i nagle wszyscy w nie wskoczyli. Tak samo koszule w kwiaty i oślizgłe apaszki, no i ten jakiś kaftan czy inny sarong, który wkłada w weekendy - biały, zbliżony krojem do chirurgicznego kitla, lecz budzi inne skojarzenia. W jego wieku to ohyda, owszem, ale inni starzy podobnie się ubierają i nikt z młodych im nie zabrania. Moda to tłumy. Tod nosi też czerwoną opaskę na ramieniu, jak wszyscy. Ja w tłoku dostaję paranoi i klaustrofobii, lecz on uwielbia towarzystwo tłumów i wręcz go szuka. Z zachwytem i ulgą wtapia się w ogół, w pałającą masę. Zrzuca brzemię, które często bywa ponad jego siły: we wszystkożernej ciżbie zatracą własną tożsamość, jestestwo. Moja obecność nigdy nie jest wątlejsza. Ale to stary numer. Wyrzeknij się duszy, a zyskasz moc.

Czarne chmury nad nami, niebo obłożone nimi jak język, po którym pełga promień z latarki lekarza, gdy mrocznym karnawałem protestujemy przeciwko wojnie wietnamskiej: ożywione, uniesione twarze, ścisk ciał sunących we wspólnym kierunku, poczucie równoczesnego zagubienia i racji, zagubienia i racji. Jest nas dobry kilometr, młodzi i starzy, biali i czarni, dziewczyny i chłopcy, szukamy potwora, żeby go zabić lub stworzyć. Na planszach i transparentach rutynowe teksty o pokoju, o wojnie, a tu i ówdzie

bardziej konkretne żądania: SKOŃCZYĆ Z CICHĄ SEGREGACJĄ albo WYLAĆ PANIĄ AINTREY. Tod gapi się na WYLAĆ PANIĄ AINTREY. Wcale nie chce jej wylać. Wolałby ją pewnie odnaleźć - i utulić. Sra na wojnę wietnamską, to jasne. Nie przyszedł tu też, bądźmy sprawiedliwi, wyłącznie za kobietami. Przeciwnie: chce się od nich uwolnić, urwać im się, spłynąć w bezpieczne gorąco tłumu.

Zanosi się na kolejną wojnę. Tak, tak, to pewne. Wielka wojna, wojna światowa przetoczy się przez wioski. Męcząca jest sama myśl o przygotowaniach, ile rzeczy trzeba będzie zdemontować, przekopać, ile ran rozdlubać, żeby się nagle zagoiły... Zostało równe dwadzieścia pięć lat. To dlatego piszą o niej i mówią wszędzie, gdzie spojrzysz: nawet gdzie Tod spojrzy. Z początku myślałem, że będzie tych wiadomości przybywało aż do jej wybuchu, ale dzięki Bogu .fala zaczyna opadać.

Bo Tod jest ogromnie uwrażliwiony na te informacje. Byle wzmianka wstrząsa nim jak woń, jak dzwon. Za późno... Podobny czujnik włącza się, ilekroć Tod słyszy ten inny język, czyli ostatnio dość często, zwłaszcza w Roxbury, gdzie włóczy się w co drugą niedzielę; takim językiem mogłyby mówić maszyny pod nieobecność ludzi, żywych słuchaczy. Trzecią rzeczą, która uruchamia czujnik, jest obcinanie paznokci. Odór szarych ścinków skwierczących w ogniu...

Porównałem daty. Na obecną wojnę dawno jesteście za starzy, lecz kiedy zacznie się światowa, będziemy w sam raz zdatni, żeby się bić. Jesteście przecież okazem zdrowia. Nie mamy platfusa, wzrok doskonały. Nie mamy szpotawych stóp, marksistowskich poglądów ani świra. Nie wzbraniamy się przed wojskiem z powodu przekonań ani żadnych takich. Po prostu ideał.

Typowy romans zaczyna się ostatnio mniej więcej tak. Ściśle

mówiąc, zaczyna się chwilą grozy.

Najpierw zwykle jedzie się późną nocą do jakiejś knajpki. Kelner przyniósł nam właśnie forszę, premię uznaniową czy jak to tam nazwać, więc siedzimy sobie, spokojnie prychemy i ślinimy się do bombki z brandy, delektując się cerebralną cygaretką. Nagle czujemy, że ludzie na nas się gapią. Oj, tego to my nie lubimy... Potem naszą uwagę przyciąga, wręcz przykuwa pochyłona postać kobiety, która wchodzi w pośpiechu i zmierza przez salę prosto ku nam. Jasna, ciemna, szczupła, pulchna, może elegancka, może niezbyt. Raptem obraca się na pięcie. To wielka, nasycona mocą chwila, kiedy robią ten wyzywający piruet, a my widzimy nareszcie ich twarze. Powiem od siebie, że zawsze wpadam wtedy w popłoch, bez względu na to, jaką twarz mi pokażą. Bo co mnie dziwi w stosunkach z kobietami, to fakt, że wszystko dostajesz od razu na pierwszej randce. No, czasem na drugiej, ale zwykle na pierwszej. To błyskawiczne wtargnięcie. Błyskawiczne wtargnięcie i podbój. Godzina, góra dwie godziny przy stoliku - i już. Och, litości. Możesz podejść do kobiety na rogu i ją skrzyczeć, a po dziesięciu minutach jest z powrotem w twoim pokoju i wyczynia Bóg wie co. Nieraz pierwszym kontaktem fizycznym, pierwszym dotykiem bywa policzek albo odepchnięcie: kobieca dłoń ściera Todowi z twarzy waty, lecz wredny uśmiech... Żądy? Wzgardy? Po drodze musi tylko nastąpić ta chwila grozy, o której wspomniałem. To ona wszystko uruchamia; uprawomocnia. Widocznie jest koniecznym warunkiem.

No więc kobieta siada przy stoliku, zarumieniona, egzaltowana, wyniosła, nieugięta - w każdym razie zdrowo wkurzona - a ja na początek rzucam mniej więcej coś takiego:

- Nie odchodź, proszę.
- Żegnaj, Tod.

- Nie odchodź.
- Nic z tego nie będzie.
- Proszę cię.
- Nie mamy przed sobą przyszłości.

Pod tym akurat, muszę przyznać, w duchu jak najbardziej się podpisuję. A Tod dalej swoje:

- Elsa - mówi (albo Rosemary, Juanita, Betty-Jean). - Nie znam drugiej takiej jak ty.

- Akurat.
- Ale ja cię kocham.
- Nie mogę spojrzeć ci w oczy.

Oczywiście nieraz już zauważyłem, że większość rozmów miałaby dużo więcej sensu, gdyby je puścić od tyłu. Ale w sprawach męsko-damskich można je puszczać w dowolną stronę i nie ruszyć naprzód.

- Proszę cię. Możesz zostać na noc.
- To już koniec, Tod.
- Beth - on na to. Albo Trudy, wszystko jedno.
- Już mi nie leży ta sytuacja.
- Daj mi jeszcze szansę.

Potem lecą po schematach. Od orzechów do zupy. Nie dziw się tym kobietom: Tod ma pewne zalety. Jest, jak się powszechnie uważa, „bardzo tkliwy”. (Chyba wiem, co to znaczy. Ale skąd one mogą wiedzieć?) Nad jego oczywistymi wadami - choćby nad tą, że jest lekarzem i ma trzydzieści parę kobiet naraz - zbytnio się nie rozwodzą. Najgorzej znoszą chyba fakt, że on nic nie czuje, nie kontaktuje, nigdy się nie otwiera, wciąż coś ukrywa. Trudy, Juanita i inne chcą pewnie przez to powiedzieć, że dostają przy nim zimnych dreszczy. Ale cokolwiek mają na myśli, cokolwiek mówią czy tylko sugerują, Tod się nie krępuje.

Lubi kochać się z nimi o zmroku, morową porą. Nie pozwala im przemocować - kolejny często omawiany feler. Tylko Irene zostaje czasem na całą noc... Beth z rozdziawioną torebką na kolanach. Cierpi, bo to już koniec. A ja cierpię, bo to dopiero początek. Kiedy przebrniemy na drugą stronę, wiem (z doświadczenia), kiedy szczerze przywiążę się do nich i do ich wdzięku, zaczną się oddalać, nieubłagane blaknąć mi w oczach, wśród leciuteńkich pocałunków, przelotnych uścisków dłoni, muśnięć łydki w pończosze przemycanych pod stołem, uśmiechów. Będą nas chytrze zbywać kwiatami i czekoladkami. O, znam to na pamięć. Aż pewnego dnia spojrzą na ciebie jak na powietrze. I zaraz zmienią pracę albo wyniosą się do innego miasta. Nagle mają dzieci i muszą je przepchnąć przez studia albo sterczą przy jakimś starym mężu, ludzkiej ruinie.

Kończymy koktajlem, ale dalej siedzimy i sumiennie opisujemy kelnerowi kolację, podpierając się kartą dań. Milczenie w aucie, kiedy wracamy do domu Toda, i akt miłosny mroczną porą. Poprzedzony, jak już mówiłem, chwilą grozy. Ma zresztą w sobie pewien żaloszny patos taka wieczorna scena między dwojgiem dojrzałych partnerów - ich okulary, włosy, ciężkie stare buty, no i ta dodatkowa szczypta ufności, której przynajmniej kobieta zapragnie, ale niekoniecznie dozna. O, już jest - jak dzwon. Nagie kobiece spojrzenie. Ciało też już zapewne obnażyła, lecz najbardziej nagie są oczy ludzkie: nie mają nawet skóry. Jak dźwięk dzwonu jest ta chwila wyostrzonej uwagi. I zawsze ten wyraz oczu - pełne zrozumienie, niemiłe zdumienie - jakby wszystko zobaczyły, także postać ze snu, tę w białym kitlu i czarnych butach z cholewami, a w ślad za nią nocne niebo z rojem dusz. Ale cokolwiek ujrzały, specjalnie ich to chyba nie martwi. Kto wie, wręcz może niezdrowo podnieca. Po paru sekundach skwitują westchnieniem jego

niewiarygodne wtargnięcie. I szybko dojdą do siebie. Odtąd będzie to tylko leitmotyw rozmów, coś w rodzaju odrzekania: *W gruncie rzeczy chyba cię nie znam*, albo: *Co się w tobie właściwie dzieje?* – czy wreszcie: *Pokaż mi prawdziwego siebie*. Prawdziwego Toda. Sam oczywiście jestem ciekaw. Prawdziwy Tod: pokaż mi, co to. Tylko czy aby na pewno chcę zobaczyć?

Irene wyraża się może najcelniej – a już z pewnością najczęściej – kiedy mówi Todowi, że jest bezduszny. Z początku brałem to do siebie i byłem nieszczęśliwy. Ale Irene jakoś nas się trzyma. Czy Tod może być aż tak okropny, skoro ona nas się trzyma? Przecież nie musi. Nie jest naszą matką... Tod oczywiście nie był łaskaw jej uraczyć opowieściami o swoich nowych związkach, podbojach, wtargnięciach, cichych *aneksjach*. Ale ona wie, jaki jest. Ma dobre oko. Zauważyła na przykład coś, co długo mi się wymykało: że Tod nie potrafi mówić i uśmiechać się równocześnie. Ale może on po prostu nie chce albo nie potrzebuje... I tak nieźle sobie radzi. Ze wszystkimi swoimi panienkami, z tym mnóstwem ciał, ich różnych detali i szczegółików. A ja cierpię. Okazuje się, że fatalnie znoszę ten wieczny zamęt i żal. Gdybym był panem swego losu (wykluczone, wciąż ta kompletna niemoc: nic tu nie namieszam), pozostałbym wierny Irene. Przynajmniej póki nie zjawi się moja żona. Po prostu dla zasady. Jeden mężczyzna, jedna kobieta: uważam, że winni to jesteśmy ludzkiemu ciału. Czuję się jak namiętne widmo, niemowa lejący żarliwe łzy, kiedy Irene leży w naszych ramionach. „Tod może sobie grać na dwie strony – chciałbym jej szepnąć – ale ja jestem ci wierny. Jestem stały. Jestem wierny.”

Ten sen zawsze dzieje się w pomieszczeniu, w szopie ogrodnika czy garncami. Przybory nie te. Atmosfera zupełnie nie ta. W środku

grupa ludzi. W pomieszczeniu, w którym monotonnie zapadnie mordercza decyzja.

Utajony umysł Toda żąda - głosem snu - żeby Tod cierpiał ból. Sny domagają się tego w trybie smętnych repetycji. Ból i strach. Tod Friendly ma w banku strachu spory wkład. Koło północy czasem coś tworzy. Naprawia i leczy jak wariat. Chwytając za drewno i za obicie, jednym uderzeniem o podłogę, jednym ciosem potrafi stworzyć kuchenne krzesło. Wściekłym i celnym kopniakiem obolałej stopy wyrówna głęboki dołek w ścianie lodówki. Uderzy głową i natychmiast usunie rysę z lustra w łazience, a ze swojego splamionego czoła tę pręgę, która coraz gorzej rokowała, i stanie, gapiąc się we własne odbicie i mrugając oczami.

Wspomniałem o trzech czujnikach, trzech impulsach, które w ciele Toda budzą odzew. Miedziany klangor linki alarmowej, napiętej niczym struna w jego brzuchu. Jest i czwarty impuls. Podobnie jak pieczone paznokcie, pochodzi z ognia. Czyżby to ogień był impulsem? Ogień, który boleśnie goi i kwieście stwarza z najplugawszego swądu i chaosu...

Raz w roku z płomieni rodzi się list, zawsze ten sam. Tod siedzi i strasznym wzrokiem praży palenisko, rumor obnażonych gardeł, turkoczających języków. Z krtani wydobywa mu się zawiły mlask: mdłości. W zakamarki jego umysłu zajrzeć oczywiście nie mogę. Lecz potajemnie dzielę z nim ciało. Co ono przeżywa? Mękę, uogólnione zakażenie najpodlejszym strachem. I ulgę - haniebną ulgę. A potem list się rozwija, przechodząc w żarze z czerni w jednolitą biel, i oddaje się naszej wyciągniętej dłoni.

Zawsze mówi to samo. Tak, można było się spodziewać, że taką mniej więcej korespondencję zechce prowadzić Tod Friendly: niezmienną, bez humoru, jednostronną jak reklamowy szajs. Oto

treść listu:

*Drogi Panie Friendly! Mam nadzieję, że u Pana wszystko w porządku, tak jak i u nas. Z przyjemnością zawiadamiam, że pogoda tutaj wciąż jest względnie łaskawa!*

Szczerze oddany. Niżej historyczny podpis, a pod nim beznamiętnie wystukane imię, nazwisko i tytuł: Wielebny Nicholas Kreditor. „Tutaj” (gdzie pogoda wiecznie jest względnie łaskawa) to Nowy Jork, jeśli wierzyć nagłówkowi papeterii – ściśle mówiąc, hotel Imperiał na Broadwayu.

No i tyle. Pustka tych listów wyciska ze mnie tylko doroczne westchnienia. Ale Tod reaguje, jakby Nowy Jork był w sąsiednim domu, a względnie łaskawa pogoda oznaczała deszcz szcurów, diabelskie wichry i wściekłe disco wenusjańskich błyskawic. Długo będzie siedział przy kominku, z butelką szkockiej, wegetatywnie pobudzony. Rano zostawimy list na słomiance obok reszty śmieci, żeby się ulotnił – niczym strach Toda.

Jak on to zniesie, jeśli pogoda w Nowym Jorku całkiem się popsuje?

Znamienne wydaje mi się, że prawie wszystkie nasze romanse kończą się w gabinetach Zespołu Usług Lekarskich. Panują profesjonalne, oficjalne klimaty, gdy stoimy z którąś z naszych przyjaciółek na tle wykresów proporcji wzrostu i wagi, tabel żywienia, instrukcji pobierania wymazów i płynów do analiz oraz haseł typu: MASZ EN-DOMETRIOZĘ? BEZ PANIKI. Fizycznie mało co dzieje się między nami – ot, dotykание czoła, badanie tętna. Ach, racja: Tod odrobinę dręczy dziewczyny szpilkami: „Coś pani czuje?” One raczej lubią tę grę, przynajmniej na początku; kokietują i dają się wciągnąć. Jeśli coś je w końcu odstręcza, to chyba pytania Toda:



„Dawno jest pani mężatką?”, „Czy mąż wykazuje dużą aktywność?”, „Żyje pani... prowadzi pani pełne życie?” Nasze dziewczyny nigdy nie prowadzą pełnego życia. Wszystkie twierdzą, nawet z niejakim bólem, że w ich życiu panuje pustka. W każdym razie całe to odpytywanie kończy się jednym wielkim niewypałem.

Albo prościej: może działa tak sam widok Toda w jego naturalnym środowisku, w roli lekarza, odźwiernego w białym kitlu, z czarną torbą. Nasze przyjaciółki wycofują się stąd raz na zawsze, z przekomponowaną twarzą, przystają na chwilę za zamkniętymi drzwiami i cichutko pukają, cichutko pukają w trumnę miłości.

Ale nigdy ich nie brak, wciąż spotyka się nowe. Na każdym kroku. W „Wielkim Żarciu”, na parkingach, w barach, na progach domów deszczową nocą, owinięte szalikami, okutane dla ochrony przed wiatrem i zimnem albo nagie w obcych mieszkaniach.

Czyli to pochłonięcie cudzymi ciałami jest prawie całkowite. A ciała są miłe, co? Tak mam myśleć? No, zgoda – fakt, że są miłe. Wszystko wybaczą. Kiedy są stare. I nie mogą sądzić. Irene, której biała obfitość wszystko ci wybaczy. Tak twierdzi.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała – szepcze w ciemności Tod, nim mu się przyśni sen.

- Wszystko wybaczę, cokolwiek to jest.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała – szepcze Tod.

Lepiej niech nie wie. Lepiej niech nie wiem. Lepiej niech nikt nie wie.

Jest też nasze własne ciało, nasz własny instrument cielesny, z którego jesteśmy ostatnio strasznie dumni. Skoczna szparkość kroków. Ach, klarowność i sprężystość wypróżnienia. Jak doskonale funkcjonujemy... Chyba nic dziwnego, że kobiety za nami szaleją, że tak szybko poddają się urokowi naszej beznamiętnej, pociągłej

twarzy i czystych, mocnych rąk. Jeśli ktoś lubi ten typ urody, a choć moje zdanie oczywiście się nie liczy, Tod naprawdę jest niebywale przystojny... To ciało: nasuwa mi się nieodparte podejrzenie, że z dumą, jaką go ono napawa, wiąże się strach: ktoś mógłby je zranić - okaleczyć, zmasakrować. Tylko po co i na co? Owszem, lekarze miewają takie chętki; ale Tod nie korzysta z ich usług; omija szerokim łukiem.

- Nie słuchaj lekarzy - radzi Irene i równocześnie prawie się, o dziwo, uśmiecha. - Zaczną się do ciebie dobierać nożami. Nie daj im się wziąć pod noże.

Przed lustrem w łazience, gładki i barwny, pełen jest dumy, która skrycie wzdryga się lub wzdraga. Śmiało, mam ochotę powiedzieć. Pokaż, co czujesz. Zgarb się, skul z dłońmi na łędźwiach. Zasłoń swoje niskie serce.

Tymczasem siedzę w przestronnym barze-restauracji, w ślicznej śliniarni, wytwornym womitorium. Kobieta już przyszła, więc pora na mięso i łyżę, a jedzenie na naszych talerzach robi się coraz cieplejsze. Zaraz. Ta akurat jest wegetarianką. Twierdzi, że kocha wszystkie zwierzęta - ale jej czyny temu przeczą. Wkrótce... Jezu, cała ta nasiadówka niczym nie różni się od samego aktu lubieżności. Najpierw smutek i nieład, potem moment ulotnej transcendencji, aż wreszcie ciała z powrotem wskakują w ubranie i zaczynają się podchody - słowa, gesty - nim każde pójdzie w swoją stronę.

Tod ma jeszcze jeden sen, w którym dla odmiany jest kobietą. Ja też nią jestem: w tym drugim śnie uczestniczę, a zarazem patrzę z boku. W pobliżu jakiś mężczyzna odwraca twarz, stoi do nas prawie tyłem, odwrócony plecami jak tafla z kamienia. Może nas skrzywdzić, to jasne. Albo obronić, jeśli zechce. Płochliwie polegamy na jego opiece. Nie mamy wyboru: musimy go kochać,

nerwowo. Nie mamy też włosów - rzadkość u kobiety. Z radością donoszę, że nie widujemy w tym śnie niemowląt. Żadnych. Potężnych ani bezbronych. Nie widujemy bombowych niemowląt, bobasów o mocy bomb. Ten sen jest bezdzietny.

Czas zmierza teraz ku czemuś. Przelewa się niepowstrzymanie jak obrazy w przedniej szybie auta mknącego przez miasto albo las.

Bliźnięta jednojajowe, karły, duchy, życie erotyczne Kali-guli, Katarzyny Wielkiej i Wojewody Na Palach, nordyckie chmury lodowe, Atlantyda, dodo.

Moment. Tod ni stąd, ni zowąd zaczął czytać broszury biur podróży, a w nich peany na cześć pewnych w miarę odludnych rejonów Kanady. Tak, znajduje je w śmieciach. Otóż Kanada to miejsce, gdzie obijają się młodzi mężczyźni, kiedy powinni być w Wietnamie. Może Tod myśli o wyjeździe do Kanady. Może myśli o wyjeździe do Wietnamu. Wietnam mógłby mu dobrze zrobić. Bełkoczący hipisi, orbitujący na prochach otylcy, którzy tam jeżdżą, wracają schludni, przytomni i zdrowi, gdy sobie pobędą na wojnie, w Namie, w tym gównie, jak sami mówią.

Najnowszy list Nicholasa Kreditora zdradza nie spotykane dotychczas wyczucie detalu i rozmach. Pogoda w Nowym Jorku, „choć ostatnio niepewna - pisze Kreditor - znów jest względnie łaskawa!” Moim zdaniem nie ma racji. Moim zdaniem idzie odmiana. Moim zdaniem wyraźnie zanoszą się na burzę.

Zaraz wyczułem, że coś się kroi, kiedy Tod zaczął wyprzedawać sprzęty. Patrzyłem na to milcząc, z żoninym rozzaleniem. Najpierw poszły do wywózki wszystkie meble, po nich urządzenia z kuchni, które oszczędzały mi tyle pracy, a w końcu nawet dywany i firanki, no coś podobnego. Za co Tod tak mnie karał? W dodatku musiało go to nieźle rajcować, bo wciąż kombinował, jak by tu jeszcze oszpecić

dom. W każdy weekend wciągał drelichy i szperał po kątach, gnany małym głodem, wypatrując, co by tu splamic, zohydzić.

Z elektrycznością wyszedł mu istny blitzkrieg. Na wiele upiornych kwadransów włókł mnie za sobą pod podłogę, pod legary, z kablem albo drutem w myszkującej dłoni; platoniczna ciemność tych podziemi stała się metaforą nocnego życia, które toczyło się przy świecach, przeszyte igłami latarek; nasza dawna egzystencja jawiła mi się jako niebotyczna katedra zbudowana ze światła. Podobnie uwinął się z hydrauliką. Horrendalna harówka. Same zakamarki, a ty jak jeden wielki węzeł z łokci i kolan tulisz policzek do miedzianych trzewi. Ale udało się: nie mamy już wody. Tylko kran w ogrodzie. Ciężka przeprawa, iść do ubikacji: wiadro to istny gejzer, Tod musi mieć się na baczności, bo z takim kubłem nie przelewki. Życie dzwoni, huśta, zgrzyta kubłami i wiadrami. W końcu lądujemy na gołych dechach w pokoju na parterze, ze świecami i kocherem, i jemy z papierowego talerza obiad na wynos. Tak nas Tod urządził. Jak zaczynałem z nim spółkę, do głowy mi nie przyszło... Za domem bezlistny ogród, łysy krzak, stroskana trawa, spieczone klepisko.

Wcale nie zaciskanie pasa mnie przygnębiło, ani złowieszcze, narowiste wiwaty Toda, które zresztą wkrótce ustały. Przecież i tak skazany jestem na tego starego drania - wszystko jedno, jak będzie żył. Ale narastająca, podpełzająca samotność - ta dopiero była nie do zniesienia. W twarzach sprzedawcy i barmana bramiński blask obojętności. W oczach sąsiadów wodnista niepamięć. W pracy też pomału się zaczyna: czuję. Kobiety - no cóż, miło było panie poznać. Jedna za drugą poszły sobie. Tylko Irene nie daje za wygraną. Z niezrównanym taktem toleruje tutejsze warunki, ale zrozumiała, że jest poważna i ostrożna. Coś mi mówi, że ją też na jakiś czas stracę z oczu. Jezu, nawet suczka sąsiada odwykła i mnie nie cierpi.

Dawniej przeciskała się przez szparę w płocie i przynosiła mi kości. Skakała i baraszkowała. A teraz warczy przez zęby i gapi się jak na zarazę. Suka jedna... jak w piosence, słowo w słowo. Kiedy się staczasz, pikujesz w społecznej studni, nikt cię nie zna. Nikt a nikt.

Nadszedł czarny dzień. Przenieśliśmy się do tak zwanej kawalerki w Roxbury. Nie opiszę jej. Ledwo ją zresztą widzę przez mgłę urazy. Może chociaż Tod się cieszy... Ale coś nie bardzo. Wiele wolnych chwil spędza w zapijaczonym rozmodleniu. Ożywia się tylko, kiedy wracamy do starego domu, żeby się spotkać z pośrednikiem. Chodzą po pokojach, przystają i kiwają głowami, jakby podziwiali, co Tod zmagistrował. Owszem, nieźle urządził nasz stary dom. Nie zazdroszczę nowym lokatorom. Tym hipisom czy cyganom, którzy wprowadzili się na dziko i tak jakoś koczują. Przykro mi, kochani. Pewnie słyszeliście: zostaw łazienkę w takim stanie, w jakim sam chciałbyś ją zastać? No, myśmy się w każdym razie wywiązali. Przyznacie, że zrobiliśmy z domu najprawdziwszy wychodek.

Jakby do kompletu, w ZUL-u spotyka nas seria upokarzających degradacji. W któryś piątek po południu zdaję swój zwiewny kremowy kitel i wkładam coś jakby fartuch rzeźnicki, cały w homerycznych, anonimowych plamach. Ta nowa robota ma jedną zaletę: pozwoliła nam się wyrwać z medycznej masarni. Do magazynu i spalarni odpadów, do furgonetki i wreszcie na miejskie wysypisko. Na wysypisku mają takie jedno specjalne urządzenie i właśnie z niego wszystko pochodzi. Po powrocie stamtąd taszcze do kotłowni plastikowe wory, zawijam rękawy i grzebię w stosach zakrwawionych opatrunków i gipsu, potłuczonych flakoników i strzykawek, zmiażdżonych kultur. Jeszcze tylko materiały ze spopielacza, który także obsługuję. Potem sprawiedliwie porcuje

wszystek ten szajs do wiader pedałowych, ustawiam je na wózku i rozwożę po gmachu, w którym nikt mnie nie zna. Oto ja: upaprany robol w rękawicach ochronnych. Cuchnę ciężką operacją. Cały aż się jeżę i trzeszczę tłuczonym szkłem, ale to nic, bo chociaż wszyscy czują, jak śmierdę, nikt mnie nie widzi, nikt nie zna.

Staliśmy się już praktycznie niewidzialni. I może właśnie do tego dążymy: do niewidzialności. Na razie osiągasz ją chwilowo, w tłumie lub za zamkniętymi drzwiami toalety (bo w trakcie tej trudnej transakcji w myśl umowy społecznej każdy jest niewidzialny), czy wreszcie w akcie miłosnym; albo tu, na dole, gdzie pozostajesz nieznan. Jo, mój współpracownik w śmieciach (stary, gruby, czarny i nieruchomy, przygwożdżony żarem spopielacza: „Hej!” „Yo!” „Jo!” „Hej!”), ten mnie zna. Doktor Magruder też czasem zalśni władczo w moją stronę, kiedy robię kurs. Przyjazny Friendly nie ma już przyjaciół. Suniemy bez śladu tarcia, ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wyraźnie jesteśmy na wylocie.

Czy to dlatego, że człowiek bez ludzi jest w sumie niczym? Znika. Nawet Jo zaczął dziwnie na mnie patrzeć, jakby mi brakowało którejś klepki. Nie mamy już żadnych ciał prócz własnego. A skoro jesteśmy podli i nikt nie powinien nas widzieć, czemu coraz bardziej piękniejemy?

Jadę wieczornym pociągami na południe. Mija mnie amerykański Atlantyk. Koniec interesów. Nie wiem, dokąd jedziemy: na bilecie, którym wzgardliwie pstryknął w nas dworcowy śmietnik, jest nazwa stacji wyjazdowej, a nie docelowej. Czuję, że coś podobnego dotyczy też mnie i To-da, naszej tożsamości. „Tod Friendly” - z zamkniętymi ustami stęka raz po raz Tod Friendly, jakby dla pamięci albo nauki. Mizerny balast: jedna nieporuszenie ciężka waliza pełna ubrań,

pieniędzy i naszych człowieczych szczątków; i jedno ciało, skrzep zgniłej adrenaliny. Serce Toda kurczy się jak ostryga przy każdym szybszym ruchu innych ciał w tym samym wagonie. Serce w uniesieniu, unoszone przez pociąg... Zastrana sprawa: pojawiają się serżowe bary strażnika i jego kark zgięty w surowym osądzie. Kropkuje mój bilet i odchodzi ze śledczym spojrzeniem. Oj, naprawdę nam niedobrze. Może lepiej byśmy się czuli siedząc twarzą w drugą stronę? Pociąg powtarza: Tod Friendly Tod Friendly Tod Friendly...

Stop! Pociąg stop! A myślałem, że jestem w pełnej gotowości męczeńskiej. Gotów dalej się osuwać - byle po łagodnym skosie. Jezu, te moje nieszczęsne mieszczańskie trwogi: pewnie znów jakieś niefortunne mieszkanie, znowu stosunki z mętami (w najlepszym razie) albo nawet (wyczekiwałem tego z udręką) żywot włóczęgi. Ale żeby aż tak? Gruczoły Toda nastrojone na częstotliwość snu rzeżą i rzą, zmorzone koszmarem. Więc może właśnie to nas czeka u celu: biały kitel i czarne cholewy, zapalne niemowlę, splamiony gumowy fartuch na haku, zawieja dusz. Drewniana izba, w której złowrogo zapadnie zabójcza decyzja. Każdemu śni się czasem, że go krzywdzą. Żadna sztuka. Trudniej pozbierać się ze snu, że się krzywdzi... Za oknem śmiga Ameryka, bydło, las, pszenica, dary młodszego świata. Z gorączkową skwapliwością szukam spokoju - w oceanie, lecz nie w jego nerwowej powierzchni ani w wystrzępionych brzegach, tylko w skrytej głębi, do której wszystko w końcu powraca.

To na pewno Nowy Jork. Tam jedziemy: do Nowego Jorku, gdzie pogoda jest burzliwa.

On jedzie spotkać się ze swoim sekretem. Pasożyt czy pasażer, podróżuję z nim razem. Sekret będzie okropny. Okropny i niepojęty. Ale jedno się chociaż okaże (ta pewność sprawia ulgę): cała

okropność sekretu. Natura występku. Coś już o niej wiem. Że  
kojarzą się z nią śmieci i gówno, i że jest skłócona z czasem.



### 3

## Jestem uzdrowicielem, więc wszystko, co robię, uzdrawia

Żółtych taksówek nie da się sprawniej zorganizować. Zawsze są na miejscu, kiedy trzeba, nawet w deszcz albo w porze zamykania teatrów. Płacą z góry, bez dyskusji. Zawsze wiedzą, dokąd jedziesz. Są fantastyczne. Nic dziwnego, że stoimy całymi godzinami i machamy im na pożegnanie, a może salutujemy, dziękując za tak świetną obsługę. Na ulicach roi się od ludzi z podniesionymi rękami, którzy dziękują żółtym taksówkom, zmoknięci i zmęczeni. Jeden szkopuł: taksówki za każdym razem wiozą mnie gdzieś, gdzie wcale nie chcę jechać.

Pierwsze trzydzieści sześć godzin w Nowym Jorku mieliśmy gorące, lecz nie przerażające. Chodziło chyba głównie o naszą tożsamość, zdobycie nowej. Albo zrzucenie starej. Musieliśmy też wprowadzić się do nowego mieszkania, po prostu imponującego (mam nadzieję, że wynajęliśmy je na dłużej, ale jestem w takich sprawach roztrzepany, pozostawiam je Todowi). A raczej „Todowi”. Tod wkrótce przestanie być Todem. Wymieni to imię na lepsze. Bywaj, Tod... Potem zawarliśmy znajomość z Nicholasem Kredytorem. Nie powiem, żeby to wszystko trzymało się kupy. Tak czy owak rejestruję, zdaję sprawę. Chwilami bałem się o siebie, przynajmniej z początku, lecz nie o innych. Nasz przyjazd do Nowego Jorku wyglądał następująco:

Z wolna wśliznęliśmy się pod miasto: na Grand Central pociąg

westchnął i kolejno westchnęli pasażerowie. Pierwsi wysiedli w pośpiechu, następni zwlekali, zbierając się w sobie przed starciem z ulicą. Tod parę minut przesiedział ze spuszczoną głową, nim się ewakuował. W półmroku na peronie wykręcał sobie szyję, jakby pierwszy raz w życiu usiłował patrzeć, dokąd idzie. Co chwila przez to z kimś się zderzał. Jego ukłony, gestykulacja, przeprosiny z figurami. Przy kasie wkręcił się bez kolejki i pobrał osiemnaście dolarów za bilet, ale dalej stał w ogonku, ze zniecierpliwienia kiwając głową jak niemowlę, nim pospieszył korytarzami o ścianach z wystaw sklepowych. Przy wyjściu bystro podjechała taksówka – jak to one. I znów ruszyliśmy w podróż, wąwozami, u stóp totemów. A może byśmy najpierw, myślałem zdenerwowany, zwiedzili Empire State Building albo Statuę Wolności? Cóż za staroświecka propozycja. Był listopad. Ludziom wyrosły zimowe futra, a wieżowce drżały w mocnym uścisku równań naprężeń.

Nowe mieszkanie to właściwie jeden pokój wielkości niedużej hali: biurko i stół z litego drewna, niskie czarne fotele hamakowe ze skórzanymi siedzeniami, biurowe szafki, łóżko – kojący kojec. W przeciwieństwie do naszych poprzednich siedzib ta nowa miała osobowość. Była męska. Kamienna twarz, higiena, męskość. Mieszkanie konsekwentnego wyznawcy życiodajnych teorii jogurtów, przysiadów, wakacji wśród nudystów. No, mniejsza: można by sądzić, że Tod i ja mamy nareszcie okazję zrzucić buty i trochę się zadomowić. Ale gdzie tam. Musieliśmy najpierw zrobić porządek ze swoją osobowością. Jadąc kolejną taksówką, dla odmiany na wschód, przyglądając się tutejszej kadrze – ludziom bez twarzy oraz tym, którzy są wyłącznie twarzą w oprawie z włosów i gestów – zastanawiałem się, czy po przyjeździe do Nowego Jorku każdy potrzebuje nowej tożsamości. Czy tylko my. Tylko on. Nie żaden „Tod”, już nie. Nazwisko przy dzwonku, nazwisko na

drzwiach, nazwisko na kopertach pod lampą stołową: wszędzie John Young, John Young, Jan Młody. Miasto dmuchnęło strzępkami papieru, aż wirując wleciały przez okno do taksówki. Uleczyliśmy je naszymi dłońmi lekarza i poutykali po kieszeniach. Listy, karty członkowskie, rachunki, kwity. Wszystkie na nazwisko Johna Younga. Co jeszcze było za oknem? Auta, rzecz jasna. Oczywiście auta. Auta, auta, jak okiem sięgnąć nic oprócz aut.

Następnym przystankiem była paszportownia, suterena z tożsamościami, głęboko pod ziemią, tortura dla zmysłów: ostry skwar pralni chemicznej, a dalej w głębi amortyzowane manewry, docisk i luzowanie zniewolonej maszynery. Obsłużył nas jakiś szczeniak, ledwo przeszkolony szpenio, miejski debil salonowy z monoklem jak naparstek. Gdzieś blisko początku rozmowy przeliczył pieniądze i powiedział coś jakby: nie ma pan wyboru, nie pasuje, to popytaj się pan gdzie indziej, na co my - zupełnie dla mnie nowym tonem, nagle wypranym z fałszywej uprzejmości - tonem, w którym wyraźnie było słyhać, ile wysiłku kosztowała nas ta udawana przez wiele lat uprzejmość:

- Tod Friendly? Co to, kurwa, w ogóle za nazwisko?

- Proszę - odparł chłopak. - Czysty towar.

Wiele razy musieliśmy wychodzić z tej pakamery w suterenie i wracać. Coraz trudniej było trafić do wyjścia. Próbowaliśmy jeść. Wygrzebywaliśmy coś ze śmietnika w Washington Square Park - kanapkę, jabłko prawie dobre (minus jeden kęs) - i jazda do supersamu po drobne. Czas mijał. Czas, ludzki wymiar, który czyni z nas wszystko, czym jesteśmy. Aż do tej ostatniej wymiany.

- No cóż - powiedział z niezbyt może usprawiedliwioną goryczą, kiedy chłopak podał mu nasze nowe papiery i całą górę forsy. - Jestem na waszej łasce.

- Podwójnie.

- Pan mi powie.

- Mam nadzieję, że panu mówił, ile sobie liczymy za to ekspresowe zasraństwo. A jeszcze w weekend.

- Zgadza się.

- Aha. Od Wielebnego.

- Uprzedzono pana, że przyjdę. Nazywam się John Young.

I już. Nazywam się John Young.

Najdłuższy dzień, był to naprawdę najdłuższy dzień w życiu. Podróż pociągiem wydawała się odległa o całe lata, jak Wellport, jak starość. Ale John Young nie mógł zasnąć. Przy dźwiękach wielu aut i niewielu ptaków zgasł świt. A John Young wciąż leżał, pragnąc, żeby minął strach. Żeby minął... Przypomnieli mi się szachiści z Parku, w którym przesiedzieliśmy tyle godzin, szachiści dużo rozmaitsi niż figury w ich mocy (szachiści nie na baczość, nie spod sztancy - mamroczący, rozlaźli, romboidalni). Prawda, że każda partia zaczyna się od chaosu, a po drodze zdarzają się kontorsje i konflikty. Ale w końcu następuje rozwiązanie. Zmarszczone brwi, napór, napięcie w barkach - cała ta męka się rozwiązuje. Jeszcze tylko jedno szarpnięcie białym pionem i powraca idealny ład; gracze podnoszą wreszcie głowy znad szachownicy, uśmiechają się i zacierają ręce. Czas wszystko osądzi, a ja mu ufam bez zastrzeżeń. Szachiści oczywiście też, skoro każdy ruch pieczętują klepnięciem w zegar.

Bogu dzięki. Zasnął wreszcie. Jak niemowlę. Ale ja naturalnie wciąż tu jestem: nawet po ciemku mam świat na oku. Czasem - choćby teraz - niczym matka (matka noc) patrzę z góry na Toda, na Johna, szukając nadziei w tym, że on tak niewinnie - a może neutralnie - śpi.

Czyli budzimy się jako nowy człowiek. John Young. Johnny Young. A może Jack Young? Dosyć mi się podoba. Hej, ho. I nagle

znieczulenie. Ręka sięga do butelki (ops!) po parę oczyszczających haustów... O rany. Szkockiego portera.

Ze wszystkich kątów natarło na nas ubranie. But jak ciężki pocisk rzucony spośród cieni i zręcznie wyłapany w przechyle, jedną ręką; młynkujące w powietrzu spodnie schwywane stopą i jednym wierzgnięciem wciągnięte na nogę; węzowy krawat. Fatalnie się poczułem, kiedy wtarabanił się do łazienki i zaczęli szukać płynu do płukania ust. Potem uklękliśmy przed ołtarzem kibla - i pociągnęli za rączkę. Muszlę wypełniły straszne niespodzianki. Oj. Już parę razy robiliśmy coś takiego, pamiętam jak dziś. Nie można chyba więcej żądać od ludzkiego ciała. Szukając ulgi oparliśmy się czołem o porcelanę i parę razy kwaśno westchnęli z obrzydzeniem. No i do roboty. Alkoholu nadużywa się zapewne w przeświadczeniu, że świadomość - czy też osobowość, a może cielesność - jest nieznośna. I rzeczywiście taka jest. Zwłaszcza gdy gangreny masz po dziurki w nosie. O, znów ta świadomość: wraca znużona, wielopostaciowa, nieznośna.

Wyszliśmy na miasto, ruszyliśmy w obchód po Greenwich Village i zataczając się od baru do baru pomału wszystko z siebie wyśliniliśmy. W pierwszych kilku nie chciano nas obsłużyć, i nic dziwnego, bo już od progu darliśmy się na całe gardło, a przynajmniej próbowaliśmy się drzeć tym naszym nowym, ułomnym głosem. Pamiętam kojące interludium w jakimś zaułku, kiedy dyszeliśmy na stercie kartonów, aż zgarnęli nas dwaj jowialni młodzieńcy i pod ich eskortą wróciliśmy do akcji. Poszliśmy zobaczyć, co się u jasnej cholery wyprawia w paru knajpach przy tej samej ulicy. Rozumiem, czemu John był do przesady podekscytowany Nowym Jorkiem, miastem, którego życie roztacza nocą po ulicach wszystkie swoje barwy i refleksy, zamiast przycupnąć w zamknięciu, za ciepłą złocistością okien. W każdym

razie wrócił do formy, nim wybiła szósta. Przed ostatnim barem nieubłaganie czekała taksówka, szofer z odwróconą twarzą też czekał, żeby mnie zawieźć gdzieś, gdzie wcale nie chciałem jechać.

Tak samo jak taksówkarz wiedziałem bez gadania, dokąd zmierzamy. Strażacką drabiną Siódmej Alei wspięliśmy się po szczeblach przecznic na północ i dalej po rozhuśtanym powrozie Broadwayu. Widocznie Nicholas Kreditor, nasz prognosta, czeka w hotelu Imperiał.

Wielebny był postawny, przystojny, smutny, pełen mocy. Miał potężny nochal i twarz na cały ekran: ryło polityka. Nie żeby mógł daleko zajść z taką twarzą - nie w Stanach, nie te czasy. Nie taki koloryt, wąsik jak u nauczyciela tanga też nie taki. Gruby garnitur bordo natychmiast wydał mi się pożałowania godny i nieprzyzwoity: nasuwało się pytanie, w jakie jeszcze stroje i uniformy lubiłby się przebierać właściciel. Do tego czarny krawat przyszpilony złotym krzyżykiem. W pokoju z sekretariatem były też inne religijne akcesoria, a na ścianach wyidealizowane scenki z Nowego Testamentu. Wielebny siedział za biurkiem o blacie pokrytym skórą, a my naprzeciwko, na krześle dla interesantów. Po naszej lewicy stały dwa łóżka, identyczne, z jednakowymi narzutami i jednakowo ułożonymi poduszkami.

Przez chwilę omawiał szczegóły, podawał adresy, niektóre znajome, inne nie. W końcu powiedział:

- Pragnę podkreślić, że mam dla pana wiele szacunku w związku z tym, czym się pan tam zajmował.

John odparł z wdzięcznością:

- Zawsze chciałem tylko pomagać ludziom.

- Będzie pan mógł kontynuować swoje szlachetne dzieło. Ja to panu gwarantuję.

Gwarantował. Mdłym wzruszeniem ramion. Imperiał pełen był starych ludzi. Pensjonat dla starców. W drodze na górę widzieliśmy ich i czuli - niezdecydowane pozy, jednomyślność w wahaniu. Sądząc po tym, jakie miał biuro i jak ściśle zlokalizowaną charyzmę, starcy musieli pewnie być poniekąd w jego pieczy. Gwarantuję panu... Można było sobie wyobrazić, jak gwarantuje całe mnóstwo spraw, a przynajmniej mnóstwo razy oświadcza, że gwarantuje.

- Bardzo chciałbym dalej pomagać ludziom - powiedział John.

- Proszę zatrzeć ślady i zacząć gdzieś od nowa. Jeszcze jeden plus, że nie ma pan rodziny.

- Czy to konieczne?

- A najlepiej - ciągnął Wielebny - niech pan się wyniesie z Nowego Jorku. Jak dotąd sprawa toczy się na poziomie władz stanowych. Nie mówimy o wyjeździe do San Cristobal. Tylko do New Jersey. Nawet nie do Kanady.

- Tego akurat nie potrzebuję.

- Nasze poparcie mogłoby przybrać formę pomocy prawnej i dotacji na koszty obrony.

- Co pan radzi?

- W Urzędzie do spraw Imigracji i Naturalizacji. O pozbawienie obywatelstwa.

- Proszę jaśniej.

- W najgorszym razie Departament Sprawiedliwości złoży wniosek w UIN.

Wielebny urwał na chwilę.

- Boże uchroni - powiedział, jedną opuszką palca dotykając wbitej w krawat szpilki w kształcie krzyża. Znów powiało od niego smutkiem i mocą. Mógł to być smutek orędownika lub szamana, który ma co prawda stały i bliski

kontakt z duchowym światem aniołów i demonów, ale często

nęka go myśl, jak mało uzdolniony wydaje się na tle ich cnót i splendorów, niszczycielskich fetyszy, złych oczu.

- Jedyne, co w tej chwili grozi - podjął przerwany wątek - to że prasa się uczepli, tak jak kiedyś tej bidulki z Queens. John czekał. Patrzył na identyczne łóżka. A potem szybko i nagle zwrócił się twarzą do Wielebneho - który pokazywał mu jakąś fotografię, lecz tylko mignął nam nią przed oczami. I Bogu dzięki. To zdjęcie, smuga ziarna ujrzana zaledwie w przelocie: poznałem, że zawiera nadzwyczajną informację. Było czarno-białe. Za temat miało moc. Przedstawiało dwunastu ludzi w niedwuznaczonej konfiguracji. Dwunastu ludzi, ale dwa różne typy ludzkie, o równej liczbie przedstawicieli: sześciu jednego typu, pół tuzina drugiego. Typ pierwszy miał moc - i ostoję w grupie. Typ drugi mocy nie miał wcale - grupę owszem, ale żadnej ostoi: grupa tylko pomnażała ból i słabość. Typ pierwszy milcząco oznajmiał coś drugiemu. Sześciu ludzi oznajmiało sześciu pozostałym: Cokolwiek poza tym nas dzieli, cokolwiek innego nas odgradza, jedno się liczy. My należymy do żywych, a wy do martwych. My jesteśmy żywi, a wy martwi. Martwi.

- No więc. Mają tylko to, sprzed trzydziestu lat, i dwóch tak zwanych świadków.

John czekał.

- Nic - powiedział.

- Jak to, nic?

- Nie mam przeszłości kryminalnej.

- Ten sam hak co zwykle: czy zataił pan swoją przeszłość kryminalną?

- O.

- Wszczęto dochodzenie w sprawie pańskiej naturalizacji w Stanach Zjednoczonych.

- Bo?



- Robi się gorąco - powiedział Kreditor.

Ciekaw byłem, czy ma na myśli ten żar, który oblał ciało Johna.

A John nieśmiało spuścił oczy i rzekł:

- Moja matka...

Kreditor zrobił zaciekawioną minę.

- Punkt na naszą korzyść.

- To mój pierwszy język.

- Racja, pamiętam. To pan jest ten, co mówi bez obcego akcentu.

Wstali i uścisnęli sobie ręce.

- Będę szczery: gorzej niż wczoraj.

- Jak pan się miewa?

- Wielebny.

- Doktorze.

John i ja wróciliśmy do nowego mieszkania, ale nie bardzo mogliśmy - przynajmniej z początku - nim się nacieszyć (choćby ogromnym świetlikiem w suficie) ze względu na stan Toda. Gdyby można było zejść mu z drogi. Kobieta, choćby taka Irene, czułaby się przy nim potwornie: wiem, co mówię. Więc chyba sobie wyobrażasz, jak mi było w jego środku.

W pewnym momencie zadzwonił Wielebny i zapowiedział burzę, a ja pomyślałem, że to chyba ostatnia osoba, której telefonu nam było trzeba. Za to potem tylko lekka bryza. Popołudnie minęło w pogodnym osamotnieniu - telewizja, gazeta, przegląd różnych drobnych utrapień: młynek do odpadków, paznokiec u nogi, guzik u koszuli, żarówka. Świadomość wcale nie jest nieznośna. Jest piękna: wieczne powstawanie i rozwiewanie się tworów umysłu. Spokój... Z nadejściem popołudnia John przestawił się na dobrze mi znany behavior: przeciąganie się, drapanie, błogie westchnienia. Czyli niedługo pojedzie do pracy.

Mogłem tylko patrzeć, jak się przebiera. Koszula z krótkim rękawem, biały kitel. Spodziewałem się czarnych butów z cholewami. Nie. Zwykle białe drewniaki. Jaka w nich nadzieja? John był nareszcie oczyszczony, zbudzony dla świata.

Minął pięć przecznic i nikt nie spróbował go zatrzymać. Niebiosa nie zapłakały nad jego głową, pucołowate chmury nie wykrzywiły się w grymasie wróżącym kataklizm. Podobnie ziemia: beton nie rozstąpił się, żeby go pożreć lub pogrzebać. Wiatr także muskał go słodkim zefirkiem, zamiast zionąć diabelskim chuchem, ryknąć huraganem. Jako dowody mógłbym co najwyżej wymienić beznadziejny szloch dziecka, przerażone spojrzenie czarnego kloszarda z rogu Trzynastej i Siódmej oraz to, że wszyscy przechodnie, użytkownicy miasta, uliczni tragiccy zdawali się pierzchać, a ci w mundurach (odpowiedzialni za cały kram) tak jakby mówili: *Nie przejmuj się nami. My tylko burzymy domy, albo: My tylko wzniecamy pożary, patroszemy szosy, rozwozimy śmieci.* Oto i nasz gmach, a w nim portierzy, odźwierni, recepcjoniści, dostawcy z wózkami, zaganiani pielęgniarze z noszami – każdy nas zna; każdy wie, cośmy za jedni. Doktor Young. Bo to my, my, my!... właśnie my dewastujemy ludzkie ciało.

Czyli w takich chwilach dusza może tylko usunąć się w mrok, zawisnąć jak biały nietoperz, wydając dzień na łup ciemności. Tam, w dole, ciało robi swoje, mechanicznie wyteża wolę i ścięgną, a dusza czeka. Bezpieczne (Bóg świadkiem) wydaje się przypuszczenie, że to właśnie t o. Na to właśnie skarżą się sny Toda Friendly, Johna Younga – sny, w których półmartwi stoją szeregiem, a postać w białym kitlu wypaca z siebie moc, okrucieństwo i piękno – wszystko, co nieposkromione. Ale sny kłamały. Myślałem (byłem pewien), że nasza transgresja będzie miała charakter odstępstwa:

eksterytorialna, pozaspółeczna, stwarzająca własne uniwersum. Nigdy nie sądziłem, że Tod-John ma przed sobą cały zbrodniczy żywot. Tymczasem wszystko idzie po dawnemu, tylko jeszcze gorzej, więcej, liczniej, dalej. Gdzie są granice? Wskaż mi nieprzekraczalny pułap intensyfikacji grzechu. Czego pod żadnym pozorem nie masz prawa zrobić cudzemu ciału? Nie będę udawał, że nie wiem. Mniej więcej to samo zasaństwo odchodziło w ZUL-u, jeśli tylko się postaraliśmy, no i oczywiście w całym mieście, w wiadomych punktach: u Świętej Marii, u Świętego Andrzeja, u Świętej Anny. Powszechne zjawisko. Święty szpital powszechny. Nikt ani na chwilę nam nie wmówi, że nie wie, co się dzieje. Karetka pędzi ulicą i wyje - wszyscy słyszą; jej reflektory zarzucają pętle, lassa: patrz, jak pętamy potworności nocy. Za flądrami z pomarańczowej taśmy, która odgradza miejsce zbrodni, na jezdni narysowana kredą ludzka sylwetka. A my w roboczym uniformie wyrządzamy przepisową szkodę. Cofnąć się! I nie wtrącać. Dajcie nam zrobić, co do nas należy. Powietrze szpitalne - letnie, szumiące - ma posmak ludzkich narządów, które w zagadkowy sposób unieszkodliwiono lub przez pomyłkę zakonserwowano. My, lekarze, suniemy między sufitem a podłogą, między jarzeniówkami a rzeżącym linoleum. W tutejszych korytarzach czuje się nieodzowność nowokainy; pod względem moralnym jesteśmy jak zamrożony język na fotelu dentystycznym, gdy usta rozdziawiają się do oporu przed instrumentami bólu, ale milczą. W sali operacyjnej widać tylko moje oczy. Mężczyźni nakrywają tu włosy papierowymi czepkami, kobiety chustkami. Na nogach mam saboty. Saboty. Czemu saboty? Do tego fartuch chirurga i obcisłe gumowe rękawiczki. Na twarzy bandycka maska. Na głowie przepaska z lampką podłączoną do transformatora, który stoi na podłodze, do połowy zatopiony we krwi. Kabel biegnie mi pod fartuchem w dół po

plecach i wije się za mną jak małpi, jak diabli ogon. Widzimy tylko oczy współników. Ofiara jest niewidoczna pod całunem, oprócz kawałka, który obrabiamy. Po pracy myjemy ręce jak tresowani neurotycy. Drukowana tabliczka nad lustrem zaleca: KAŻDY PAZNOKIEĆ PRZETRZEĆ PIĘĆDZIESIĄT RAZY. CZUBKI PALCÓW TRZYMAĆ WYŻEJ NIŻ ŁOKCIE. PRZECIERAĆ W OBIE STRONY. KAŻDY PALEC MA CZTERY BOKI. A potem rozjarzona szatnia, wykładzina na podłodze i stalowe półki, kosze z brudami i najbardziej opasłe śmietniki na świecie, z których wyławiamy nasz przezornie zakrwawiony szpej. Na chirurgii urazowej nieustannie trwa sobotnia noc. Wszystko może się zdarzyć.

Powiedzieć, co robię? Dobra. Wchodzi facet z zabandażowaną głową. Bez ceregieli ściągamy mu bandaż. Ma dziurę w czaszce. A my co? Wbijamy w nią gwóźdź. Znajdujemy go - solidny, zardzewiały - w śmieciach, zresztą wszystko jedno gdzie. Wyprowadzamy gościa do poczekalni, żeby sobie posiedział i pokrzyczał, zanim go wywieziemy z powrotem w noc. I zaraz bierzemy się za kloszardkę, przygrzewamy jej skarpetki i plastik z butów do podłych stóp... Kiedy już rozprawimy się z którymś z tych najgorszych, czym prędzej go stąd wyprawiamy. Precz za bandę. Nie szkodzi. Wciąż przywożą nowych.

Raz po raz mi się wydaje, że kogoś z nich znam. Dziesięć razy dziennie. Często mi się zdaje, że znam tego czy tamtego, gdy wjeżdża na wózku albo na noszach. Zaraz. Czy to nie Cynthia, sprzedawczyni ze spożywczego? A ta - czy to nie Gaynor, którą poznałem kiedyś w akcji miłosnym? Ten facet to przecież Harry, bileter z Metropolitan. Wszystko tak szybko się dzieje. Nic nie słyszę przez ten wrzask, trzask żeber. Czyje to dziecko? Czy aby nie ten chłopak, co ciągle przebiegał przez jezdnię, dawno temu, w Wellport? Tyle lat. Zwolnij. Dzieci.

Lecz nagle nasz świat znowu się napełnia – ludźmi, raptem pełen twarzy i głosów. Wszyscy mnie znają. Nie mówię oczywiście o ofiarach, bo one mnie nie znają i właściwie nie są w ogóle istotami ludzkimi, istnieją tylko fragmentarycznie, jako specjalistyczne plasterki, więc nawet ich uśmiechy, ziewnięcia i grymasy dostają w plasterkach. (Ten mój nawyk, żeby dopatrywać się w nich czegoś znajomego, znajomych ludzi – to błąd, rzecz niestosowna. Nie, nie znam ich.) Poza tym znam wszystkich. Po raz pierwszy w życiu mam przyjaciół, zainteresowania, wspólne zainteresowania, chociażby baseball, opera czy chodzenie na przyjęcia, cały aż jaśnieję i wibruję, taki to dla mnie przywilej. Wszyscy ci nieznajomi mnie znają. W szpitalu cały zespół od pierwszej chwili zachowywał się poufale i koleżeńsko. *Esprit de corps* jest tu znakomity, wręcz zakrawa na idealizm. Tak zwane społeczeństwo nas popiera. Pośredniczymy między człowiekiem a naturą. Żołnierze świętej biologii. Ponieważ jestem lekarzem, leczę, cokolwiek bym robił – nie wiedzieć czemu. Tak zwane społeczeństwo chyba oszalało. W szatni stalowe siatki oblepione są listami mniej więcej tej treści: *Dziękuję za waszą dobroć, która pomogła mi znieść ciężki czas*, albo: *Gdyby nie ten szpital i wy wszyscy, którzy w nim pracujecie, nie wiem, jak byśmy przetrwali*. Lekarze czytają te podziękowania ze łzami w oczach, zwłaszcza gdy wdzięczność wyrażona jest dziecinnym pismem. Ale nie Johnny Young. Może wie to, co ja: nie są to listy dziękczynne, lecz błagalne. Dzieci („lat 7”) jeszcze tu nie ma. Jak je obsłużymy, nie będą takie wdzięczne.

Mamy wiele różnych hobby (życie wypełniło się, roztoczyło swój wachlarz), ale naszą główną pozaprofesjonalną pasją są oczywiście kobiece ciała. Johnny’ego interesują dużo bardziej, nieporównanie bardziej niż wszystko inne razem wzięte. Ale nie ugania się za nimi w jednym jedynym celu: nie, Johnny taki nie jest. Chce od nich

także całej reszty: miłości, jedni dusz, samozatrąty, egzaltacji. Pod wpływem kobiecych ciał odzywają się w nim najsubtelniejsze uczucia. A że kobiece ciało ma na czubku głowę? Drobnny detal. Żeby nie było nieporozumień: głowa też jest Johnny'emu potrzebna, bo właśnie głowy trzyma się twarz, na głowie rosną włosy. Potrzebne mu są usta; strasznie potrzebne. Co do treści głowy, to i owszem, Johnny potrzebuje paru stworzeń, które tam siedzą, takich jak wola, żądza, perwersja. O tyle, o ile seks gzi się w głowie, jest ona Johnny'emu potrzebna.

Z początku chciałem przybrać ton pełen dystansu i rezygnacji. Na przykład taki: Jeśli idzie o życie seksualne Johna w latach nowojorskich, zadowolmy się stwierdzeniem, że umawiał się z wieloma pielęgniarkami. Ale nie możemy się tym zadowolić. Takie stwierdzenie nigdy nie zadowala. Nawiasem mówiąc, to o pielęgniarkach to szczerą prawdą. W każdym razie o tych, z którymi John się umawia, a one na oko niczym specjalnym się nie wyróżniają. To chyba piekielna harówa, z mojego punktu widzenia śmierć dla lędźwi - ale szpitale rzeczywiście aż kipią erotyzmem, wszyscy tak twierdzą. Wciąż sobie tym nawzajem dogryzają. Krew, ciało, śmierć, moc. Pewnie już kojarzysz. Usiłują oswoić własną śmiertelność. Robią to, co wszyscy musimy zrobić tu, na ziemi: szykują się na śmierć. Stąd u doktora Younga ta zgubna, zabójcza ciekawość kobiecych ciał, ciekawość na wagę życia. Co też mają w sobie kobiece ciała poza tym, że są tak niewiarygodnie ciekawe?

Tu, w Nowym Jorku, sfera ta przybiera ognisty odcień przemocy, jak wszystko w mieście, które w przeciwieństwie do poprzedniego nie chce zmniejszyć tempa, stać się bardziej niewinne, mniej szalone, nie tak brudno-malownicze. Nasze dawne romanse - z czasów, gdy miłość smutno rozkwitała na jakimś parkingu albo wśród gorzkich słów przed ociekającą deszczem witryną - wydają

się w porównaniu z dzisiejszymi wręcz dworne. Na przykład. John wstaje o drugiej nad ranem i idzie się przejść. Jesteśmy na Szóstej Alei, pykamy cyniczną cygaretkę, nie wadząc nikomu – aż tu nagle skręca w Dwudziestą Drugą i rusza sprintem, rozpinając pasek... No, nie! Spodnie zjechały mu do kolan, nim przedarł się przez dwuskrzydłowe drzwi jakiejś kamieniczki i biegiem pokuśtykał na górę, spętany spodniami w kostkach. Wskoczyliśmy do pierwszego z brzegu mieszkania, prosto do sypialni, w blask lamp – i odwróciliśmy się. Nie powiem, żeby sytuacja wyglądała obiecująco. Owszem, w łóżku leżała kobieta. Lecz był tam też mężczyzna. Ubrany od stóp do głów, ogromny, w granatowym mundurze z serży i w czapce z daszkiem, klęczał nad kobietą i wahadłowym ruchem dłoni w grubej rękawicy rytmicznie ją policzkował. Nie, nie był to układ w naszym guście, ani trochę. John chyłkiem zdjął skarpetki i koszulę. Trzeba przyznać, że nie traci głowy i potrafi wykorzystać nawet cień szansy. Po chwili dwaj mężczyźni jakoś dziwnie się wyminęli i John odrobinę nieśmiało wgramolił się do łóżka. Ten drugi gapił się na nas z uniesioną, kipiącą twarzą. Potem trochę pokrzyczał i wreszcie wymaszerował z pokoju – ale przy drzwiach zatrzymał się i troskliwie przygasił światło. Na schodach zadudniły jego kroki. Kobieta wczepiła się we mnie.

- To mój mąż! - wyjaśniła.

I co z tego? John natychmiast w nią wtargnął. Żadnego preludium. Żadnego głaskania po włosach, wzdychania ani smutnego patrzenia w sufit – nie, to wszystko nie dla niej. Żadne gromkie chrapanie ani nic – nie, nie dla tej kici... Wkrótce znalazła sobie posadę w szpitalu. Siostra Davis.

Jeszcze się widzimy. Jej mąż Dennis jest nocnym stróżem. A ona wciąż powtarza: całe szczęście, że Dennis o nas nie wie, i oby tak

dalej. Jak oni to mają urządzone, ci ludzie? Widocznie pamiętają tylko tyle, ile chcą. A John i ja powinniśmy pewnie sobie wieszować (szufla, stary!), plugawie błogosławić ten ludzki dar zapomnienia, które jest świadomym aktem, a nie erozją i rozpadem. John zapomina. Siostra Davis zapomina. Jej mąż Dennis dygocze z zimna, kiedy idzie do pracy, kiedy idzie strzec nocy, i także zapomina.

Głównie z poczucia obowiązku doszukuję się powiązań między tymi dwoma ciekawościami, dwoma typami kobiecych ciał. Jedno pławi się w pontonie białych poduch, ma przytulnie rozczochrane spojrzenie i pachnie świeżym chlebem (kobiety naprawdę są fantastyczne, nie przeczę); drugie leży zimnym plackiem na stole, z którego krawędzi krew spływa jak zachód słońca. Kiedy John obsługuje któreś z nich, pęczniają mu zwierzęce członki. Jakby myślał: jeszcze jedna. Jeszcze jedna twarz z weselnym trenem włosów. Jeszcze jedno zdumiewająco tęgie udo. Jeszcze jeden babski brzuch.

Na pediatrii, w szpitalu, gdzie światło ani na chwilę nie gaśnie, a małe ofiarki, które cierpliwie deformujemy, leżą oszołomione lekami, zagubione i nękanie świadem, John jest wobec dziatwy dziarski jak nigdy. Śmiga przez sale, wyrywając z rączek zabawki i lizaki, kościotrupie uśmiechnięty. Zero tonusu psychicznego. Tylko mężczyźni mają do niego dostęp. Dziwne. Patrzy im w oczy, prawie jakby się spowiadał. Jakby przyznawał im pewne prawo, równocześnie je gwałcił. Jakie prawo? Do życia i miłości.

W oczach mężczyzn kulturowo uświęcona gra lekarza jest najbardziej przejrzysta. Raptem wątpliwe wydaje się sekretne przeświadczenie doktorów, że muszą władać pewną szczególną mocą; bo jeśli dadzą jej leżeć odłogiem, zerwie się z uwięzi i zwróci przeciw nim samym.



Carter był pod tym względem - i pod każdym innym - wyjątkiem, z reguły miałem jednak wrażenie, że jestem mniej więcej rówieśnikiem aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mówiono mi, że przypominam Gerry'ego Forda, choć od tamtej pory bardzo, rzecz jasna, wyprzystojniałem. Byłem młodszy niż LBJ, przynajmniej z początku, a dziś jestem zdecydowanie starszy niż JFK, jeszcze większy przystojniak ode mnie. JFK: przywieziono go samolotem z Waszyngtonu, pośpiesznie udziergano nożami chirurgów, kulami snajperów, i wypuszczono na ulice Dallas, które zgotowało mu triumfalne powitanie.

Mimo tylu lat systematycznego rozbrajania znowu wszyscy mówią o wojnie jądrowej, i to z większym przejęciem niż kiedykolwiek. Chciałbym móc ich uspokoić. Nie będzie jej. Bez przesady: pomyśleć, jakich wymagałaby przygotowań. A tu nikt nawet nie zaczął. Nikt nie jest gotów.

Pamiętacie punków? Ci byli gotowi. Ich eksperymenty z umartwianiem, dokonywane na własnych twarzach - przekłuwanie, bladość. Zrobili początek. Byli gotowi. Ale znikli dziesiątki lat temu.

A oto drobne zdarzenie, którym pragnę się podzielić.

W poczekalni Oddziału Piotrusia Pana pogaduję z siostrą Judge. Siedzi tam jeszcze jedna kobieta, pani Goldman. Ponieważ jest kobietą, John czasem na nią zerka: ponieważ pani Goldman jest kobietą. Ale jest i matką: u jej stóp raczkuje niemowlę, a drugie dziecko - trzyletnia dziewczynka, której postanowiliśmy popsuć biodra - leży u Piotrusia Pana, od pasa w dół wzięta w gips. Leży tak miesiącami, bo to długofalowe przedsięwzięcie... Pani Goldman czyta jakieś pismo, z niemowlęciem u stóp. Nie pierwszy raz widzimy tych dwoje. Dziecko prędko się kurczy, już ledwo raczkuje,

ale jeszcze się wysila, sto pociech. Zaraz, zaraz. Raczkuje po troszeczku, po parę centymetrów, całe zasapane - tyle że do przodu. Matka z czasopismem w rękach, lśniące kartki migają na tle twarzy: czyta, a raczej kartkuje, też do przodu. Ha! Jezu, ile to już czasu, odkąd...? W każdym razie ta chwila klarowności szybko mija. Matka znów czyta wspan, a niemowlę już tylko płacze. Może chce, żeby mu zmienić pieluszkę, może jest głodne. Chce, żeby mu nakłaść do pieluszki, nakłaść świeżego gówienia z kubła. Muszę wreszcie wydorosnąć. Wybić sobie z głowy te pomysły. Wciąż liczę, że świat nabierze sensu. A on nie chce. Nie ma zamiaru. Nigdy.

Masz zatwardzić serce, zamknąć je przed bólem i cierpieniem. I to szybko. Od razu, najpóźniej od razu.

To konieczny warunek, bo inaczej nawet pół godziny nie przetrwalibyśmy po ludzku w tej sytuacji. Pod tym względem zachowujemy się wręcz cyrkowo. Wśród letniego metalu i kafelków szatni albo zgarbiony nad papierowymi kubkami i szklanymi dzbankami z kawą w stołówce - Johnny, ze śladami jakichś horrendalnych poślizgów na kitlu. Nasze ofiary to dla nas „sztywni”, „katafalki” i „póltusze” - tudzież „popaprańcy” i „dawcy”.

- Nie tak jak glut. Widziałeś gluta?

- Oj, nie jest z nim tak źle.

- A pulpę widziałeś?

Może to i niewiele, ale jedno trzeba oddać doktorowi Johnowi Youngowi. Praca go nie cieszy. „Ja” jest wytłumione, w stroju ochronnym. Chociaż John Young dobrowolnie bierze nadgodziny. Rozmaite krążą o nim opinie: „niewiarygodnie się poświęca”; jest „nienasyconym masochistą”; „świętym”; „pierdolonym świrem”.

- No cóż - mówi, lekko wzruszając ramionami. - Każdy robi, co umie najlepiej.

Jest silniejszy od innych lekarzy, braci, sióstr. Tamci wiecznie się wahają, kolebią na koturnach. Johnny nie potrzebuje zachęty – sam ich zachęca. Na przykład taki Byron – wypisz, wymaluj „Bluto” z kreskówki: czarna broda jak miotła, nawet z ramion sterczy mu przez dziurki sznurowanej bluzy bujna szczecina.

- Mów do mnie jeszcze, Byron.
- Johnny, no weź popatrz, kompletnie się gubię.
- Nikt ci nie obiecywał, że będzie lekko.
- Już nie wyrabiam z tym gównem.

I tak dalej. Nic im to gadanie nie pomaga. Potem są w jeszcze gorszej formie – jak każdy, kogo John obsłuży. Byron dalej się kolebie, strasznie włochaty, strasznie schludny, załamując ręce, jak nieskazitelny pająk w zielonym uniformie roboczym.

A niżej ciało, wciąż takie zmęczone. Bez końca. Często pracuję z Witneyem. Co za Witney? Trzydzieści dwa lata, wysoki, wydatne usta, wylupiające oczy, bardzo bystry, ale żadnej kultury, tylko powierzchowny szlif: oto Witney. Wydaje mu się, że jest oblatany: opowiada o Korei, że niby to tutaj to nic w porównaniu. Betka. Zdarzyło nam się z Witneyem, sam już nie bardzo pamiętam – aha: akurat skasowaliśmy dwóch nastolatów. Własne matki ich przywiozły, ale zabrały się w cholerę, ledwo wzięliśmy się do roboty: zostały tylko, żeby popatrzeć, jak zdejmujemy opatrunki, metodycznie odwijając przemoczone bandaże. Zdjęliśmy szwy i wypędziliśmy chłopaków krwią. Pamiętam, jak fachowo Witney wbił jednemu coś w rodzaju grota od strzały z kuszy; ja tymczasem wszczepiałem drugiemu w ciemną odłamek brązowego szkła. I nagle obaj zaczęliśmy pękać ze śmiechu, nawzajem się wyśmiewać w żywe oczy, zębami, językiem i migdałkami dając wreszcie upust tej zabójczej uciechy, która z ukrycia drwi ze wszystkiego, co tu robimy. Nasz śmiech wtórował krzykom i jękom chłopców. Aha.

I raptem Witney pyta mojego:

- Spodziewasz się włamywaczy, synu? Wyglądasz jak ogrodowy mur.

Coś w tym stylu - grunt, że trochę nas uspokoiło, jak to żart. Bądź co bądź humor trzyma człowieka w równowadze, nawet kiedy sytuacja robi się całkiem gówniana. W naszej wesołości była domieszka strachu, no jasne - strachu, że tacy jesteśmy krusi. I że nas też ktoś może okaleczyć. Kto? Jak mamy się ustrzec? Zaraz potem zajęliśmy się czym innym: piłą do metalu i średnim dłutem przytwierdziliśmy makabreskowo zmasakrowaną nogę do jakiejś nieznannej, spowitej całunem postaci, w udzie, w krwawym deszczu, w kostnej śnieżycy.

Uleczyć... uleczyć ich musi miasto, nie nożem to autem, nie kulą to pałą. Tutejsze pasje: miłość i nienawiść. Rozwiązały kable i łajdackie mury telekinetycznego miasta.

Na pierwszym piętrze jest pralnia, miejsce schadzek i tak zwanych trzęsinówek, czyli kopulacji na chybcika, na stojaka. Chodziłem tam z siostrą Davis. A teraz z siostrą Tremlett.

Na trzecim są dwie sale dla rekonwalescentów i w nich też przeważnie można. Bywałem tam z siostrą Cobretti. Mam nadzieję niedługo się wybrać z siostrami Sammon i Booker. Czasem nawet mi się nie chce zdjąć kitla, chociaż cały jest umazany, z wyjeżdżonymi koleinami. Zrzucam tylko saboty.

Siostra Elliott wciąż się szyderczo uśmiecha, nie patrząc mi w oczy. Wczoraj w windzie szeptała na mnie: duppek. Znam te znaki - wiem, kiedy kobieta mnie podpuszcza. Przed chwilą wśliznęła się do pralni. Po paru minutach wchodzę za nią. Stoi przy oknie i przegląda się w lusterku srebrnej puderniczki. Podchodzę na trzęsących się nogach.

Czasem po pracy John odwiedza te pielęgniarki w ich kawalerkach i hotelikach, sypialniach i salonikach, ale tylko najbardziej wyjątkowym udaje się chociaż odrobinę zagnieździć pod jego apetycznym adresem. Te wyjątkowe John obsługuje w wyraźnie odrębnym trybie erotycznym. Tryb ten określiłbym przede wszystkim jako gruntowny. Można by to uznać za powrót do wcześniejszych obyczajów, ale z większą werwą, a więc i różnorodnością. John ma coś w rodzaju grafiku, planu działań. Cokolwiek jest w ogóle wykonalne, zostaje wykonane - i to zwykle od razu. Tak jakby obszukiwał ich ciała. Jakby chciał odkryć dotychczas nie ujawnione wejścia, nowe nacięcia.

A któż to zaczął się pojawiać, najpierw sporadycznie, ale teraz już dwa razy na miesiąc? Irene. John specjalnie się nie przejął, lecz ja przeżywałem najczulsze męki, zwłaszcza na początku. Dziwne: wydawało mi się, że już mniej więcej przebolełem stratę Irene. Wcale tak dużo o niej ostatnio nie myślałem, najwyżej parę razy dziennie, i tylko czasem zwidywałem mi się tu czy tam na ulicy, w autobusie, w supersamie, w szpitalu, w samolocie przelatującym dziesięć kilometrów nade mną. Przeboleć Irene? Akurat. Może istotnie sercu sądzone jest, jak to mówią, nigdy nie przeboleć pierwszej miłości. A tu jeszcze ten koszmarny szkopuł: nie mogę ścierpieć, że on tak tę kobietę traktuje. Że mu ona - jakby to powiedzieć? - tak szybko powszednieje. Natychmiast. Najbardziej znużone spojrzenie, najbardziej zwietrzały uśmiech w sekundę ją spowszednia. Niemożliwa sytuacja. John wcale nie stara się zgruntować Irene. Powinno jej się lepiej poszczęścić. Klasyczny trójkąt. Kocham ją, ona jego, a on nikogo. W nocy Irene leży i tylko mruga, że taka jest zaniedbana. John leży zwinięty w kłębek, odwrócony tyłem. A ja do niej się palę.

Lata obeszły się z nią łaskawie, chociaż ciągle jest bardziej

sterana i zniszczona niż nasze pielęgniarki, nawet te najgorsze wycieruchy. Widzę to; wręcz czepiam się jej wad - w obronie własnej. Tak, bez najmniejszych szans powodzenia wciąż staram się do niej uprzedzić. Owszem, mogłaby być mniejszą bałaganiarą, bo przecież tuż po jej przyjeździe mieszkanie zwykle aż lśni. Co do tego zgadzam się z Johnem. Zgrozą napawa nas kurz i brud, smugi na wannie, wszelkie niechlujstwo.

Na ostatnią randkę John i siostra del Puablo poszli do Metropolitan Museum. Johna nic nie obchodzą obrazy, korzyści finansowej też z nich nie ma, ale czuje się zobowiązany wobec pielęgniarek i tej hydry z kamienia i metalu, zwanej społeczeństwem. Malarstwo - podobnie jak literatura - podpowiada, że istnieje jakiś świat na opak, w którym, by tak rzec, strzała czasu leci w przeciwnym kierunku. Włokąca się za nią niewidzialna smuga sugeruje odmienny porządek następstw i procesów. Znowu ta myśl. Zawsze mnie dziwnie niepokoi. Ciekawe: czy tak jest z całą sztuką? Na pewno nie z muzyką. Na pewno nie z operą, bo tam wszyscy chodzą tyłem, a ich głosy wołają o pomstę do nieba.

Na każde Boże Narodzenie dostajemy kartkę od Wielebnego, z wiadomością, że pogoda jest względnie łaskawa. No cóż, czasem jest, a czasem nie. Ale wiem, co Wielebny ma na myśli.

Szpital to nieustający listopad. Idzie się do niego przez słońce i deszcz, przez najrozmaitsze pogody, lecz gdy już tam dotrzesz i wessą cię jęklive drzwi, zostaje tylko rozpaczliwa, wszechobecna szarówka. Wieczorem chmury za oknami wyglądają jak bandażę i kłęby waty.

Cały inteligentny ból ofiar, wszystkie sny nie wysłuchanych, wszystkie błagalne spojrzenia: wszystko to wkręca się we wściekły rytm szpitala.

- Robi pan dobrą robotę, doktorze - zapewniają mnie tu wszyscy. Zaprzeczam. Przeczę aż do samounicestwienia. Gdybym umarł, czyby przestał? Jeśli jestem jego duszą, jeśli istniałoby coś takiego jak utrata duszy lub jej śmierć, czyby go to powstrzymało? Czy jeszcze bardziej rozkiełznało?

Nie przepadam za tymi paradoksami, jeżeli istotnie są to paradoksy; i nie oczekuję, że każdy - czy w ogóle ktokolwiek - przyjmie mój punkt widzenia. Ale nie możesz ze sobą skończyć, nie tutaj. Idea samobójstwa nie jest mi obca. Lecz gdy życie już trwa, nie możesz go przerwać. Nie masz tej swobody. Wszyscy będziemy tkwić tu do końca. Bo życie kiedyś się skończy. Wiem dokładnie, ile mi jeszcze zostało. Wlecze się w nieskończoność. Czuję się niepowtarzalny i wieczny. Nieśmiertelność mnie zżera - mnie jedyne.

Świąteczna kartka od Wielebnego rodzi się z ognia. W kominku doktora.

Na rogu Ósmej Ulicy i Szóstej Alei co rano kolidka kałuża mierzwy - jak gigantyczna pizza, cielesny kataklizm - czeka, aż ją uprzętnie pijak wysoki na trzy metry albo pies-mutant zohydzony własnym ogromem. Nie. Co rano po czarnych gałęziach schodków przeciwpożarowych schodzi staruszka, mozolnie zbiera to wszystko i taszczy z powrotem na górę w papierowych torbach: pokarm, który zostawiają dla niej ptaki.

W każdy poniedziałek rano w gabinecie doktora Hotchkissa na ósmym piętrze konferujemy nad śmiertelnością. Martwe narządy suną od lekarza do lekarza na plastikowych tacach ze stołówek.

John trochę jednak poznał się na Irene. Po paru niezbyt zdecydowanych próbach, po których nastąpił krótki (wypełniony mrowiem pielęgniarek) okres rozstania i jedna ostra kłótnia,

wskrzytał ich związek na stopie seksualnej. O dziwo nie cieszę się aż tak, jak się spodziewałem. Zazdrość to dla mnie rzecz całkiem nowa - i przerażająca.

Czyżbyśmy mieli wyciągnąć pochopny i mało prawdopodobny wniosek, że serce Johna zmiękczyła wreszcie miłość dobrej kobiety? Kobiety tłustej, niemłodej, która wszystko wybacza i czuwa nad nami, kiedy śpimy - kobiety, która jest nam (spójrzmy prawdzie w oczy) raczej matką niż kochanką? Przełomem czy też sakramentem była chwila, gdy Irene wyznała nam swój „sekret”. Jej słowa przerwały długą ciszę.

- Dziewczynkę - powiedziała Irene. - Jest u rodziców zastępczych. W Pensylwanii. Nie mogłam nią się opiekować. Byłam o krok od samobójstwa.

John prychnął i rzekł:

- Czyli jedziemy na tym samym wózku.

- Jednej rzeczy nigdy ci nie powiedziałam. Miałam dziecko.

Leżeli razem w łóżku, smutno patrząc w sufit. A potem to już poszło po kolei.

Paradoks, bo John nie lubi kobiet z dziećmi. Mężów mogą sobie mieć. W ogóle facetów mogą mieć, ilu chcą. Byle nie dzieci. Ilekroć przypadkiem wda się w rozmowę z kobietą, która je ma, prawie od razu ją o nie pyta: to pierwszy test. Nigdy nie następuje ciąg dalszy. Tłumy pielęgniarek, mnóstwo siostr. Sporo matron. I żadnych matek.

Wszyscy troje wiemy, że John ma sekret. Tylko jedno z nas wie, jaki. John strzeże go, bo to chyba najlepsze, co można zrobić z sekretem.

Czas mija. Samochodów ubywa, ale za to tyją, naśladowując skrzydlate, upłetwione zwierzęta.



Nie ma już strzykawek jednorazowych. W szpitalu nasila się tendencja, żeby łątać dziury, czym się da: wszystkie chwytły dozwolone. Używamy nawet pipetek - fatalny brak higieny. No i wycofano waciki, a to duże utrudnienie.

Pozycja społeczna lekarzy jest wyższa niż kiedykolwiek. Chodzimy dumni i bladzi, niestraszne nam już pozwy.

Nie widuje się rowerzystów w maskach chirurgów. W dniach zwiększonej emisji pyłków nie ma komunikatów dla astmatyków i alergików.

Wszyscy palą, piją i się łąjdaczą. Nikt nie uprawia sportów.

W zeszłym tygodniu przyszli jacyś i zabrali mi mój kolorowy telewizor. W zamian dali czarno-biały. Zarobiłem na tej zamianie, ale po włączeniu zaraz sobie pomyślałem: Oho. Żegnaj, opinio światowa.

Ale z opinią światową jako znaczącą siłą właściwie już dawno się pożegnaliśmy. Nie sposób dokładnie powiedzieć, kiedy. Pamiętam, że po locie na Księżyc każdemu zgasło w głowie małe światełko; świat nagle wydał się bardziej zaciszny, ciaśniej szy, duszny. Za to opinia światowa zniknęła stopniowo. Podobnie jak troska o zęby. Ostatnio co krok widuje się uśmiechy godne jaskiniowców i jakoś nikomu to nie przeszkadza. Nikt już tak bardzo nie przejmuję się tym, jacy są inni. Czyli każdy może być, kim jest, i nie przejmować się, czy inni się przejmują.

Wszyscy ubierają się coraz niewinnie). W ogóle niewinnie j ą, wciąż zapominają. W Central Parku zrobiło się czystiej, ale wcale nie bezpieczniej. Jest nas mniej.

Wyobraź mnie sobie jako chirurga w akcji, na posadzce z czarnej terakoty, w świetle lamp bezcieniowych, gdy z lekkim bólem głowy i połowicznym wzwodem wylęczkowuję w ludzkie ciało nowotwór.

Odpoczywam chwilę, korzystając ze skórzanego siodełka rowerowego na sztywnym chromowanym stelażu. Instrumentariuszka, siostra del Puablo, puszcza do mnie oko znad jaszmarka. O innym puszczeniu chwilowo nie ma mowy. Spałem z nią. Byron i Witney też z nią spali. Siostra del Puablo powszechnie i zasłużenie słynie ze zręcznych dłoni, gorących ud i miękkich warg, ładnego brzucha, kiepskiej dupy i świetnych cycków.

Chcę ładnie i solidnie upakować ten nowotwór.

- Skalpel... Komar... Ssak... Pean... - mówię.

W nocy szpital skrzypi i tyka: trwa pielenie i odsiew.

Przez większość życia każdy z nas sam sobie jest lekarzem. Nie na starość, kiedy wszystko drętwieje i martwieje, a przyzwoitość i wstręt zakazują dociekań. I nie za młodu, gdy ciało jest jedną niezbadaną ekstazą. Tylko pomiędzy.

Zauważ, jak w kawiarniach, w autobusach krzywią usta i przemyśliwiają, lekarze na własny użytek, szamani i uzdrowiacze, diagnostycy i anestezjolodzy, służąc samym sobie bezgłośnie poradą.

Lecz się sam. Lecz innych nie lecz. Daj im spokój. Daj żyć.

Gdyby zgłosiło się do mnie po poradę życie moralne Johna, powiedziałbym:

Stwierdzam nieprawidłowy zgryz i dwojenie. Puls nitkowaty. Auskultacja wykazałaby duszność z licznymi rżeniami oraz tachypnoe, co w sumie sugeruje tarcie osierdzia. Oczy: zez i oczopląs, a także tętniczo-żylne zwyrodnienia siatkówki i srebrne druciki. W jamie ustnej ogniskowe uszkodzenia błony śluzowej, zapalenie jamy nosowo-gardłowej. Serce: mruk, unoszenie, powiększenie sylwetki, tarcie ze szmerem skurczowym na obu krawędziach mostka. Stan psychiczny: przytomny z kontaktem; pamięć, orientacja, nastrój - w normie.

A z łóżek i wózków niespokojnie spoglądają ofiary.

W mieście widzisz teraz gwiazdy, w każdym razie inni je widzą. I to nie jak dawniej tylko zgrabną szczyptę tu i ówdzie, lecz kosmos bez miary. Większość ludzi zachowuje się, jakby było je widać od zawsze. Nie robią z tego sensacji. Ale John, o dziwo, lubi gwiazdy. Omiata spojrzeniem niebo, wzory, grona. Wskazując te sławione oazy nocnego życia pielęgniarce, która grucha uczepona jego ramienia, John objaśnia - na przykład - względne odległości poszczególnych gwiazd od Ziemi i od siebie nawzajem. Ciekawe. Choćby te dwie: niby bliźniaczki, o centymetr jedna od drugiej, lecz kto wie, może dzieli je mdląca czeluść lat świetlnych, a łączy tylko nasz kąt widzenia. Tu karzeł, tam olbrzym... Pielęgniarki uśmiechają się, słuchając jednym uchem, i snują myśli prawie równie fantastyczne, a dużo bardziej tutejsze. Ja natomiast zamieniam się w słuch. Bo dla mnie gwiazdy to pył, wirujący kurz. Ale czuję ich żar. Jakże palą mój wzrok.

Niektóre z obecnych romansów wręcz zaczynają się od zabiegu medycznego. John ostatnio przychodzi z robotą do domu. Już nie mam gdzie się skryć. Zawisnąć w mroku.

Kandydatki na przyjaciółki zjawiają się po cichu. John, już gotów, wita je po cichu. Marzną, odpoczywają i płaczą, a potem kładą się na opróżnionym blacie stołu. Przybierają dolne pół klasycznej dwuosobowej pozy, chociaż John jest oczywiście zajęty czym innym - stalową miską, chwilowo pełną. Czworokątne łóżysko i dziecko długie mniej więcej na centymetr, z sercem, lecz bez twarzy, wszczepia się za pomocą kleszczy i wziernika. John zawsze każe kobietom być cicho. Muszą być cicho. Pełna miska krwawi. Potem badanie palpacyjne i gazik. Mogą już zejść ze stołu, napić się i trochę poszeptać. Na pożegnanie. John wkrótce znów je zobaczy.

Średnio za osiem tygodni.

Pewnie to są właśnie te bombowe bobasy ze snów Toda Friendly. Wszystko się zgadza. Bobasy są, rzecz by można, bezradnie potężne. Cała ich moc tkwi w tym, że jest sprawą morderczej wagi, aby nikt o nich się nie dowiedział. Istnieją naturalnie pewne asymetrie: w świecie jawy to matka musi być cicho, a nie dziecko. Dzieci z jawy są zresztą nieme: z sercem, ale bez twarzy, bez krtani, bez ust do płaczu. Lecz tak przecież bywa w snach. Sny lubią kręcić, zwodzić. Przecież John Young, który dzień w dzień staje okrakiem nad zamiecią dusz koziołkujących niczym liście na wietrze, John Young chodzi w białym kitlu - ale nie w czarnych butach z cholewami. Na nogach ma tenisówki, zwykle mokasyny albo te swoje drewniaki.

Gdzieś niedaleko syrena karetki wyje jak obłąkane dziecko, a jej ton wznosi się, kiedy ambulans mija nas i odjeżdża ulicą.

Mówiąc najprościej, szpital to fabryka okrucieństw. Produkuje okrucieństwo za okrucieństwem, niepowstrzymanie. Jakby świeże okrucieństwa były potrzebne, żeby uprawomocnić wcześniejsze. Jakby wcześniejsze były potrzebne, żeby uprawomocnić następne. Przestań natychmiast, to... Lecz nie możesz przestać.

Okrucieństwo na okrucieństwie, okrucieństwem pogania.

Całe szczęście, że to nie moje ciało dotyka ich ciał. Całe szczęście, że jego ciało służy za bufor. Ale tak bardzo chciałbym mieć własne, posłuszne mojej woli. Ciało, po prostu instrument, dzięki któremu - którym - można poczuć zmęczenie: mieć plecy do garbienia, głowę do przechylania w tył, twarzą ku słońcu, stopy do powłóczenia, głos do jęków, westchnień lub ochrypłych próśb o wybaczenie.

Nie rozumiem. Irene dalej nas odwiedza, ale już jej nie widzimy, chyba że przypadkiem. To już koniec. A ona jakby pogodna, jakby

jej ulżyło. Dwa razy w tygodniu wstępuje, żeby mściwie nakurzyć, pobrudzić wszystkie naczynia i skotłować łóżko. Na kuchennym blacie zostawia cztery zielone - chociaż ostatnio zeszła do trzech i pół.

Nie rozumiem. W szpitalu wynagradzamy nasze ofiary pieniędzmi. Ja sam płacę szpitalowi. A Irene płaci mnie. Nie mogę się połapać. Czyżbyśmy wszyscy byli niewolnikami? Albo i gorzej?

\* \* \*

Nie uwierzyliby mi, nawet gdybym mógł im powiedzieć. Odwróciliby się z bólem i wzgardą.

Jestem jak dziecko wyłowione z klozetu. Mam serce, ale brak mi twarzy: nie mam oczu, żeby płakać. Nikt nie wie, że tu tkwię.

Czyżbyśmy prowadzili wojnę, wojnę przeciw zdrowiu, przeciw życiu i miłości? Mój stan jest stanem rozdarcia. Codziennie to racjonowanie bytu. Widzę oblicze cierpienia. Drapieżne, dalekie i dawne.

Można by pewnie całkiem po prostu wytłumaczyć to moje nieprawdopodobne znużenie. Całkiem po prostu. Jest to znużenie śmiertelne. Może męczy mnie własne człowieczeństwo - o ile w ogóle jestem człowiekiem. Już mi się nie chce nim być.

# CZĘŚĆ II

## 4 Każdy robi, co umie najlepiej, a nie to, co najlepsze

Latem 1948 ruszyliśmy w rejs - do Europy, na wojnę. Mówię „my”, chociaż John Young mocno się tymczasem usamodzielniał. Nastąpiło swego rodzaju rozdwojenie, gdzieś w 1960 albo jeszcze wcześniej. Wciąż żyłem w środku, po cichu, z własnymi myślami. Swobodnie wędrującymi w czasie.

Nasz statek rozbrzmiewa wszystkimi językami Europy, pod wielkim niebem, pod menażerią cumulusów pełną śnieżnych panter i niedźwiedzi polarnych. Na dolnym pokładzie, tam gdzie są wszyscy, panuje nastrój skandalicznego, wszystko wyjaśniającego szczęścia. Twarz człowieka szczęśliwego ustawia się pod pewnym kątem, i to chyba nawet wymiernym: powiedzmy, trzynastu stopni od poziomu. W szczęściu zawiera się też swoista dzikość, zachłannie korzystająca z prawa do życia i miłości. No i dobrze. John Young jest szczególnie elegancki i przystojny, kiedy rano i wieczorem spaceruje po dolnym pokładzie z laseczką o gałce z kości słoniowej, w błyszczących czarnych półbutach, z cyklopiczną cygaretką. Wygląda dość złowrogo sunąc wzdłuż burty, wśród grup rodzinnych, młodych matek, płaczu niemowląt. Ten ich płacz: wszyscy wiemy, co usiłują nim wyrazić, w dowolnym języku. Zdaje się, że nagle każdy ma przynajmniej jedno. Jakby chcieli zdążyć je upchnąć w bezpiecznym miejscu przed gwałtownym nawrotem wojny.

Zrazu formą uniku wydawał się ten rejs, rejterada. Morze prażyło milionem oczu, nasza ucieczka miała milion świadków. Chciałem,

żeby dopadła go ręka sprawiedliwości czy czegoś tam (ale w końcu nie dopadła), poza tym jednak darzyłem niewielką uwagą - i kompletną obojętnością - ukradkowe i zawiłe przygotowania Johna do podróży: chociażby serię posłuchań u Wielebnego Kreditora. Obudziłem się właściwie dopiero po przejeździe promem na Ellis Island. Oczywiście już przed kilkoma miesiącami tępo przyjąłem do wiadomości prawdopodobieństwo zasadniczych zmian, widząc, co się dzieje ze skórą Johna. Najpierw oblał ją chorobliwy, żółtawy blask; potem zimną wiosną przeszła kolejne stadia, od musztardy do masła orzechowego. O Jezusie, pomyślałem. Żółtaczka. Ale po jakimś czasie zaskoczyłem: to była opalenizna. Dodałem dwa do dwóch. Ludzie często tak wyglądają przed szykownymi wakacjami w jakiejś egzotycznej okolicy. Też mi pomysł, żeby właśnie John miał się rozchorować, rozłożyć. Ma ostatnio iście barbarzyński, niesmaczny wigor. Wigor z różowym językiem. Wigor pierwotny - nie tknięty lancetem. Białka oczu Johna żądłają jak młody mróz. Tors Johna żywo przypomina któryś z jego najcudowniejszych wzwo-dów. W każdej chwili, bez ostrzeżenia John potrafi rzucić się na podłogę i zrobić ze sto pompek.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć - stęka, jak zwykle akuraty. - Dziewięćdziesiąt osiem. Dziewięćdziesiąt siedem. Dziewięćdziesiąt sześć.

Nawet podczas posiłków, przy kapitańskim stole, bez przerwy preży mięśnie i ścięgna. Pod stołem jego stopy tańczą w miejscu. Ciało drży niczym statek. Ta wojna zacznie się w ustalonym terminie, jak mecz. John skończył trzydzieści jeden lat.

Mamy na pokładzie A jednoosobową kabinę, widownię licznych przysiadów i rozciągania sprężyn. Gimnastykę grupową na pokładzie B prowadzi John wspólnie ze smagłym płatnikiem o nazwisku Togliatti. Ćwiczymy pajacyka i machamy kawałkiem



sznura. W pierwszych dniach rejsu wieczorem i rano, w porze przechadzek (garnitur, laseczka) wszyscy gromadzili się na spiczastym końcu statku i patrzyli tam, skąd wyruszyli, jak to ludzie. Tylko Johna zawsze można zastać na rufie, gdy patrzy, dokąd zmierzamy. Szlak statku wyraźnie odznacza się na wodzie, a my brutalnie go pochłaniamy swym naporem. Dzięki temu nie zostawiamy znaku na powierzchni oceanu, jakbyśmy zacierali za sobą ślad.

I chyba zresztą uszło nam na sucho. Tonus psychiczny aż musuje: wygląda na to, że Johnowi cudownie ulżyło. Ale gdybym leżał na stole albo na wózku, na intensywnej terapii - podmorskie migoty oscyloskopu (jak zaginiony szyfr), soczyste westchnienia respiratora - tobym leciał, spadał, koziołkował na łeb, na szyję. Nic mi nie uszło na sucho. Zbyt blisko się otarłem, zbyt długo wystawiony byłem na cudze cierpienie i jego chemiczny oddech; oblicze cierpienia jest drapieżne, dalekie, dawne. Szpital i jego letni szum - pamiętam każdy szczegół. Wspominanie jednego dnia zajęłoby cały dzień. Wspominanie roku trwałoby równo rok.

Maszynom statku coś dolega. Ależ kaszlą, krztuszą się i charczą. Dym, który karmi kominy, jest o wiele za gęsty i czarny. Przy kolacji nasz kapitan Grek składa kurtuazyjną wizytę i przeprasza swoją groteskową angielszczyzną. Czasem całymi dniami tylko nurzamy się bezradnie w bruzdach

oceanu albo zataczamy kolosalne koliska, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Brzydkie mewy pedałują wspaniałym tropem, jakby chciały odwlec chwilę, gdy spadną z nieba. John kipi złością, tylko patrzeć, a zadymi jak statek, ale innym w to graj. Mnie też w to graj, że trwam w zawieszeniu, z dala od lądu i narzędzi krzywdy. Kiedy nocą niecierpliwe ciało Johna śpi, słucham, jak fale

luźno chlupią o burtę unieruchomionego statku.

Chlupot morza brzmi miło, ale ono jest nieszczerze, schlebia żeby zwieść, schlebia żeby zwieść.

Wziąwszy pod uwagę ten zupełnie nowy program gimnastyczny Johna, zbawienny wpływ atlantyckiego powietrza i w ogóle, liczyłem, że i ja - choć z połowicznym zapalem - trochę odżyję. Ale nie powiem, że bym odżył. Nie mogłem jednak nie zarazić się, przynajmniej w duchu, ogólną orgią radości, kiedy zawijaliśmy do portu w Lizbonie; nawet John sztywno się poddał różnym aromatycznym uściskom. Lecz potem statek godzinami sterczał w miejscu, w prywatnej mgłę zniecierpliwienia i lęku. Bezwolnie wpatrywałem się w trupa oleistość wody, nieprzyjaznej żadnym stworom, i w tłum, który witał nas z nabrzeża, falując i drżąc w górze jak ławica tropikalnych ryb. Później wola i żywość znowu wyparowały. Właściwie całkiem się wyłączyłem na co najmniej tydzień, a John tymczasem zamieszkał w hotelu i biegał po mieście, żonglując papierami, zezwoleniami, łapówkami i resztą tego gówna, którym człowiek musi się ubabrać, ilekroć załatwia nową tożsamość. Wygraliśmy na tym najętego dorywczo szofera, ładną sumkę i nowe nazwisko, naprawdę pierwszorzędne: Hamilton de Souza. Przypuszczam, że ta pogoń za tożsamościami jest słabostką Johna, Toda, Hamil-tona, a nie powszechną manią. Ale spójrz lepiej na zewnątrz, na wzgórza, z których zdarto pasy ulic, na dziką głuszę parków za barierkami, na ludzi. W tym tłumie muszą się kłębić roje pseudonimów, *noms de guerre*, które wkrótce wyłowi wojna. Zużyliśmy już trzy imiona. Chyba jakoś sobie z nimi radzimy. Ale niektórzy - poznać po twarzach - w ogóle nie mają imion.

Hamilton i ja zdążyliśmy już oczywiście się urządzić: przyjemna willa, trzy służące, ogrodnik Tolo i pies Bustos. Dom stoi w płytkiej

dolinie o parę kilometrów na północ od Redondo. Słuchaj: idą kozy, dyskretna arytmia dzwonek przy obrózkach, pod wodzą wieśniaka w bieli. Kozy też są białe, biała trzódka dusz. Z rzadka słycać okrzyki pasterza przesycone portugalską melancholią, portugalskim człowieczeństwem. Dwa razy w miesiącu odwiedza nas gruby adwokat w przepoconym garniturze; w myślach nazywam go Agentem. Pijemy sherry na dachu willi, porozumiewając się sztywną i ubogą angielszczyzną. Tutejsze ptaki ekscytuje nasz ogród i mieniące się wokoło kwiaty w korytkach i donicach.

- Rozkosznie - mówi Agent.
- A na tę mówimy mydlnica.
- Uroczo.

Hamilton wskazuje palcem.

- Rudbekia.
- Ślicznie.
- Kozibród.

Z trawnika pod nami muskularny kos runął w niebo.

Wokół nas w półdystansie - czyli w najmniejszej, a zarazem największej odległości, jaka w ogóle istnieje - wznoszą się inne zacisza z gipsu i flory. Podoba mi się tu. Różowe i żółte wille odcinają się na tle jałowej ziemi jak cukiernie na Marsie. Światło ma kolor fałszywego złota.

W domu są trzy służące, Ana, Lourdes i Rosa - Cyganeczka, do której będę jeszcze musiał wrócić. Służba to dla mnie żadna nowość, bo miałem już przecież służącą: Irene. Och, Irene!... Służące mają to do siebie, że wciąż po nich się sprząta, choć co prawda niezbyt energicznie, i są strasznie uprzejme. Są też biedne, w ostatniej nędzy - płótno w kieszeni. Każdy uciulany grosz oddają Agentowi, a jednak zawsze znajdują dla mnie jakieś drobne. Mała Rosa szczególnie się napiera. Przyjmujemy te daniny z feudalnym

błyskiem w oku. Nikt nie twierdzi, że to sprawiedliwe, ale przynajmniej zrozumiałe. Jak to właściwie jest z tymi pieniędzmi? Z pieniędzmi, które dosłownie leżą na ulicy? O wszystkim decyduje jakość twoich śmieci. W Nowym Jorku dostarczał ich rząd. Tutaj sami je sprowadzamy. Na wózku popychanym przez muła ogrodnik Tolo, a obok niego kurczowo balansuje pies Bustos: jadą na wiejskie wysypisko. Czerpiemy też z ognia. Liczy się jakość, nie ilość. Nasze śmieci mają klasę. Rosa, najuboższa, mieszka w obozie cygańskim na stoku, w samym końcu doliny. Chadzamy tam wieczorami i czekamy, a potem dyskretnie poprzedzamy ją w drodze do willi; nigdy się nie odwraca, lecz wie, że jesteście tuż, tuż. Obóz cały jest ze śmieci, ale nic nie wartych. Śmieci. Jestem ich władcą. A ona branką czy też niewolnicą.

Nasze hobby?

No, spacerujemy. Nienagannie odszykowani, w tweedach i diagonalach, w kaszkiecie, z rozbrykanym Bustosem u stóp. Miły pomysł, że w zwierzętach mieszkają dusze bogów. Łatwo uwierzyć – w przypadku kota. Albo i muła. Lecz nie Bustosa, z tą jego luźną skórą, nieumiarkowaną skłonnością do psich figli i błagalnym wzrokiem. Wieśniacy o wygarbowanych twarzach i objuczone kobiety w czerni płochliwie rzucają ochryple pozdrowienie, a Hamilton de Souza chwac-ko je odwzajemnia. Z miejsca nauczył się tutejszej gwary, ale ja zupełnie z nią sobie nie radzę. Jedyne swoje słowo brzmi: *somos*. Bustos i ja bawimy się obślinioną piłką tenisową; patykami też chętnie wywija. Przez dolinę, na stok. W obozie rzeczywiście brud niemożliwy.

Aha, jest jeszcze ogrodnictwo. Nic nie robimy sami, tu nie Wellport. Stoimy nad zgarbionym Tolem i wskazujemy laską. Kwiaty są zabawne, ale okropnie wulgarne. Kurwie eksplozje różu i purpury.

Kolejne nasze hobby to złoto. Kolekcjonujemy je. Gromadzimy. Mniej więcej co miesiąc wraz z Agentem jedziemy autem do Lizbony i odwiedzamy pewnego starego Hiszpana w jego biurze w Hotelu de Luxe. Pieniądze mamy przygotowane, od Agenta. Odliczamy jaskrawe banknoty i nad biurkiem wręczamy cały plik. Kiedy staruszek zbada nasze złoto, zważy i zawinie w turkusową chusteczkę, dostajemy je w bryłkach wielkości spinek do kołnierzyka. Znużenie, wstyd i marzycielska odraza nadają ton tym transakcjom. Siedzimy skamieniali. Masywne brązowe meble i señor Menini: szkiełko w oku, lutowane zęby, zakurzona waga. Hamilton i ja bogacimy się w złoto.

Czy Rosa to też hobby? Wolno ją tak zaklasyfikować? Jedno przelotne spojrzenie na Rosę, gdy w różowych łachmanach idzie do studni, i oto Hamiltonowi krew leniwieje, gęstnieje, we włosach szum. Jakby zniecka wpadł: w miłość od pierwszego wejrzenia. Już w dniu przyjazdu osaczył ją w kuchni i objął ze łzami w oczach, powtarzając: *adorada, adorada*. Rosa jest różowa i brudna; jest mroczna, jest różana. W ramach codziennych obowiązków rano napełnia Hamiltonowi nocnik. Hamilton zwykle goli się w samych spodniach od piżamy, kiedy Rosa wchodzi do pokoju. Zwraca się ku niej w powolnym geście, w którym jest wyznanie. Ona kuca, żeby ustawić pod łóżkiem żenująco ciężkie naczynie. Wychodząc zamiata wzrokiem podłogę i mówi: *bom dia*. Doprawdy, ta cała historia z Rosą to kompletnie chybiony pomysł. Dziewczyna jest dla niego dużo za młoda, a pewnie i dla każdego prócz swoich braci, ojca, wujków, stryjków i całej reszty - tak przynajmniej podejrzewa Hamilton (wiem, czuję), kiedy o zmroku krąży wokół obozu. W zeszłym tygodniu obchodziła trzynaste urodziny, czyli ma tylko dwanaście lat. Hamilton obserwuje Rosę, gdy ta ze ścierką i kubłem klęka na podwórku i bierze się za czyste talerze. Stok jej pleców,

ruch ręki ocierającej czoło. W świetlistych strzępach odzieży jest różowa i podsinią jak jej jama ustna, w której duże zęby wciąż jeszcze sąsiadują z małymi. W pustych miejscach dostanie wkrótce mleczaków, kupionych od mlecznej wróżki... Kobiety - czego on tak naprawdę w nich szuka - matki, córki, siostry, żony? Gdzie właściwie jest jego żona? Lepiej niech się szybko pojawi, póki czas. Rosa daje mu prezenty, a on przy okazji wypadów do Lizbony tkliwie je spienięża.

Ale ze wszystkich ciał najbardziej ostatnio interesuje go własne. Jest swoim własnym hobby. A jego ciało jest swoim własnym kochankiem. Między zewnętrznym sercem a górną kończyną kwitnie miłość. Nie to co Wellport, stare dzieje: biedny Tod i jego solowe blamaże, samotne fiaska. Hamilton wprost nie może się nadziwić własnemu ciału. Myślałby kto, że dopiero teraz je dostał. Kiedy chodzi po domu, śledzą go lustra. Go. Jego. Ono. To: to właśnie ciało pielęgnuje, umartwia i przebiegle bada w falujących lustrach jarmarcznej Portugalii.

Pojawiają się wiersze do Rosy, które wyjmuje ze śmieci. W wiklinowym koszu przynosi je Lourdes, z ukłonem. Najwyżej dwie, trzy linijki.

*Duszy księżniczki w cygańskich łachmanach Sądzone jest marnieć w tak skromnej komórce...*

I:

*Kosa, której niewinność woła ratunku! Gdzież rycerz, co ją wreszcie wybawi?*

No. Gdzież rycerz. Z posępną miną, a nieraz i ze łzami wymazuje

piórem te swoje wersy - co chyba daje niezłe wyobrażenie, jak jest nieuleczalnie nieśmiały.

Jego ciało wydziela teraz różowy śluz, który Hamilton zbiera do butelki i razem z innymi kosmetykami oddaje Agentowi.

Kiedy wychodzi, żeby czekać na nią wieczorem, myślę czasem: on nie Rosę, lecz obóz kocha. Wściekłą, sentymentalną muzykę i nieuczony kolor, urodę i chorobę w fałszywie złotym świetle, gruźlicę i syfilis, ogniska migoczące spod gałązek jak mózgi ogarnięte iluminacją, urokliwą zgorzel oka i ust, dziecinność i bezwartościowe śmieci. Hamilton pragnie coś zrobić obozowi. Ale co? W Portugalii nie przyznaje się, że jest lekarzem, i pewnie mądrze robi, z daleka omijając chorych i kalekich, Lourdes i jej dramatyczne gorączki, ogrodnika Tolo i jego kolana wykoślawione podagrą, nawet Rosę, jej strupy i stłuczenia. Pozostawia to wszystko miejscowemu doktorowi, którego trwożną wiarę w kilka gotowych specyfików kwituje bezgłośnym uśmiechem szyderstwa. Ale pragnie coś zrobić obozowi. Wykurować go. Czerwonym kurem.

Umysł i ciało sposobią się do wojny. Ciało na jawie: poddaje się rygorom, celebrytuje ksobne saturnalia. A umysł w nocy. Coś drze na strzępy jego sen. Raptem wtrącony w czuwanie, samotny na czarnej półkuli, płacze, aż wybucha śmiechem; a wtedy korzysta z nocnika przygotowanego przez Rosę i szybko z powrotem zasypia, mimo bólu. Gdzieś w srogim tańcu tego zbełtanego snu wyczuwam zaczątki dogłębnego przewartościowania, jakby wszelkie zło miało wkrótce stać się dobre, a błąd słuszny. Ten nowy sen, który raz po raz wraca, w suchym streszczeniu brzmi co prawda niezbyt zachęcająco, wydaje się jednak ambiwalentny i rozmaicie może wróżyć. Hamiltonowi śni się, że sra ludzkimi kośćmi... W bezgwiezdne noce spoglądam czasem na niebo i ogarnia mnie komiczne przeczucie, że świat wkrótce nabierze sensu.

W któreś skwarne popołudnie zszedłem na dół z sypialni po krótkiej, lecz wyczerpującej sjeście i zobaczyłem, że Agent zajeżdża pod dom swoim kuriozalnym packardem. Przy koniaku ponuro oznajmia nam o kapitulacji Japonii. Widzę, że Lourdes i Ana mają łzy w oczach i co chwila pobożnie się żegnają. Zabobonne lęki prostego ludu, przepraszającym tonem wyjaśnia Agent. Koniec świata. *Bomba atomica...* Byłem zaskoczony. Więc jednak! Zrobili to. Nie mogli się powstrzymać, zrobili. Akurat kiedy ogólnoświatowy zakaz wydawał się pewny. Nie odmówili sobie wojny jądrowej o ograniczonym zasięgu... Hamilton postanowił - trochę może nieuprzejmie - wziąć Bustosa na przebieżkę, zostawiając tamtych z ich problemami. Nim wróciliśmy, Agent znikł, a kobiety zdążyły się uspokoić - nie tak jak Bustos, głupi szczeniak, który wił mi się u stóp, wpatrując się we mnie z rozdzierającym smutkiem.

W domu coraz zimniej. Ulatnia się zeń uczucie. I tak właśnie być powinno. Rosa wciąż u nas pracuje, ale schroniła się w dzieciństwo. Wzrok Hamiltona nie muska już jej twarzy ani różowych szmat. I tak ma być. Możemy ją wreszcie pożegnać szybkim skinieniem głowy, lekkim odchyleniem od pionu. Już nie zatęsknię za Bustosem, którego Agent gdzieś wywłókł wiele miesięcy temu.

\*\*\*

Wojna do nas nie przyszła. Nie było jej sądzone przetoczyć się przez naszą wioskę. To nas w nią wszczepiono - z przysłowiowo chirurgiczną precyzją. Z powolną starannością.

Bez żalu żegnało się Portugalię, jej rytm niedoli i fiesty, port, zdeorientowane spojrzenie Agenta. Niewygody na obmierzłym parowcu znosiło się, jak się umiało. Nawet Hamilton, w podróży taki zawsze elegancki i przystojny, nabrał niebawem tego samego



zapuszczonego, fatalistycz-nego wyglądu co wszyscy. Pasażerów było około dwudziestu (a statek wcale nie pasażerski), więc spaliśmy w mesie, na ławkach i leżakach, znieawidzeni przez załogę, a każdy swój dobytek czy też sekret tulił w ramionach jak kochankę, szepcząc doń we wszystkich językach Europy... Drugi język, ten co utknął Hamiltonowi w gardle: pomału wyłazi. Drga gdzieś w środku... Oczywiście z nikim nie rozmawiamy: każdym westchnieniem, skinieniem, zmarszczeniem brwi zrzekamy się mowy. Po całych dniach grają w karty. Doły społeczne, ludzkie rupiecie. Czego może chcieć od nich wojna? Wyglądają na zhańbionych do cna. My przynajmniej mamy nasze złoto: ukryte w drugim pasku pod koszulą ciągnie nas w dół za odwłok.

Zawsze myślałem o Włoszech jako o swojej ojczyźnie duchowej, więc Salerno początkowo mnie rozczarowało. Zamieszkaliśmy w tanim pensjonacie, z którego właściciel miał zwyczaj eksmitować nas od zmierzchu aż po błądy świt; spacerowaliśmy więc, poświęcając czas wizytom w kościołach i bezsensownym scysjom z włoską policją. Okazuje się, że Hamilton, który w Wellport tak sumiennie praktykował, tutaj wcale nie przepada za kościołami. Siada w pierwszym lepszym klęczniku i co dwadzieścia sekund zerka w stronę drzwi, obmierzle wzdychając. Raz podszedł do ołtarza i zgasił świecę, zgarniając do kieszeni kilka niewidzialnych monet.

Rzut oka na ukrzyżowanego Chrystusa, wielbionego trupa: postać zgiętą jak gałąź od prokrustowej męki w ogniu. Nad naszą głową zapoznane obserwatorium światła. I z powrotem na dwór, gdzie czekają *carabinieri*, żeby odegrać pantomimę *pappacieri* i *papieri*.

Podróż do Rzymu upłynęła nam w nastroju wodewilowej zgrozy: czarna chimeryczna lokomotywa, a potem Stazione Termini niby

jakaś antykatedra, jej zakopcone okna, chłód nawisły niczym w krypcie, swąd skorupy ziemskiej albo piekielnych krokwi. Śmiało zapuściliśmy się w niewiarygodną różnorodność ulic, między mężczyzn w butach z kory brzozonej, kobiety odziane w worki i dywany, dzieci w zakurzonych adamowych ubrankach. Mają miny, jakby właśnie szli do szpitala, jakby życie było niepokojąco, lecz fascynująco dziwne. Tak jednomyślnie skonsternowani, osłupiali. Spokojna głowa, mam ochotę im powiedzieć. Wszyscy wyjdziemy cało. Nikogo nie ubędzie. Wielu przybędzie. Wylewne powitanie - wraz z lekkim obiadem - oczekiwało nas w klasztorze (franciszkanów) na Via Siciliana. I dalej w drogę. Dokąd? A gdzież by? Do Watykanu.

Przez pewien czas byliśmy tam nawet stałym bywalcem - przez dziewięć poranków z rzędu, w tym dwie niedziele, mijaliśmy blanki, przecinali ogrody, szli długimi korytarzami zawałonymi wszelakim łupem, gdzie mknęły nam przed oczami szklane gabloty pełne cacek i cudeniak, prostokąty olei, kobierców i haftowanych map, aż trafialiśmy do poczekalni. Ojciec Duryea, nasz człowiek, nasz poplecznik, zawsze natychmiast nas przyjmował, nie przeszkadzało to jednak Hamiltonowi marudzić potem godzinami w tejże sali. Spięty, milczący, siedział na krześle przy stole z wazonem kwiatów i misą popękanych jabłek. Ojciec Duryea był Irlandczykiem. W jego twarzy całe rozhułkane ciepło wybrało sobie na kwaterę główną nos; zbłąkane czułki krwi zdawały się przesączać stamtąd do szarych skruszonych oczu. Usta też były areną bólu. Jego biedne usta. Hamilton powitał go, dziękując z uczuciem, i niezwłocznie przekazał wszystkie nasze papiery: mały paszport nansenowski, portugalską wizę, nawet bilet, który dano nam w porcie w Salerno. Ojciec Duryea okazał wiele nadziei i wyrozumiałości. Ale tego rodzaju sprawy pochłaniają czas. Czas w poczekalni, kiedy człowiek gapi się

na okaleczone jabłka, na ich otwarte rany.

Czas w klasztorze na Via Siciliana - gdzie Hamilton, jeśli się nie mylę, złożył w duchu śluby milczenia. Strawa, którą brudzę talerz, odzwierciedla charakter tej instytucji: prosta, lecz doskonale posilna. Mamy tu celkę tylko dla siebie. Klasztor pełen jest takich wędrowców jak ja, widm o<sup>^</sup> poły bezimiennych (czuję, że chwilowo wiszę między dwoma imionami). Watykan pełen jest takich petentów jak ja, wołających: „Ojcze. Ojcze”. Europa zapewne pełna jest takich ludzi jak ja, w postawie wyjściowej przed skokiem w wir wojny. Jestem więc osamotniony, ale nie sam - czyli jak każdy. Naszą celę ogrzewa wstyd, pompki i modlitwy. Owszem, modlitwy. Modlitwa Hamiltona jest jak hałas, którym zagłuszasz nieznośną myśl. Jego nagła zdolność do cierpienia mogłaby mi zaimponować, poruszyć do głębi, gdyby nie ta monotonia: strach, stale strach, tylko strach. Przed czym? Wszyscy wyjdziemy cało. Lecz on klęka i składa ręce, skowyczy i bełkocze w żarliwej trwodze o własne przetrwanie. Na dowód dobrej wiary czy czegoś tam spróbował nawet tego starego numeru... no, wiesz: krzesło, pasek zawieszony na krokwi. Nic z tego, rozumie się, nie wyszło. Jak już byłem łaskaw wyjaśnić, to się udać nie może. Nie uda ci się, skoro już raz tu wylądowałeś.

Wczoraj pod krzakami za wierzbą znalazłem fotografię. W strzępach, ale złożyliśmy ją z powrotem. Twarz młodej kobiety: smagła, pokryta puszką, miła, bezpośrednia. Niezbyt skłonna wybaczyc. Obawiam się, że to nasza żona.

Cieężko jest siedzieć w poczekalni, na krześle, przy stole, z ceremonialną cygaretką, i patrzeć, jak goją się zgorzeliny jabłek.

- Wspomagamy potrzebujących - rzekł ojciec Duryea podczas naszej ostatniej wizyty - a nie tych, którym się należy.

- Każdy robi, co umie najlepiej - odparł Hamilton - a nie to, co najlepsze.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Nie mogę wytłumaczyć, co robiłem. Nie mogę prosić ojca o pomoc.

- No, nie...

- Jestem niczym. Jestem trupem. Jestem tylko... Nie jestem nawet...

Ojciec Duryea wyprostował się na krześle. Ja też. Głębokim, dalekim głosem Hamilton dodał:

- Straciłem poczucie delikatności ludzkiego ciała.

Aha. Sens. Nadchodzi. Wychodzi na jaw. Zbyt długo trwał tu w ukryciu i wreszcie wychodzi.

- Proszę jaśniej - zażądał ojciec Duryea.

- Ludzkie ciało nie budziło już w nas żadnych uczuć. Nawet maleńkie dzieci. Niemowlęta.

Twarz ojca Duryei zbiegła się wokół nosa, spieczonego pnia.

- Rozumiem - powiedział.

- Wie ojciec, gdzie byłem. W takiej sytuacji pewne postęпки same się narzucały.

- Rozumiem, mój synu.

- Sytuacja była obłądna, niemożliwa.

- Nie ma potrzeby o tym mówić.

Hamilton zwilżył rękawem policzki i zawiesiście siąknął nosem.

- Były sprawy...

- Mów.

- Dalej chcę leczyć, ojcze. Może w ten sposób, czyniąc dobro...

- W piekle?

- Byłem w piekle.

- Oczywiście. Oczywiście.

- Zgrzeszyłem, ojcze.
- Widzę, że coś cię dręczy, moje dziecko.

I wtedy Hamilton wręczył mu rozmaite nasze *laissez-passer*, a w zamian dostał nowe dokumenty. Przedtem jednak ojciec Duryea wpatrywał się w nie przez wiele ciernistych minut. Wpatrywał się tymi swoimi krwawiącymi oczami. Żegnając się zachowaliśmy zwykle w takich razach formy, łącznie z rutynowymi już komplementami pod adresem mojej nienagannej angielszczyzny.

Hamilton i ja ostatnią noc w Rzymie spędziliśmy w bardzo przyzwoitym hotelu na Via Garibaldi, nieopodal wysokich murów więzienia. Tak wysokich, że trudno było nie zadumać się nad posturą przeciętnego włoskiego kryminalisty. Wyobraziłem sobie całą menażerię zdeprawowanych żyraf o czarnych zębach, każdą z własną kosą i mojką... Mieliśmy nawet osobną łazienkę i grubo ponad godzinę pławiliśmy się w wannie. Czyste sumienie. Czyste ręce.

Znowu zmieniliśmy nazwisko. Coś mi mówi, że to już ostatni raz. Nazywamy się - zrazu dosyć alarmująco - Odilo Unverdorben.

I do czysta zatarty trop. Podróż na północ udała nam się jak za dotknięciem różdżki. Podawano nas sobie jak pałeczkę w sztafecie, a metą była wojna.

Pociągiem do Bolonii (gdzie kupiłem buty turystyczne), ciężarówką do Rovereto; stamtąd skokami, po trzydziści-czterdzieści kilometrów dziennie, zawsze pod czyimś przewodem lub obserwacją, z wioski do wioski, z zagrody do zagrody, pieszo, na wozie, pokracznymi autami. Kraina, którą pokazywali mi przewodnicy i wybawcy, taka była malownicza - ceramiczne domy, kamień wżorzysty jak salceson w łagodnym powiewie zmierzchu. Gęsta trawa, zadbane lasy: tu i teraz ziemia ma zdrowe włosy, gęste i zadbane, i pod spodem zdrową skórę, a nie tak jak tam, tak jak

przedtem ospowata, porośniętą tylko kępkami. Ta ziemia jest niewinna. Nic nie zrobiła.

Marzec i luty spędziliśmy na przełęczy Brenner, kolejno u trzech wieśniaków. Choć nie mieliśmy tam idealnych warunków, taki okres ascezy odpowiadał nam i sprzyjał wewnętrznemu doskonaleniu. Tęskniłem za towarzystwem ludzi i za wysiłkiem fizycznym (marzyła mi się na przykład porządna, długa łąęga), lecz Odilo na pewno miał swoje powody. Miał powody, żeby tygodniami leżeć pod stertami koców na strychach i w oborach, nic nie robiąc, tylko modląc się i trzęsąc. Słyszeliśmy wyraźny szept świtu i zmierzchu, szczekanie psów, ale żadnych świeżych pogłosek o wojnie. W dniu, w którym znów ruszyliśmy na północ, prószył śnieg. Prószył cierpliwie, bo dużo go leżało na ziemi, wiele płatków musiało wrócić jak białe dusze do nieba. Ciężarówkami i gazikami mknęliśmy przez miasta i miasteczka środkowej Europy. Składała się w znacznej mierze ze śmieci i gruzu, który czekał, aż wojna go pozbiera. Czarne domy czekały, aż zabarwi je ogień. Umorusani, zdeptani ludzie wyczekiwali kopyt i buciorów nadciągających wojsk. Europa kłębiła się wśród nocy jak całe morza ludzkich postaci wokół piecyków w poczekalniach dworcowych. Na każdym kroku miejscowi z minami znamionującymi moc i zachwyty dawali mi złoto.

Wiedziałem, że jest ono święte i nieodzowne dla naszej misji. Toteż na ostatnim postoju, w ostatniej zagrodzie, gdzie mieliśmy się dobrze i ciepło, gdzie nie brakowało dziecięcych główek do głaskania i czochrania, a przy piecu leżał pasiasty materac, w tym zatem miejscu, z którego widać już było rzekę Weichsel – pogrzebaliśmy nasze złoto. Klnąc nader wymownie i uroczyście, pogrzebaliśmy sakiewkę złotego złomu pod kompostem za stodołą. Był to oczywiście akt czysto symboliczny: chwilowy powrót złota do ziemi. Bo po pięciu dniach znów je wykopaliśmy, kiedy kompost

znikł. Ilekroć Odilo klnie, przyzywa ludzkie łajno, z którego, jak już wiemy, rodzi się w końcu wszelkie ludzkie dobro.

Ileż razy zadawałem sobie pytanie: kiedy świat nabierze sensu? Odpowiedź nareszcie się pojawia. Mknie ku mnie po wybojach.

## 5

# Tu nie ma żadnego „czemu”

Świat nabierze sensu...

Wreszcie. Ja, Odilo Unverdorben, przybyłem na Auschwitz Zentral dość pospiesznie, na motocyklu, pchając za sobą szeroki tren czy też kryzę bryzgającego błota, tuż po haniebnym odwrocie bolszewików. Wreszcie. Miałem może sekretnego pasażera na tylnym siodełku albo w urojonej przyczepie? Nie. Byłem sam, jeden. W pełnym umundurowaniu. Za południową granicą lagru, w stodole bez dachu, zrzuciłem nasz prostacki strój podróżny i ze wzruszeniem włożyłem czarne buty z cholewami, biały kitel, kurtkę podbitą barankiem, czapkę z daszkiem, pas z pistoletem. Motocykl znalazłem wcześniej, tam gdzie ugrzązł w rowie. Frunąłem na nim, śmiałek uskrzydłony zapalem... Dosiadłem ciężkiej maszyny i szarpnąłem urękawicznioną dłonią za sprzęgło. Auschwitz ciągnął się wokół mnie kilometrami, jak Watykan po salto mortale. Życie ludzkie w strzępach i ochłapach. Ale ja byłem jeden, nareszcie zrośnięty, gotów wykonać nadprzyrodzony plan.

Łopatkki wciąż jeszcze podrygiwały ci w rytm artylerii Rosjan, czmychających na wschód. Co też oni najlepszego tu zrobili? Całkiem jak zwierzę, które dopiero po fakcie stwierdza, że - już, zrobiło. Uległem pierwszemu impulsowi. Prawdę powiedziawszy, panowałem nad sobą w stopniu mniej niż doskonałym. Zacząłem krzyczeć (brzmiało to, jakbym krzyczał z bólu i wściekłości). I na kogo? Na te wieszaki do ubrań i smyczki, iksy, znaki zapytania i pełzające igreki ustawione szeregiem niby wrzaskliwe nagłówki



gazet? Pomaszerowałem za siebie; krzyżąc przemaszerowałem przez most, przez wszystkie tory kolejowe i wreszcie do brzezinki – do miejsca, które poznałem wkrótce pod nazwą Birkenau. Po krótkim i wściekłym odpoczynku w magazynie kartofli wszedłem do szpitala kobiecego, z niezłomnym zamiarem dokonania inspekcji. Nie w porę. Teraz widzę, że nie w porę (byłem bliski zawrotu głowy: od czego zacząć?). Swój wejściem zdołałem tylko wprowadzić nieliczne pielęgniarki w tym głębsze osłupienie, nie mówiąc już o pacjentkach, które leżały na siennikach po dwie, po trzy, wciąż jeszcze dalekie od rozmiarów normalnej kobiety. Za to szczury wielkości kotów! Moja niemczyzna ze zdumiewającą mocą wydarła mi się z ust, jakby napędzana odwiecznym gniewem, że tak długo odmawiano jej głosu. W łaźni zachwiał mną kolejny widok: marki i fenigi – legalna waluta – przyklejone do ściany ludzkim łajnem. Pomyłka: pomyłka. Co to wszystko znaczy? Łajno, wszędzie łajno. Nawet wracając przez oddział, wśród wrzodów i obrzękniętych mózgów, wśród pacjentek chodzących i gadających przez sen, czułem pod podszewkami czarnych butów zgłodniałe ssanie łajna. Na dworze: wszędzie. Tę miazgę, tę ludzką miazgę w zwykłych czasach (i w cywilizowanych okolicach) dobry smak nakazywał spychać do rur i kanałów – podziemnych, niewidocznych – lecz teraz wystąpiła z brzegów, chlusnęła wzwyż i wszczesz na podłogę, na ściany, aż na pułap życia. Oczywiście nie od razu dostrzegłem w tym logikę i sprawiedliwość. Nie od razu spostrzegłem, że skoro ludzkie gówna wyrwało się na swobodę, pokaże nam wreszcie, co potrafi.

Tego pierwszego ranka podano mi w kwaterze oficerskiej skromne śniadanie. Byłem dość spokojny, chociaż nie mogłem nic przełknąć. Ani łyku mrożonej wody selcerskiej, którą przyniesiono wraz z szynką i serem nie mojej roboty. Prócz mnie był tam tylko jeden oficer. Pragnąłem poćwiczyć niemiecką konwersację, ale

milczeliśmy. Filiżankę z kawą po kobiecemu obejmował dłońmi, żeby je rozgrzać; słychać było, jak porcelana stuka sztyfem o jego zęby. Parę razy wstawał z całkiem pogodną miną, szedł do łazienki i z powrotem dawał nura do jadalni, niezgrabnie gmerając przy klamrze paska. Na tym między innymi, jak się wkrótce przekonałem, polegała aklimatyzacja. Sam w pierwszych tygodniach prawie nie wstawałem z sedesu.

W moim boksie jest zupełnie cicho, a na podłodze leży twardy pomarańczowy dywanik. Wita dyskretną wilgoć moich niemieckich stóp, kiedy idę spać. Wita dyskretną wilgoć moich niemieckich stóp, kiedy wstaję.

W drugim tygodniu obóz zaczął się zaludniać. Najpierw po trochu, pomалу, potem tłumnie i stadnie. Obserwowałem to przez szparę w ścianie, leżąc pod warsztatem w nieczynnym magazynie blisko brzeziny, z kocem, z flaszką kminkówki - i z różańcem, który przesuwalem w palcach jak koraliki liczydła, rachując nadchodzących. Uświadomiłem sobie, że kilka z tych procesji widziałem w drodze na północ przez wschodnią Czechosłowację, w Owitkowie i Ostrawie. Energiczny marsz i ostre temperatury najwidoczniej dobrze zrobiły obozowiczom, choć ich forma po przybyciu wciąż jeszcze pozostawiała wiele do *życzenia*. A przede wszystkim nie było ich dość. Podobnie jak we śnie, nękało świadka zagadnienie skali, niewytłumaczalne dysproporcje. Maruderzy nadciągali setkami, tysiącami, a i tak nie mogli wypełnić zionącego uniwersum kacetu. Inne źródło, inna siłownia potrzebna była na gwałt... Krótkie dni prawie dobiegały końca, nim ośmielałem się wyjść z szopy (w której ukryty był także mój motocykl. Raz po raz oglądałem go z gorączkową tkliwością). W klubie oficerskim zrobił się większy ruch, wciąż przybywali nowi. Wydawało się dziwne -

choć nie, właściwie zupełnie naturalne, że wszyscy się znamy, poznajemy się jakby automatycznie: my, zebrani tu w służbie nadprzyrodzonego planu. Mój niemiecki sprawdzał się po prostu cudownie, niczym genialny robot, którego wystarczy włączyć, zostawić samemu sobie i już tylko podziwiać, jak odwała najcięższą pracę. Odwaga także przybywała - wcielona w umundurowane podzespoły ludzkie, których liczebność i specyficzna nieustraszonność były na miarę naszego zadania. Jacy przystojni są mężczyźni. Te bary, potężne karki. Pod koniec drugiego tygodnia w naszym klubie buchały pieśni ze ściśniętych gardeł i dziarski śmiech. Pewnej nocy zataczając się trafiłem do drzwi, dałem krok nad leżącym kolegą i wyszedłem w śnieżną pluchę, bo wszystkie toalety były zajęte, a kiedy kucnąłem, opierając o zimne deski drżący policzek, zobaczyłem wśród cuchnących cieni Auschwitzu, że najbliższe ruiny dymią jak nigdy

I nawet zaczęły się jarzyć. W powietrzu wisiał nowy zapach. Słodki.

Trzeba nam było czaru, żeby wyprowadzić jakikolwiek sens z otoczenia, które nie bardzo dopuszczało kontemplację: trzeba nam było kogoś o boskiej randze - kogoś, kto potrafiłby obrócić świat. No i z czasem się pojawił... Niewysoki, zwykłej postury; zimno urodziwy, owszem, z samouwielbieniem w oczach; zgrabny, nieubłagane zgrabny w aureoli atletycznego autorytetu; a przy tym lekarz. Tak, prosty lekarz. Wejście miał imponujące, słowo daje. Migocząc wśród brzoź nadjechał biały mercedes-benz, a on wyskoczył w płaszczu i przemknął przez dziedziniec, wykrzykując rozkazy. Znałem jego imię, więc wyszeptalem je, patrząc ze swojego miejsca w magazynie, gdzie siedziałem ze sznapssem i z rolką papieru toaletowego: „Wujek Pepi”. Rumowisko zadrżało od płomyków ognia, gdy przybysz stanął nad nim z rękami na biodrach,

śledząc wszystkie swe moce wzbierające w dymie. Pomału się odwróciłem, lecz nagle poczułem prąd i pęd raptem ożywionej materii. Zanim z okrzykiem rzuciłem się na powrót do dziury w ścianie, dym znikł, pojawił się za to nieodzowny budynek, jak nowy (nie brakowało nawet irysów i niskiego płotu wzdłuż ścieżki), przed nim zaś stał Wujek Pepi, podnosząc rękę zgiętą w łokciu. Nie brakowało nawet dużej tablicy nad drzwiami: BRAUSEBAD. „Łaźnia” - szepnąłem, prychając z uszanowaniem. Ale Wujek Pepi nie zasypiał gruszek w popiele. Gdy tego ranka leżałem na podłodze magazynu i pełen oczekiwań szczękałem zębami, usłyszałem jeszcze pięć wybuchów. Rozpęd i błyskawiczny wzrost wsysały wstrząśnięte powietrze. Nazajutrz mogliśmy przystąpić do pracy.

Skąd wiem, że akurat to jest słuszne? Skąd wiem, że wszystko inne było błędem? Na pewno nie mówi mi tego zmysł estetyczny. Bynajmniej nie twierdzę, że zespół Au-schwitz-Birkenau-Monowitz cieszył oko. Albo słuch, węch, smak czy dotyk. Wszyscy moi tamtejsi koledzy dążyli, choć tylko zrywami, do maksymalnej elegancji. Rozumiem to słowo i całą zawartą w nim tęsknotę: elegancja. Nie za jego elegancję pokochałem z czasem wieczorne niebo, piekielnie czerwone od zlotu dusz. Tworzenie jest łatwe. I wstrętne. *Hier ist kein warum*. Tu nie ma żadnego „czemu”. Tu nie ma żadnego „kiedy”, żadnego „jak”, żadnego „gdzie”. Nasz nadprzyrodzony plan? Wymarzyć rasę. Uczynić ludzi z pogody. Z grzmotu i błyskawicy. Gazem, elektrycznością, gnojem, ogniem.

Przy każdym etapie tego procesu asystowałem ja lub równy mi rangą lekarz. Zbędna nam była wiedza, czemu piece są takie wstrętne, niewyobrażalnie wstrętne. Tragicznie przysadzisty insekt, niespełna trzy metry wysoki, cały z rdzy. Kto by chciał gotować na takim piecu? Bloczki, ruchome trzpienie, ruszty i wywietrzniki

zastępowały tej maszynie narządy... Pacjenci, jeszcze martwi, wyjeżdżali z niej na czymś w rodzaju noszy. Powietrze było gęste i zygzakowate od magnetycznego żaru tworzenia. A potem do Komory, w której starannie, choć moim zdaniem wbrew intuicji układano ciała, umieszczając dzieci i oseski u podstawy stosu, na nich kobiety i starców, z mężczyznami na samym wierzchu. Nie opuszczała mnie myśl, że lepiej byłoby na odwrót, bo przecież maleństwa mogą doznać obrażeń pod ciężarem nagiej masy. Lecz zawsze jakoś się udawało. Gdy czasem śledziłem tę operację przez wizjer, po twarzy przebiegały mi osobliwe uśmiechy i zmarszczki. Zwykle trzeba było długo czekać, zanim przez kratki wentylatorów niewidzialnie napłynął gaz. Martwi wyglądają tak martwo. Martwe ciała mają własną mowę gestów, mimikę mumii. Mowę, która nic nie mówi. Doznawałem rozkosznej ulgi, ilekroć któreś wreszcie drgnęło. A potem znów robiło się wstrętne. No cóż, wrzeszczymy, miotamy się i jesteśmy nadzy na obu krańcach życia. Na obu krańcach życia się wrzeszczy, a pan doktor patrzy. To ja, Odilo Unverdorben, osobiście usuwałem granulki cyklonu B z Komory i przekazywałem je farmaceutce w białym kitlu. Potem fasada łaźni, której krany i sitka (numerowane ławki, kwity na odzież, napisy w sześciu czy siedmiu językach) istniały niestety jedynie po to, żeby pacjentom dodać otuchy, a nie żeby ich obmyć; i wreszcie ścieżka z irysami.

Potem przychodziła pora na odzież, okulary, włosy, gorsety ortopedyczne i całą resztę. Zrozumiałe, że chcąc oszczędzić pacjentom zbędnych cierpień, zabiegi dentystyczne przeprowadzano na ogół, póki nie żyli. Robił to kapo - prymitywnie, lecz sprawnie, nożem, dłutem, pierwszym lepszym narzędziem. Na ogół używaliśmy oczywiście złota sprowadzonego prosto z Reichsbanku. Ale każdy obecny przy tym Niemiec, nawet

najskromniejszy, chętnie czerpał z własnych zasobów, ja zaś dawałem więcej niż którykolwiek oficer prócz samego Wujka Pepi. Znałem świętą moc sprawczą swego złota. Gromadziłem je przez wszystkie minione lata, polerując myślą: na żydowskie zęby. Ubrań w większości dostarczała Reichsjugendfuhrung. Włosy dla Żydów uprzejma była przysyłać Filzfabrik A.G. z Roth koło Norymbergi. Całe wagony włosów. Wagon za wagonem.

W tym miejscu chciałbym wszakże zgłosić jedną z możliwych uwag czy też obiekcji. W łaźni pacjenci wkładają w końcu przygotowane dla nich ubrania, zwykle co prawda niezbyt czyste, lecz przynajmniej skrojone na miarę. Strażnicy mają tu zwyczaj dotykać kobiet. Niekiedy oczywiście po to, żeby obdarzyć je jakimś klejnotem, pierścionkiem, kosztownym drobiazgiem. Ale często bez widocznego powodu. Och, nie wątpię w ich dobre intencje. Robią to w neodpartym niemieckim stylu: swawolnie, z ogniem w twarzy. I wyłącznie pacjentkom rozgniewanym. Chwył ten wyraźnie je uspokaja. Jedno dotknięcie - tam - i kobieta natychmiast drętwieje, kamienieje jak pozostałe. (Które czasem wyją. Które patrzą na nas z niedowierzaniem i wzgardą. Ale rozumiem ich stan. Współczuję. Akceptuję.) To dotykanie kobiet może mieć charakter symboliczny. Życie i miłość muszą trwać. Życie i miłość bezapelacyjnie i doniosłe muszą trwać: przecież tylko po to tu jesteśmy. A jednak wszystko razem powleka patyna okrucieństwa, stężonego okrucieństwa. Jakby tworzenie deprawowało...

Nie chcę dotykać dziewczęcych ciał. Jak wiadomo, nie pochwalam takiego napastowania. Nie chcę nawet patrzeć na dziewczęta. Łyse, wielkookie. Dopiero co stworzone i jeszcze całe po tym obolałe. Odrobinę mnie niepokoją te fanaberie, tak zupełnie nie w moim stylu. Delikatna sytuacja, obecność rodziców, a często i dziadków, ani reszta scenerii (niby w nie spełnionym śnie

erotycznym) bynajmniej nie tłumaczy braku reakcji na bodźce wzrokowe; przecież do dziewczyn z oficerskiego burdelu po prostu się palę, idę jak w dym. Nie, to chyba wpływ mojej żony.

Przytłaczającą większość kobiet, dzieci i starców przetwarzamy w gazie i w ogniu. Mężczyźni, jak nakazuje słuszość, odbywają inną drogę do rekonwalescencji. *Arbeit Macht Frei*, głosi napis nad bramą, z charakterystycznie niedbałą i prostolinijną elokwencją. Mężczyźni muszą na wolność zapracować. Oto idą w jesiennym zmierzchu, pacjenci w przewiewnych piżamach, a orkiestra przygrywa. Maszerują piątkami, w sabotach. Patrz. Ten ruch ich głów. Zadzierają je wysoko, twarzami ku niebu. Też tak próbowałem. Wciąż próbuję ich naśladować - i nie mogę. Mam u nasady karku ten mięsny kułak, który im jeszcze nie wyrósł. Trafiają tu straszliwie wychudzeni. Nie sposób ich zbadać stetoskopem. Żebra odpychają słuchawkę. Serca dudnią jakby w oddali.

Oto idą na spotkanie pracowitego dnia, z głowami odchylonymi do tyłu. Początkowo nie rozumiałem, lecz teraz już wiem, skąd ten gest, czemu tak sobie rozciągają gardła. Wypatrują dusz swoich matek i ojców, kobiet i dzieci, które gromadzą się w niebiosach, w oczekiwaniu na ludzki kształt

- i spotkanie... Niebo nad rzeką Weichsel pełne jest gwiazd. Już je widzę. Już nie rażą mnie w oczy.

Łączenie rodzin i kojarzenie małżeństw, znane jako selekcje na rampie, regularnie urozmaicały obozową monotonię. Truizmem jest stwierdzenie, że Auschwitz zawdzięcza swój triumf przede wszystkim organizacji: odnaleźliśmy ukryty w ludzkim sercu święty znicz - i wybudowaliśmy wiodącą doń *Autobahn*. Czym jednak tłumaczyć zaiste boską synchronizację, której widownią była

rampa? Ilekroć wyprowadzano na stację tłum słabych, nieletnich i starych, którzy po wizycie w łaźni wyglądali jak nowi, w tejże chwili ich mężczyźni kończyli wyznaczoną turę robót i przybiegali odebrać z rampy swoje rodziny - trochę wprawdzie zaniedbani, lecz silni i gibcy dzięki reżimowi ciężkiej pracy i ścisłej diety. Jako swaci nie wiedzieliśmy, co to fiasko; na rampie oszałamiające sukcesy były chlebem powszednim. Kiedy jednały się rodziny, krewni wyciągali ku sobie ręce i kierowali błagalne spojrzenia, a myśmy patrzyli z pobłażaniem. Do późna w noc wznosiliśmy toasty, żeby nowożeńcom się upiekło. Pewien strażnik grał na akordeonie, chwiejąc się na ugiętych nogach. Zresztą wszyscy byliśmy w trupa pijani. Po wieczorze kawalerskim na rampie drużbowie, czyli kapo, wpychali oblubieńca do oczekującego wagonu - świeżo wymoszczonego śmieciami i gównem - wyprawiając go w podróż do domu.

Uniwersum kacetu, warto nadmienić, było kategorycznie skatocentryczne. Ugniecione z gnoju. W pierwszych miesiącach musiałem jeszcze pokonywać wrodzoną awersję, nim pojąłem fundamentalną dziwność procesu owocowania. Łuski spadły mi z powiek, gdy ujrzałem, jak pewien stary Żyd wypływa na powierzchnię głębokiej latryny, pluszcze się w niej i walecznie ożywa, aż gnojówka obmyje mu odzież, a rozradowani wartownicy wyciągną go na brzeg, aby z powrotem przytwierdzić mu brodę. Zbawienny wpływ miało też na mnie obserwowanie *Scheisskommand*a przy pracy. Napełniało ono doły zawartością furgonu z fekaliami, i to nie za pomocą wiader czy innych naczyń, lecz płaskich drewnianych łopat. W rzeczy samej, wiele obozowych robót najoczywiściej nie spełniało kryterium produktywności. Z drugiej strony nie były też destruktywne. Zasypać dół. Znów go wykopać. Przenieść coś. I z powrotem. Naczelnym hasłem była



terapia... *Scheisskommando* składało się z naszych najbardziej kulturalnych pacjentów: akademików, rabinów, pisarzy, filozofów. Przy pracy śpiewali arie, gwizdali urywki symfonii, recytowali wiersze, rozmawiali o Heinem, Schillerze, Goethem... Kiedy pijemy w oficerskim klubie (czyli prawie codziennie), raz po raz odwołując się do gówna i wzywając jego imienia, Auschwitz nazywamy czasem „Anus Mundi”. Nie wyobrażam sobie większego hołdu.

Mogę wymienić inne pouczające przykłady obozowej gwary. Główne krematorium to inaczej Niebiański Blok, a główna droga, która tam prowadzi – Ulica Niebiańska. Komorę i łaźnię nazywamy z kaustycznym poczuciem humoru szpitalem centralnym. Nasza służba w kacecie to – bez względu na porę roku – *Sommerfrische*, letnie powietrze; przerośnięta ta sugeruje wieczny odpoczynek od niezadowolającej rzeczywistości. Zamiast „nigdy” mówimy „jutro rano”, trochę jak hiszpańskie *mariana*. Najszczęśliwsi pacjenci, którym z twarzy został już tylko kostny trójkąt wokół oczu, zwani są *Musselmdnner*: nie jest to, jak z początku sądziłem, ironiczny przytyk do braku masy mięśniowej. Bynajmniej. Kanciastość bioder i barków kojarzy się z muzułmanami pogrążonymi w modlitwie. Lecz to oczywiście nie muzułmanie. To Żydzi. No cóż, nawróciliśmy ich! Kiedy nastąpi nawrócenie Żydów? Jutro rano. Pogłoski i plotki, którymi często nazbyt się ekscytują nasi mężczyźni kuracjusze, wyrozumiale nazywamy „latrynową gadką”.

*Hier ist kein warum...* Stwierdzam z rozczarowaniem, że nie robię postępów w niemieckim. Mówię tym językiem i chyba go rozumiem, wydaję w nim rozkazy i wykonuję cudze, lecz jakoś nie wchodzi mi on w krew. Nie jestem bardziej zaawansowany niż w portugalskim. Chyba za dużo mnie kosztowała nauka potocznej angielszczyzny. To akurat było udane trafienie. Dziwny język, niemiecki. Choćby dlatego, że wciąż tylko się krzyczy. I te

długachne wyrazy: ta dosłowność, kłeczenie układanek. Tupet zdań obowiązkowo zaczynających się od orzeczenia. Albo pierwsza osoba liczby pojedynczej: *Ich*. „Ich”. Nie jest to szczyt asertywności, prawda? *I* ma w sobie szlachetny pion. *Je* brzmi dosyć mocno i poufnie. *Eo* – do przyjęcia. Z *Yo* szczerze się utożsamiam. *Yo!* Ale *Ich?* Tak wzdycha dziecko, gdy patrząc w dół przez ramię pyta, czy to na pewno jego własna, czy raczej cudza... I może między innymi o to właśnie chodzi. Na pewno wszystko zrozumie w miarę postępów w niemieckim. Kiedy je poczynię? Wiem. Jutro rano!

W oficerskim burdelu, zajmującym – prawidłowo – najdalszy narożnik Bloku Eksperymentalnego (o oknach stale zasłoniętych okiennicami, a może zabitych na głucho), wyzbyłem się nawyków erotycznych całego życia. Dawna gruntowność w znacznej mierze znikła. Szczegółom nie poświęcam tej uwagi, która niegdyś cechowała moje stosunki z płcią piękną. Może sprawia to świadomość, że jestem żonaty (o czym koledzy często żartem mi przypominają), może chęć dostosowania się w każdym gościu do obozowego etosu, a może po prostu znudzenie kobiecą twarzą? W każdym razie moje miłosne sztychy – raptowne, pospieszne, bezradne, beznadziejne – godzą teraz wyłącznie w źródło wszelkiej karmy i owocowania. Łyse kurwy nie dają nam pieniędzy. A my nie zadajemy pytań. Bo tu nie ma żadnego „czemu”.

Jeszcze jedno lagrowe wyrażenie, bardzo rozpowszechnione, występujące w wielu formach: brzmi jak *smistig*, ale jest to chyba zbitka dwóch niemieckich rzeczowników, *Schmutz-stuck* i *Schmuckstuck*, „brud” i „klejnot”. *Smistig*, o ironio, znaczy „gotów”, „załatwiony”, „wykończony”.

Zacząłem korespondować z żoną. Ma na imię Herta. Jej listy nie pochodzą z ognia (*das Feuer*), tylko ze śmieci (*der P/ander*). Pisane

są po niemiecku. Moje listy do niej przynosi mi służący. Wieczorami pracowicie je wymazuję w swoim cichym pokoju, aż zostają ładne arkusze białego papieru. Tylko po co mi one? Moje listy też pisane są po niemiecku, chociaż trafiają się w nich kąski angielszczyzny, żartobliwie belferskiej w tonie. To chyba słuszne, że Herta i ja właśnie w ten sposób zawieramy znajomość. Korespondencyjne koleżeństwo.

Zdaje się, że moja żona powzięła już pewne wątpliwości co do pracy, którą tu wykonujemy.

Trzeba będzie oczywiście wyjaśnić to nieporozumienie. Jest też kwestia dziecka (*das Baby*). „Moja kochana, jedyna, moje ty wszystko, będą jeszcze inne dzieci – piszę, trochę co prawda mętnie. – Będzie całe mnóstwo maleństw”. Coś mi się tu nie podoba. Czy dziecko – *das Baby* – to właśnie bombowe bobo? To, które sprawuje taką władzę nad swymi rodzicami? Nie sądzę. Nasze dziecko (ma nawet imię: Eva) nabrało kolosalnego znaczenia – jako temat. To nie to samo, co fizyczna moc bombowego bobasa, której podlegali jego rodzice i reszta obecnych w czarnej izbie: jakieś trzydzieści dusz.

Jej zdjęcie, które znalazłem w Rzymie, w klasztornych ogrodach – wyjmuję je i oglądam. Nocą oczy mam pełne łez. Za dnia rzucam się w wir pracy. Czy kiedykolwiek nastąpi kres poświęceń, których ode mnie się wymaga?

\*\*\*

Wujek Pepi był wszechobecny. Tak właśnie najczęściej o nim mówiono, na przykład: „Dwoi się i troi”, „Wszędzie go pełno”, czy też po prostu „Wujek Pepi jest wszędzie”. Wszechobecność była tylko jednym z atrybutów, które wynosiły go w sferę nadludzką. Wydawał się też niesamowicie schludny jak na Auschwitz; w jego

obecności - a był przecież wszechobecny - czułem każde draśnięcie i zadrapanie na swojej wstrząsanej mdłościami szczęce, krótką lecz niesforną fryzurę, niefortunny krój munduru, czarne cholewy bez połysku. Jego szeroka w skroniach twarz miała w sobie coś kociego i nawet oczy mrużył niespiesznie jak kot. Na rampie sprawiał się z rycerską gracją, każdy jego ruch wydawał się decyzją eleganta. Miało się wrażenie, że nie jest człowiekiem, tylko gra ludzką rolę: dobrowolnie wyobcowany, szlachetnie protekcyjny w obejściu, zarazem niezwykle wręcz przyjacielski - oczywiście nie wobec młodzików w moim wieku, lecz wobec takich tuzów medycznych, jak Thilo czy Wirths. Miałem ponadto zaszczyt - i to dość regularnie - asystować mu w pokoju pierwszym bloku dwudziestego, a potem nawet w bloku dziesiątym.

Rozpoznałem pokój pierwszy ze swoich snów. Różowy fartuch gumowy na haku, miski i termosy z instrumentami, zakrwawiona gaza, ćwierćlitrowa strzykawka z trzydziesto-centymetrową igłą. Otóż i pokój, myślałem niegdyś, w którym minorowo zapadnie jakaś mordercza decyzja. Lecz sny płatają figle, uwielbiają przekomarzać się z prawdą i ją wykpiwać... Zdradzających pierwsze oznaki życia pacjentów przynoszono kolejno ze sterty ciał w sąsiednim pomieszczeniu i wciskano w fotel w pokoju pierwszym, który wyglądał na to, czym był: laboratorium Instytutu Higieny, świat baniek i butelek. Igłę można było wbić w dwa miejsca, w żyłę lub w serce, przy czym Wujek Pepi zalecał raczej ten drugi sposób jako skuteczniejszy i bardziej humanitarny. Robiliśmy oba rodzaje zastrzyków. Odsercowy: pacjent z oczami zawiązanymi ręcznikiem, prawa dłoń w ustach tłumi jęki, igła delikatnie wpasowana w dramatyczny rowek pod piątym żebrem. Odżylny: pacjent z przedramieniem opartym o stolik, gumowa staza, wypukła żyła, igła, wacik z roztopną kroplą spirytusu. Po zabiegu Wujek Pepi

musiał ich czasem trzeźwić paroma klapsami w twarz. Trupy były różowe, z błękitnymi sińcami. Śmierć była różowa, lecz i żółtawa, w szklanym cylindrze z etykietą *Phenol*. Po całym dniu czegoś takiego wychodzisz w białym kitlu i czarnych wysokich butach, ze znajomą migreną i cylindryczną cygaretką, w gardle wzbiera ci tanina sprzed śniadania, a niebo na wschodzie faluje fenolowo.

Prowadził. Szliśmy za nim. Zabiegi z fenolem stały się zupełną rutyną. Robiliśmy je wszyscy, przez cały czas. Dopiero później zobaczyłem, co potrafi Wujek Pepi - w bloku dziesiątym.

Moja żona Herta po raz pierwszy odwiedziła Auschwitz wiosną 1944, trochę może nie w porę: przerabialiśmy akurat węgierskich Żydów, i to w niewiarygodnym tempie, chyba po dziesięć tysięcy dziennie. Nie w porę, bo praktycznie co noc pełniłem służbę na rampie, ale już bez dotychczasowego zaangażowania, gdyż selekcji dokonywało się teraz przez megafon (byliśmy bowiem straszliwie przeciążeni), niewiele więc miałem do roboty: stałem tylko z kolegami, piłem i pokrzykiwałem, pozbawiając Hertę tej niepodzielnej uwagi, której pragnie każda młoda żona... Moment. Opowiem to inaczej.

Wszystko było dla niej przygotowane. Doktor Wirths, troskliwy jak zawsze, udostępnił aneks swojego domku - urocze mieszkanie (z własną kuchnią i łazienką), z którego przez wzorzyste koronkowe firanki widać było wysoki biały płot. Za płotem kryła się kojąca kakofonia kacetu... Sam doktor Wirths mieszka teraz z żoną i trojgiem dzieci. Miałem nadzieję, że Herta pobawi się czasem z małymi Wirthsami. Choć z drugiej strony mogło jej to przypomnieć drażliwy temat... Siedziałem na kanapie, cicho płacząc; chyba żałowałem, że Auschwitz tak niekorzystnie się prezentuje, w bezwietrznym skwarze, wśród rojów much lądujących

na bagnach. Kiedy usłyszałem, że nadjeżdża sztabowe auto, wyszedłem w jasny brąz ogrodu przed domem. Czego się spodziewałem? Pewnie znanego mi już skrępowania. Wymówek, wyrzutów, smutku - może nawet słabych ciosów zadanych słabymi piąstkami. Wszystko miał przynajmniej częściowo załagodzić w tę pierwszą noc akt miłosny. A już najpóźniej w drugą. Bo to się zwykle tak zaczyna. Natomiast nie spodziewałem się usłyszeć prawdy. Prawda była ostatnią rzeczą, z jaką się liczyłem. Choć powinienem był wiedzieć. Przecież świat tu, w Auschwitzu, nabrał nowego zwyczaju. Nabrał sensu.

Szofer patrzył ze wzruszeniem, jak Herta wysiada z auta i idzie ścieżką. Odwróciła się twarzą do mnie. Wyglądała całkiem inaczej niż na zdjęciu. Twarz dziewczyny ze zdjęcia miała wyraz niezmacony.

- Jesteś mi obcy - powiedziała. *Fremder: obcy.*

- Proszę cię - odparłem. - Proszę. Kochanie. *Eitte. Liehling.*

- Nie znam cię - dodała. *Ich kenne dich nicht.*

Stała z pochyloną głową, kiedy pomagałem jej zdjąć płaszcz. I wtedy coś mnie spowiło, jakby skrojone na moją miarę, niczym garnitur albo mundur, całego razem z ubraniem nakryło mnie coś, podbite żalem.

\*\*\*

Jej nieśmiałość okazała się nieprzezwyciężona. Przy obiedzie, który upłynął nam w ciszy, bez słowa, na talerzach pojawiły się wodniste serdelki. Hercie leciały z rąk ciężkie sztuczce i szwedzkie szkło. Po wyjściu służby usiadła na kanapie i utkwiała wzrok w pięknym dywanie. Przysiadłem się do niej. Nie reagowała na moje lekkomyślne, lecz przy-ciężkie uprzejmości, słowa tak nieporęczne. Ja też nie najlepiej się czułem. Coraz gorzej, w miarę jak mijał

ranek. A potem już całkiem okropnie, po spazmatycznym spacerze do małej, lecz akustycznej łazienki, pełnej śmigających, podpalanych przeciągów. Do łóżka położyłem się bliski rozpacz, nie chciało mi się nawet rozebrać. Kiedy zbudziłem się koło czwartej rano, w butach, Herta leżała obok mnie, w wełnianej koszuli nocnej jak w całunie, i szeptała z pasją: *Nein. Nie. Nie. Nigdy. Nigdy.* Żadne pieszczoty, czułości (ani dobrotliwe kpinki) nie zdołały jej zmiękczyć. Wstałem z łóżka - szlag! - i dźwignąłem się z podłogi. Herta spała twardym snem. Pamiętam, że pomyślałem, jaką białą, zimną i nieruchomą ma twarz, bez najlżejszego powiewu myśli ani czucia, gdy zataczając się ruszyłem w stronę tumultu, który trwał na rampie.

Ludzkie realizowaliśmy przedsięwzięcie, lecz królestwo zwierząt też miało swój udział w nowym porządku istnienia. Muły i woły wywlekały z dołów pełne wozy trupów, tępo, bez zwierzęcych komentarzy. Krowy skubały trawę, nie podnosząc łbów, a ich obojętność zdawała się oznajmiać: *Tak jest dobrze. Nie warto ^wracać uwagi,* jakby wyczarowywanie całych tłumów z nieba nad rzeką było zjawiskiem codziennym. Hodowaliśmy także króliki, pielęgnując je podobnie jak pacjentów, spontanicznie, z błyskotliwą desperacją.

Ludzie oddawali podbicie własnych płaszczy na futerka dla zwierzątek. No i oczywiście były też psy, krępe boksery o płaskich pyskach: ich sierść nosiła wszędobyłski znak zwichrowanego krzyża, na cześć Żydów, których leczyły swymi kłami, szorstkim parskaniem, drzeniem szczęk.

W klubie powiedziano mi (nic chyba nie przekręcam): Żydzi pochodzą od małp (*Menschenaffen*), tak jak Słowianie

1 reszta. Za to Niemcy przetrwali w lodzie od zarania czasu, na

zaginionym kontynencie zwanym Atlantydą. Dobrze wiedzieć. Wydział meteorologii Ahnenerbe zgłębia to zagadnienie. Oficjalnie uczeni ci zajmują się długoterminowymi prognozami pogody; lecz w rzeczywistości szukają argumentów, które raz na zawsze udowodnią słuszność teorii kosmicznego lodu.

Skąd ja to znam. Atlantyda... bliźnięta i karły. Ahnenerbe jest jednym z działów *Schutzstaffel*. *Schutzstaffel*: Ochrona. *Ahnenerbe*: Dziedzictwo Przodków. Właśnie z Ahnenerbe przysyłają Wujkowi Pepi jego czaszki i kości.

Kobiece matactwa to dla mnie oczywiście nie nowina. Byłem jednak zawiedziony, ogromnie zawiedziony, gdy w drugą noc z Hertą nie poszło mi ani trochę lepiej niż w pierwszą. Poszło wręcz identycznie. Czy nigdy nie stopnieją lody - kosmiczne lody naszego małżeństwa? Pomyśl, żeby stopniowo się ze sobą oswajać, początkowo nawet mi się podobał. Ale myślałem, że przecież w trzecią, w ostatnią noc, którą mieliśmy całą dla siebie...

Koszula nocna Herty wygląda dziecinnie. Cała w dżiny i elfy. Zanosilem do nich błagania, do tych elfów i dżinów. W obłądnie, w nocy, w łóżku błagałem - och, te nocne błagania, płakania... Przedtem zdarzały mi się chwile względnego spokoju, więc mogliśmy trochę porozmawiać. Łzawo wspominała *das Baby*; z tym dzieciakiem to chyba rzeczywiście zupełna katastrofa. Odniosłem też nieodparte wrażenie, że Herta nie pochwała mojej tutejszej pracy. Szepcząc z rozdrażnieniem obrzuciła mnie wyzwiskami, których nie zrozumiałem. Jej twarz zbrzydła od nich, nawet po ciemku. Czemu nie potrafię odpowiedzieć?

Nazajutrz znikła, a kolejną noc znów spędziłem na rampie. W roli Amora. I dalej nie wiem, jak wygląda moja żona. Ani razu nie spojrzała mi w oczy. Nie. I wzajemnie. Ale to się jakoś naprawi.



Z czasem Herta do mnie się przekona. Czyżby ktoś jej naopowiadał, co robiłem łysym kurwom?

Na rampie pod reflektorami, pod strzałami deszczu, w wariackim skrzeku megafonów, szczekających *links, rechts*: ojcowie, matki, dzieci, starcy rozproszeni jak liście na wietrze. *Die... die Auseinandergeschrieben*. I nagle błysnęła mi myśl, od której całe moje ciało przeszył dreszcz wstydu. Bo pociągi są piekielne i bez końca, bo wiatr ma smak wiatru śmierci, bo życie jest życiem (a miłość miłością), ale nikt nam nie obiecywał, że będzie lekko.

Pomyślałem: niektórym to się powodzi.

Na wojnie wszystko idzie znakomicie, po wyczynach roku czterdziestego czwartego brzemień pracy wyraźnie zelżało, daje się zauważyć powszechny przypływ pewności siebie i dobrego samopoczucia, więc i lekarz obozowy stwierdza z miłym zdziwieniem, że ma czas oddawać się ulubionym rozrywkom. Sowieckich troglodytów zapędzono z powrotem do ich zamarzniętych jam: lekarz obozowy poprawia monokl i sięga po swój najbardziej zbutwiały podręcznik. Albo po lornetkę i składane krzeselko myśliwskie. Cokolwiek. Zależnie od osobistych upodobań. Zima była mroźna, lecz nadeszła już jesień - ścierniska, ścierwiska... Wdzięczy się rzeka Weichsel. Nigdy przedtem nie widziałem całych wiader wszy. Niektórzy pacjenci wyglądają jak obsypani makiem. Dzień dobry, *Scheissminister!* W jednym z tych swoich kłopotliwych listów Herta posuwa się do tego, żeby zakwestionować legalność naszej tutejszej pracy. Zaraz, niech się zastanowię... Można by pewnie dopatrzeć się paru „szarych stref. Blok jedenasty, Czarna Ściana, metody Sekcji Politycznej: wszystko to budzi zdecydowane kontrowersje. No i oczywiście nie ma końca gadaniu, ilekroć jakiś pacjent „bierze sprawy we własne ręce”,

korzystając na przykład z drutów pod prądem. Nie cierpimy takich przypadków... Co do mnie, to słyne z cichego poświęcenia. Inni lekarze znikają czasem na długie tygodnie; lecz ja, owiany letnim podmuchem kacetu, obchodzę się bez *Sommerfrische*. Uwielbiam dotyk słońca na twarzy, to szczerza prawda. Wujek Pepi przeszedł samego siebie, urządzając nowe laboratorium: marmurowy blat, niklowane krany, porcelanowe zlewy powalane krwią. Prowincjuszka: oto kim jest Herta. Wiesz już oczywiście, że nie goli nóg? To szczerza prawda. O pachach dyskutować można nieskończenie, ale nogi – no, słowo daję! – nogi... W swoim nowym laboratorium Wujek Pepi potrafi sklecić człowieka z najbardziej nieprawdopodobnych detali i szczegółików. Miał na biurku pudełko pełne oczu. Nieraz widywano, jak wymyka się z ciemni, niosąc głowę częściowo zawiniętą w starą gazetę: czyli pewnie to my teraz rządzymy Rzymem. A po chwili, czy ja wiem, piętnastoletni Polak zsuwał się ze stołu, przecierał oczy i spacerkiem wracał do pracy, pod eskortą wyrozumiale uśmiechniętego sanitariusza. Wujek Pepi i ja razem mierzymy bliźnięta, całymi godzinami nic, tylko je mierzymy. Nawet najbardziej zeszkieleciali pacjenci wypinają pierś, poddając się badaniom w ostatnim bloku po prawej: za ledwie przed kwadranssem leżeli plackiem na podłodze *Inhalationsraum*. Byłoby zbrodnią – zbrodnią byłoby zmarnować sposobność, jaką Auschwitz nastęrcza krzewieniu... Widzę go za kierownicą mercedesa-benza, w dniu inauguracji obozu cygańskiego, gdy osobiście przywozi dzieci z „centralnego szpitala”. Obóz cygański, jego różana różnorodność, urodny brud. „Wujek Pepi! Wujek Pepi!” – krzyczały dzieci. Kiedy to było? Kiedy zrobiliśmy obóz cygański? Przed czeskim rodzinnym? Tak. Och, dawno temu. Herta znów przyjechała. Jej drugiej wizyty nie sposób nazwać pełnym sukcesem, chociaż byliśmy ze sobą dużo bliżej niż poprzednio i oboje długo

opłakiwaliśmy dziecko. Co do tak zwanych „eksperymentalnych” operacji Wujka Pepi: kto jak kto, ale on osiągnął pełny sukces, bez mała sto procent powodzenia, a może i równe sto. Gałka oczna w szokującym stanie zapalnym, natychmiast doprowadzona do normy jednym jedynym zastrzykiem. Niezliczone jajniki i jądra wszczepione na miejsce bez śladu szwów. Kobiety wychodziły z jego laboratorium o dwadzieścia lat młodsze. Możemy zrobić nowe dziecko, Herta i ja. Jeśli lałem obfite łyżki przed i po, dawała mi, dawała chociaż spróbować, ale jestem impotentem, nie chodzę już nawet do kurew. Jestem bezsilny. Zupełnie bezradny. Ten tutejszy słodki swąd, słodki swąd, ci olśnieni Żydzi. Wujek Pepi nigdy nie zostawiał blizn. Wiesz, nie samą słodyczą i światłem tu żyjemy - co to, to nie. Wśród pacjentów trafiali się lekarze. I niebawem znów zaczęli swoje stare sztuczki. Odznaczyłem się w kampanii przeciw tej podłości. Dziecko wkrótce się pojawi, jestem ogromnie przejęty. Wujek Pepi ma rację: należy mi się urlop. Lecz moja wizyta w Berlinie z okazji pogrzebu okazuje się litościwie krótka. Pamiętam tylko, jak siąpiło z parkietu ulic, pamiętam oświetlone witryny niczym lampy starego radia, tonący w deszczu cmentarz, młodego duchownego i jego problemy z cerą i wagą, rodziców Herty, jej ohydną minę. Toczy się wojna, klarowałem wszystkim.

Jesteśmy na pierwszej linii frontu. Z czym walczymy? Z fenolem? Po powrocie z Berlina w światło i przestrzeń kacetu cóż zastałem, jeśli nie depeszę. Dziecko bardzo osłabione, lekarze zrobili, co w ich mocy. Trumienka miała jakieś trzydzieści pięć na pięćdziesiąt centymetrów. Walczę na fenolowym froncie i nikt mi nawet nie podziękuje. Cienia wdzięczności. Mam ostatnio kłopoty z oddychaniem - astma stresogenna? - zwłaszcza kiedy krzyczę. A krzyczeć muszę. Doły aż pęcznieją. Ilekroć w łaźni strażnicy dotykają dziewcząt, a ja konsekwentnie zgłaszam sprzeciw, moi

ludzie wykonują gest, jakby grali na niewidzialnych skrzypcach. Myślą, że odkąd zostałem małżonkiem i ojcem, zrobił się ze mnie rzewny świętoszek. Tęsknię za moją małą Evą, no pewnie; lecz obecna sytuacja nie sprzyja wyjazdom. Przestałem chodzić do burdelu, ale teraz wiem chociaż, po co chodziłem: po wdzięczność. Ci lekarze-pacjenci to już naprawdę się rozwydrzyli. Nie wiedzieć czemu ze szczególnym zapałem napastują dzieci: czyn odrażający i jałowy, bo przecież dzieci i tak długo tu nie zabawiają. A ja robię swoje i wcale nie o wdzięczność mi chodzi. Nie. Robię swoje - skoro koniecznie chcesz wiedzieć, czemu - ponieważ kocham ludzkie ciało i wszystko, co żyje. Już nie tylko z fenolem walczymy. Pod tym względem front wojny się poszerzył. Jest to wojna przeciwko śmierci, ostatnimi czasy nader wielopostaciowej. Oprócz fenolu musimy ekstrahować kwas pruski i heksobarbital. Czas ucieka. Straciliśmy dwie łaźnie. Aż w sercu łaskocze, kiedy praca jest na ukończeniu, a tu czekają jeszcze całe sagi dusz, niby samoloty krążące z rozpaczą nad lotniskiem. Rzetelność nakazuje odnotować parę wyjątków: starca, który objął i ucałował moje czarne cholewy; dziewczynkę, która przywarła do mnie tuż po tym, jak ją przytrzymałem na stole Wujka Pepi. Ani razu nie usłyszałem jednak niczego, co można by uznać za trzeźwe i rozsądne podziękowanie. Och, nie narzekam. Ale byłoby miło. Wujek Pepi owszem, dziękował mi, lecz znikł przed kilkoma miesiącami, jestem więc zdany na siebie. Uwielbiałem tego człowieka. Prócz kwasu pruskiego i heksobarbitalu ekstrahuję ostatnio benzen, benzynę, naftę i powietrze. Tak, powietrze! Ludzie chcą żyć. Umierają z ochoty, żeby żyć. Głupie dwadzieścia centymetrów sześciennych powietrza - dwadzieścia centymetrów sześciennych nicości - przesądza o wszystkim. Nikt mi więc nie dziękuje, kiedy sięgam po strzykawkę niewiele mniejszą od puzonu i przygważdżając prawym butem pierś

pacjenta dalej wiodę wojnę z nicością i z powietrzem.

## 6

# Zero razy zero i tak da zero

No i jak to rozgryziesz?

Odpowiedź: nijak. Oczywiście nijak.

A przychodzi chwila, kiedy musisz ogłosić koniec - albo przynajmniej wytyczyć granicę - poświęceń. O, z natury nie jestem męczennikiem, Bóg widzi, że nie. Nie przyszedłem na świat tylko po to, żeby żyć dla innych. Więc choć dalej odrabiałem swoją działkę, czułem, że naprawdę najwyższa pora zatroszczyć się o siebie.

Kacet próbowałem rozgryźć poprzez ożywioną działalność, nieskore obrządki małżeńskie, emocje. To nowe zjawisko w moim życiu, zwane emocjami. Wyjazd z Auschwitzu odczułem jako raptowne wykorzenienie. Nie myślałem, że jeszcze dojdę do siebie po wszystkim, co tam przecierpiałem w ostatnich dniach, a zwłaszcza godzinach. Ale przeszło, minęło szybciej niż malaria, i to już w pierwszych chwilach podróży do Berlina, ustępując miejsca emocjom, natłokowi niezliczonych doznań - których osią był ból. Pewnie własna młodość tak mnie bolała. Mieliśmy rok 1942. Skończyłem dwadzieścia pięć lat... Pociąg do Berlina, wtrącę mimochodem, jechał szybko, pospiesznie. Auschwitz Zentral to nie było bocznicą czy rozjazd. Największa stacja, jaką w życiu widziałem. Całą Europę obsługiwała bezpośrednimi kursami. Jeden z ostatnich transportów wyekspediowaliśmy prosto do

Paryża: Pociąg Specjalny numer 767, do Bourget-Drancy. Auschwitz był sekretem. Zajmował czternaście tysięcy akrów i był niewidzialny. Był, a zarazem go nie było. Był gdzieś poza wszystkim.

I jak to rozgryziesz?

Herta jest nie ta sama. Tak, moja żona pod wszelkimi względami zmieniła się prawie nie do poznania. Jest bądź co bądź w ciąży – obfita, świetlista; a dogadza mi wprost skandalicznie. Nie bardzo wiem, czym zasłużyłem na tak radykalną zmianę statusu. Nasze niemieckie dziecko oszałamia ogromem, większe w każdym razie od swojej nosicielki. Herta to już tylko sznurek wokół paczki ze śpiącym bobasem. Chwilowo mieszkamy z jej rodzicami w ich małym lecz praktycznym domku na południowym przedmieściu Berlina. Wiele czasu pochłaniają nam makabryczne spekulacje co do imienia dziecka. Skłanialiśmy się ku Evie lub Dieterowi; ale zdecydujemy się chyba na Brigitte albo Eduarda. Herta rozważnie acz mozolnie pruje dziecięce ubranka. Ja codziennie spędzam kilka godzin w ogrodowej szopie, w której wespół z teściem rozmontowujemy kołyskę i wysokie krzeselko. Nasz pokój, pokój Herty, też wydaje się w sam raz wyposażony – gotów już na jej własne nieuchronne dzieciennienie. Wróżki z tapety uśmiechają się do małżeńskiego leża – jednoosobowego łóżka wąskiego jak prycza. Jego mleczarny aromat spowija Hertę, jej szokujące nowe piersi, jajowaty brzuch. Dziecko pcha się między nas. Wygodniej jest, kiedy Herta leży na boku, a ja za nią. Jakież to jednak irytujące, że wciąż jestem impotentem. Pewnie wyczerpanie nerwowe; a może i wyrzuty sumienia na myśl (wywołaną wzajemnym ułożeniem naszych ciał) o wdzięczności, której kosztowałem w obozie. Chociaż Herta ma włosy: mnóstwo włosów. Rozmawiała zresztą – niestety – ze swoim lekarzem, a on twierdzi, że to zwykła męska reakcja na ciążę. No właśnie, na ciążę – albo na moją pracę.

Bo też jej nie zaniechałem. Wiesz, jak to bywa. Mówisz sobie: Dość nadgorliwości, dość tego pracusiowania! A potem znów ładujesz w terenie i robisz, ile zdołasz. Po dwutygodniowym urlopie

zakończyłem pięciomiesięczną służbę w jednostce Waffen SS, podążającej, że się tak nawigacyjnie wyrażę, z wiatrem naszych wojsk podczas ich odwrotu ze Związku Sowieckiego. Pocieszam się, że sporo zdziałaliśmy, chociaż w porównaniu z kacetem była to skromna robótka. I toporna. A z estetycznego punktu widzenia oczywiście katastrofalna. Emocje trzepoczą wokół mnie. Świat wciąż ma sens, lecz emocja zanadto nie interesuje się sensem, bardziej ciekawi ją czucie... Moją twarz z tamtego okresu najlepiej opisać jako studium napięcia. Tak mniej więcej wyglądała, kiedy leżałem w ciemności, wciśnięty między odmienioną Hertę a zimną ścianę, ufny w erotyczne fiasko. No i wreszcie staje się - nie staje - co ma się stać, a ty zapalasz światło i ze smutkiem się ubierasz. Ten smutek jest twój własny, tylko twój; pasuje jak ulał. A jeszcze chwilami to spojrzenie Herty, spojrzenie jej matki, a nawet i ojca, które jest twarde i daje odpór, które jest po mojej stronie (lecz ja go nie chcę): mówi, że w moich dłoniach mieszka mordercza i melancholijna moc. Jestem wszechwładny. I bezwładny. Wszechpotężny impotent.

Było to lato piorunów, słońca i podwójnych tęczy. Zdarzały się epifanie. Spotkałem wreszcie bombowe bobo, spełniając tym samym ironiczną przepowiednię swych snów. I na własne oczy ujrzałem zatrzymany zegar w Treblince...

Działalność naszej jednostki można pewnie uznać za naturalną kontynuację mojej pracy w lagrze. Funkcjonowaliśmy na styku biurokracji i informacji. Akurat dokonywała się dekoncentracja Żydów, których wprowadzano z powrotem w krwiobieg społeczeństwa, nas zaś skierowano do pomocy w rozbiórce, w deglomeracji gett, bo wciąż nawalało w nich światło, dzieci wydawały się takie stare, przytłoczone wiedzą, a wszyscy poruszali się dużo za wolno albo dużo za szybko. Widać było, że getta nawet



jako prowizorka nie zdają egzaminu, budziła się więc obawa, przelotna lecz mdląca, że cały zamysł, całe marzenie od początku jest zgubnie przeszarżowane: zbyt wielu, zbyt wielu. Jakże pragnęło się obalić mury gett. Ale była to przecież nasza misja: uzdrowić Niemcy. Uleczyć ich rany, uzdrowić organizm... Jedno getto, w Litzmannstadt, miało swojego „króla”: Chaima Rum-kowskiego. Sam widziałem, jak paradował po osłupiałych ulicach, z orszakiem dworzan, w powozie, który popychał siwy koń podobny do papierowego worka z wodą i kośćmi. Rumkowski był władcą. Ale czym władał?

Zakasaliśmy więc rękawy i zaczęli ich rozwozić po rodzinnych wioskach i tak dalej. Była to czysta logistyka, lecz miała też aspekt twórczy. Używaliśmy furgonetek, furgonetek ze znakiem Czerwonego Krzyża; karabinów maszynowych i dynamitu. Wykazałem się niejakim talentem w dziedzinie neuropsychiatrii. Ludzie, którym udzielałem porad (i przepisywałem środki uspokajające), początkowo uskarżali się na koszmary nocne, lęki i niestrawność - lecz przed końcem służby wszyscy wyzdrowieli. Czasem musieliśmy uciekać się do żenująco nieeleganckich metod, a użycie dynamitu za każdym razem wymagało wielogodzinnych, katorżniczych przygotowań.

W pewien ranek, gdy grad z deszczem ciął z ukosa i marzły kałuże, urządzaliśmy kilka żydowskich rodzin w jakimś graj dole nad Bugiem. Kolejność była ta sama co zawsze: wygarnęliśmy całą partię ze zbiorowego grobu w lesie i stanęli koło furgonetki na bocznej drodze, czekając, aż tlenek węgla zrobi swoje. Wszyscy moi ludzie przebrani byli za lekarzy: w białych kitlach, z dyndającymi stetoskopami, wśród rozmów, śmiechu i dymu z papierosów czekali, aż w furgonetce wybuchnie znajoma wrzawa, krzyki i łomotanie pięściami. Ja sam bawiłem się cywilizowaną cygaretką...

Zawieźliśmy ich bliżej miasteczka, w miejsce, gdzie nasz człowiek przygotowywał już stosy ubrań. Wysiedli gęsiego. Była wśród nich matka z niemowlęciem, na razie oboje oczywiście nadzy. Dziecko płakało w wytrwałym, muskularnym rytmie długodystansowca: pewnie bolało je ucho. Matkę krzyki te wyraźnie doprowadzały do rozpaczki. Szła jak ogłuszona, ze zmartwiałą twarzą. Pomyślałem, że może nie całkiem otrzeźwiała po dawce tlenu węgla. Byłem szczerze zatroskany.

Odstawiliśmy tych mniej więcej trzydzieści dusz do niskiego baraku zawałonego prymitywnymi maszynami do szycia, wrzecionami, belami tkanin. W normalnej sytuacji należałoby teraz wszystkich zapłoszyć do ich piwnic i wygódek. Lecz ci Żydzi pod wodzą zapłakanego dziecka uroczyście przemaszerowali między kilkoma kotarami i kocami zwisającymi z sufitu, aby kolejno cofnąć się w otwór w ścianie, pozostały po brakującej desce. Własnoręcznie wstawiłem ją na miejsce, mówiąc półgłosem: *Guten Tag*. Sam nie wiem: byłem wzruszony ich niezmaconym milczeniem, stłumionym szlochem dziecka. *Raus! Raus!* - krzyknąłem: na własnych ludzi, którzy zaczęli już swawolić, penetrując barak, kładąc tu i ówdzie rozmaite błyskotki, błahostki, łakocie, kromkę chleba, parę pomidorów - tradycyjnie, dla Żydów na potem. *Raus! Raus! Raus!* Zostałem jednak sam w baraku, w zupełnej ciszy, przyczajony pod ścianą, i słuchałem. Czego? Płaczu niemowlęcia, no i tego dźwięku, który pewnie wydaje cała planeta, kiedy chce ukoić: „Szszz... Szszz...” Cicho, sza. Odszedłem na palcach i dołączyłem do swoich ludzi. Bez hałasu. Najlepiej niech sami sobie poradzą. Szszz. Może tak właśnie koją płacz swoich dzieci. Trzydzieści dusz w czarnej dziurze mówi: Szszz... Widać bardzo kochali to dziecko. Lecz mocy oczywiście nie miało żadnej.

No i wreszcie Treblinka, w której złożyliśmy krótką wizytę

kurtuazyjną, wracając przez północną Polskę do domu, do Rzeszy. Ten obóz także na wpuł już rozebrano, gdyż spełnił swoje zadanie. Podobnie jak w Auschwitzu, żaden pomnik nie miał zaznaczyć opustoszałego miejsca. Lecz nie spóźniłem się. Zdążyłem jeszcze zobaczyć słynny „dworzec”, a raczej makietę, fasadę. Oglądana z boku, strzelała ku zimowemu niebu jak szyna ortopedyczna. Oczywiście po to, żeby uspokoić Żydów - z Warszawy, Radomia i Białostoczczyzny - których obóz już obsłużył. Widać było szyldy: RESTAURACJA, KASA, TELEFON i tym podobne, tablicę z informacjami o przesiadkach dla pasażerów wybierających się w dalszą podróż, no i zegar. Żaden dworzec, żadna podróż nie może się obejść bez zegara. Kiedy go mijaliśmy w drodze na inspekcję żwirowni, duża wskazówka celowała w dwunastą, a mała w czwartą. Błąd! Pomyłka, gruba nieścisłość: była dokładnie trzynasta dwadzieścia siedem. Lecz potem znów minęliśmy zegar i zobaczyliśmy, że wskazówki się nie cofnęły. Bo i jak? Były przecież namalowane, nie mogły więc wskazać wcześniejszej pory. Pod zegarem napis drukowanymi literami na ogromnej strzale obwieszczał: PRZESIADKA DO POCIĄGÓW NA WSCHÓD. Ale czas nie miał strzały, nie w Treblince.

Doprawdy intrygująco rozmieszczone były na tej stacji cztery wymiary. Przestrzeń bez głębi. I bez czasu.

Herta nadal obchodzi się z moją impotencją bardzo delikatnie, a przynajmniej bardzo milcząco. Nie liczyłem, że natychmiast po powrocie z frontu wschodniego dojdę do szczytowej formy. Ale to już zakrawa na śmieszność. Widocznie praca wysysa ze mnie samą esencję, aż nic nie zostaje. Nic dla Herty. W tym sensie poświęcam pewnie, co mam najcenniejszego. Ilekroć na Wschodzie przychodzili do mnie na badania młodzi szeregowcy, właśnie impotencję

wymieniali jako główny problem. Miałem proste zadanie: radziłem, żeby się nie martwili. Śmiechu warte, bo przecież sam byłem ledwie żywy ze zmartwienia. To znaczy ledwie żywa była ta część mnie, która jeszcze nie zmartwiała - od impotencji. Tak, zabawna sytuacja: mówię im, że muszą być twardzi (*harte*), muszą być mężczyznami (*Menscheri*). A tymczasem siedzimy twarzą w twarz, dwa rozmiękłe zera. Zero (a zresztą cokolwiek) razy zero i tak da zero. Podliczyłem też różne inne słupki, dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że coś jednak musi się stać, zanim znów mnie odkomenderują - no bo skąd by się wzięło bobo. Nasze bobo też jest bombą: zegarową. A jeśli sam go nie zrobię... Hercie spłaszzył się brzuch. Nie muszę już kulić się i flaczeć za jej plecami. Nareszcie mogę kulić się i flaczeć na jej brzuchu. Z ostentacyjną dyskrecją. Już o tym nie rozmawiamy, dzięki Bogu. Ale trudno, żeby nie zauważyła.

Akt miłosny w końcu się odbył - tylko raz, a i to z trudem - tuż zanim dostałem przydział do Schloss Hartheimu koło Linzu, w prowincji Austrii. Jakbym puszczał ostatnią parę: w oku burzy łez, którą cały dom musiał ze zgrozą usłyszeć. Płakałem jeszcze, wciągając buty i sięgając po chlebak; już tylko parę rozpaczliwych uścisków i wypadłem między gwiazdy i śnieg - śnieżne konstelacje, gwiazdną zamieć.

Otoczony szlachetnym parkiem, pełen łuków i dziedzińców Schloss Hartheim - o godzinę drogi od Linzu, w stronę Everding - wydawał się stworzony, żebym w nim do reszty wydobrzał. W tym renesansowym zamku do niedawna mieścił się sierociniec. Siadałeś na ławce w oszronionych ogrodach, gdzie trawa wyglądała jak zjeżone siwe włosy, i z roztargnionym drzeniem nieomal słyszałeś widmowe echa dziecięcych okrzyków i zawołań - bo przecież tu

właśnie bawiły się w grupkach. Za plecami miałeś wysokie okna, po pięć na każdym piętrze, przez których szyby przebłyskiwały wnętrza w monotonnym kolorze wodnistej sosy. Wiadro, szczotka; pielęgniarz w białym kitlu; nieczytelne spojrzenie pacjenta. I znów ten zapach. Słodki swąd... Schyliłam się i podnoszę martwego ptaka, a jego skrzydła obwisają rozłożyste jak wachlarz, jak berlińskie ulice pod siatką maskującą. Właśnie w Berlinie czeka Herta.

Schloss Hartheim był dla mnie swego rodzaju służą, kolejnym etapem miękkiego lądowania po przeżyciach w kacecie. Obok oczywistych różnic skali istniały też między tymi dwiema instytucjami wyraźne analogie. Ten sam duch koleżeństwa nacechowany masońską małomównością i instynktowną dyskrecją, to samo braterstwo twardych ludzi, to samo podpieranie się alkoholem. W hierarchii służbowej zajmuję stanowisko między dwoma ordynatorami wojskowymi a personelem pomocniczym, złożonym z siedmiu pielęgniarzy i siedmiu pielęgniarek. Nie jest to dom dla rekonwalescentów: pacjenci nigdy nie zostają na noc. Oto nadjeżdża autokar z przyciemnionymi szybami. Wdziera się do ogrodów legendarnego zamczyska, w zimny i znużony czar Schloss Hartheimu.

Cały proces przebiegał następująco. Najpierw zjawiała się przepisowa urna z prochami, którą przysyłała bezpośrednią pocztą rodzina pacjenta, powiadamiając zarazem ściśle z nami współpracujący berliński Wydział Listów Kondolencyjnych. Prochy otrzymywaliśmy w małych porcyjkach zaopatrzonych w świadectwa zgonu poszczególnych osobników; lecz prochy są tylko prochami i zawsze wyglądają tak samo, więc wszystkie porcje trafiały do zamkowego paleniska. Czy coś zostało źle pomyślane? Na czym polegał błąd? Czyżby piece nie działały jak -należy? A może Komora

szwankowała? Bo ludzie, których tworzyliśmy, tym razem byli do niczego. Cała magia i delirium, bezsenność i biegunka Auschwitzu – wszystko zawodziło. Tak jest: w salach szpitalnych, w gabinetach, w cichych ogrodach Schloss Hartheimu czuło się brzemie poronionych czarów. Pierwszym pacjentom nic straszego nie dolegało. Najwyżej drobny defekt. Szpotawa stopa. Zajęcza warga. Lecz późniejsi są po prostu do luftu. Staram się na nich nie patrzeć, kiedy prowadzę ich z Komory, ubranych w papierowe koszule; przez cały czas wyobrażam sobie własne wnętrzości, w których jakaś gęsta masa ludzkiej roboty, coś jakby ołowiana rura uwięziona, stawia opór. Tu delikatne wahanie ślepcy. Tam zwichrowana, ściągnięta w bok mięśniami pochyłym twarz głuchego. Ta siwowłosa pani wygląda całkiem miło, ale wszystko z nią jest nie tak. Obłąkany chłopak z wrzaskiem ściga sanitariuszy po wilgotnych korytarzach. Obłąkana dziewczyna kuca w kącie i zadziera sukienkę, a z jej ust wydobywa się ta niewybaczalna substancja. Istnieje coś takiego, mawiamy, jak życie niegodne życia, akurat na tym to ja się nie znam, ale rzeczywiście jakoś nikt ich nie chce, nawet my, więc jeszcze tego samego dnia wyjeżdżają dokądś autokarem z przyciemnionymi szybami.

Herta odwiedza mnie najczęściej, jak się da, czyli niezbyt często, bo przecież trwa wojna. Mieszkamy wtedy w Gasthaus Drei Kronen przy Landstrasse koło Linzu, a ja znowu jestem impotentem. Pewnego razu spędziliśmy romantyczny weekend w wiedeńskim hotelu Gretchen i też byłem impotentem. Na miejscu w wiosce jest mały aneks dla oficerów, żebym miał gdzie być impotentem, i właśnie z tego higienicznego mieszkania korzystamy z rosnącą częstotliwością.

W miarę upływu czasu Herta wydaje się coraz bardziej zirytowana – moją impotencją. Twierdzi, że się zmieniłem, ale moim

zdaniem nie ma racji. Jestem impotentem, odkąd pamiętam. Beszta mnie też za to, co robię w Schloss Hartheimie. Po wsi krążą pogłoski, plotki - latrynowa gadka. Wszystko się Hercie pomieszało, lecz pokpiwam z niej mniej wyniośle, niżbym miał prawo. W kawiarni siedzimy naprzeciw siebie, trzymając się za ręce oparte o blat. Rozstajemy się. Potem o zmierzchu podniecam żar cnotliwej cygaretki, wracając pieszo na wzgórze, do Schloss Hartheimu. Ponad jego łukami i szczytami wieczorne niebo wypełniają nasze pomyłki, które lepiej przemilczeć, chmury z wodogłowiem, nieprawidłowo sklepienie podniebienie zachodu, węgle z naszych ognisk. Widzę, jak śnieżnobiały pukiel ludzkich włosów szybuje wzwyż i wtapia się w bardziej eliptyczny, elementarny rytm średnich warstw powietrza. Dziś wieczór w podziemiach zamku odbędzie się zabawa z okazji przybycia pięcioletniego pacjenta (choć jestem pewien, że mieliśmy ich już dużo, dużo więcej), a Manfred zagra na akordeonie: będą pieśni, toasty, różowe kapelusze karnawałowe. Christian Wirth, nasz objazdowy dyrektor, też się zjawi: jego brzuch, barwny język, rozsadzona twarz bibosza. Pięcioletnik także będzie wśród nas, w papierowej czapce (i koszuli), urzeczowiony w pół drogi między ogniem a gazem, w oczekiwaniu na swoją turę pokraczności, halucynacji i nieustannego świądu... On idzie dalej, sam jeden, Odilo Unverdorben.

Całkiem sam.

Ja, który nie mam imienia ni ciała, wymknąłem się spod niego i rozproszyłem w górze jak płatki popielatych ludzkich włosów. Dłużej już nie wytrzymam z tym zdruzgotanym bogiem, zdradzonym i pokonanym przez własne czary. Przywołując moce, których lepiej nie wzywać, rozbierał ludzi na części - i scalał z powrotem. Nawet

mu to jakoś szło - do czasu (było w tym pewne zadośćuczynienie); a póki mu szło, on i ja byliśmy jednym - nad rzeką Weichsel. Nas też z powrotem scalił. Lecz z ludźmi oczywiście nie wolno robić takich rzeczy... Już po zabawie. Leży w sypialni na poddaszu, w obłazącej z farby piramidzie, na pryczy wklęsłej jak rynsztok. W zaciśniętych pięściach wilgotna różowa poduszka. Ja zawsze tu będę. Lecz on jest odtąd sam.



## 7

# Kocha, nie kocha

Świat znowu stracił sens, Odilo znowu wszystko zapomina (może to zresztą i lepiej), wojna się skończyła (wydaje się dość oczywiste, żeśmy ją przegrali), życie jeszcze przez chwilę się toczy. Odilo jest niewinny. Sny ma niewinne, odczynione z groźby i wszystkiego, co chore. Ależ tak, drży na oślizgłych słupach sięgających księżyca, pędzi nago tunelami przy dźwiękach budzików itd. – lecz nie budzi to żadnych niepokojących ech. Syci się natomiast przez sen wieloma wulgarnymi triumfami dzięki kufrom pełnym skarbów, puklom włosów i śpiącym królewnom. Oraz muszłom klozetowym. Duchem opiekuńczym tych snów nie jest już mężczyzna w białym kitlu i czarnych butach z cholewami, lecz kobieta, kształtami i rozmiarami zbliżona do żagla galeonu, kobieta, która wszystko Odilowi wybaczy. Czuję, że to jego matka, i nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie się pojawi. Odilo jest niewinny. Odilo jest, jak się okazuje, niewinny, uczuciowy, powszechnie lubiany i głupi.

I w pełni sił męskich. Władzy, rzecz jasna, nie ma żadnej, a służbę w Rezerwowym Korpusie Medycznym pełni jak jagnię, nienagannie. Lecz potencja – bez zarzutu. Spytaj Hertę, niech potulnie zaświadczy. Ta mała już ledwo chodzi. Narodowy socjalizm to po prostu biologia stosowana. Odilo jest lekarzem: żołnierzem biologii. Czyli ta dwuletnia orgia, którą właśnie odstawiamy, to widocznie etap jego prywatnej kampanii. Odilo pełni służbę czynną; wacha proch; daje z siebie wszystko – dla dziecka. Tak, nadal chcą je mieć, chociaż Eva sprawiła im taki zawód. Kiedy Odilo rozkłada

Hertę na łóżku, rozkraczoną i zgiętą w pół, z kostkami nóg po bokach wezglowia, wygląda to raczej, jakby próbował zniszczyć życie, niż je stworzyć. Lecz wszyscy już wiemy, że przemoc stwarza – przynajmniej tu, na Ziemi. Nigdy jeszcze potencja tak nam nie dopisywała, nawet w Nowym Jorku, kiedy nie mogliśmy się opędzić od pielęgniarek. Herta robi czasem minę, jakby marzyło jej się krótkie interludium impotencji. A tu żadnych interludiów. Skąd ta zmiana, ciekaw jestem? Po służbie w Schloss Hartheimie – która wlokła się jak wieczność – wszyscy troje wyprowadziliśmy się z domu teściów i mieszkamy teraz w Monachium, owiewani alpejskim powietrzem. Z dala od dziecinnego pokoju Herty, z dala od obrazków z aniołami, które dawniej nad nami czuwały. W nowym mieszkaniu czuwa nad nami szkielet z białego drewna oraz rysunki anatomiczne, krzyczące imbirowym mięsem.

Niemieckie dziewczę to dziecko natury. Jest, jakie jest. Bez makijażu, z owłosionymi nogami. Odilowi to nie przeszkadza. Na odwrót: zabrania używać kosmetyków, nawet mydła; a co do włosów i meszku, iskrzącego puchu pach, loków na górze i wiechy na dole, to podejrzewam, że Herta mogłaby być kosmata jak himalajski jak, a Odilowi i tak by smakowało. Nazywa ją swoją *Schimpanse*: szympansicą. Przyznam, że ja też za nią szaleję. Ciało Herty szemrze młodością. Jej uszy to ciasteczka, zęby – istne cukierki. Skóra jędrna niby miąższ oliwki. Z początku nie była taka skora, ciągle narzekała, że jest zmęczona albo że ją piecze, wciąż miała jakieś opory; lecz ostatnio (Odilo raz po raz o tym mówi wszystkim kolegom, a komplement ten wydaje mi się należycie wzniosły) łomocze się jak drzwi sracza w czasie burzy. Jest taka mała, że pewną surowość wobec niej uważam za coś całkiem naturalnego. Skończyła osiemnaście lat. I ciągle maleje. Nie wolno ulegać pesymizmowi, a zresztą nie ma sensu zbytnio wybiegać

w przyszłość, ale za dwa lata prokurator położy na niej łapę.

Bardzo to wszystko urocze. Im bliżej wesela, tym wyraźniej Odilo delikatnieje. Nie miewa już napadów furii. Nie każe już swojej szympannicy krzątać się po domu nago, a w dodatku na czworakach. Herta odwdzięcza mu się bezgraniczną tkliwością, jak nigdy dotąd... Erotyczny zachłyst okazuje się stanem poniekąd gadzim. Umysł wyższy, dusza, księżęta jaźni schodzą ze sceny. Podobnie - a nawet jeszcze bardziej - umysł gadzi. Niech no pomyślę. Ilekroć umysły ludzkie dogadują się z gadzimi, chcą z bezpiecznego dystansu wyrządzać zło. Lecz gdy na placu zostają tylko ich ciała, najwidoczniej pragną czynić dobro, i to w zwarciu, ryzykując własnym ja. Sam nie wiem. Jeszcze z nimi jestem, w łóżku, i dobrze mi; lecz prawdziwie lepka ekstaza jest udziałem Odila, lśniącego jaszczura, i Herty, lśniącej jaszczurki, mieszkańców soczystego szlamu, w którym słowa są zbędne, bo tylko się chrząka i mruczy... Ich życie erotyczne stopniowo oczyszcza się z wszelkich nieprawidłowości. Dawniej na przykład odgrywali te scenki (średnio dwa razy na tydzień, albo i częściej, jeśli Odilo twardo stawiał sprawę), podczas których Herta musiała leżeć, nie dając znaku życia, od początku do końca. Darzył też zdrowym zainteresowaniem jej wypróżnienia, jak to w małżeństwie. Ale ma już ten etap za sobą. Kiedy żona płacze i dąsa się, Odilo osusza łzy pocałunkami, a nie ciosem pięści w pierś. Teraz zresztą już prawie nie zdarza jej się płakać: do wesela raptem parę tygodni. Coraz rzadziej, choć i tak dosyć często (powiedzmy, mniej więcej co noc), Odilo zrywa gadzi pakt i z entuzjazmem szuka towarzystwa przyjaciół: ich mocy, którą daje piżmowa woń ciżby, juchtowego, stajennego gorąca. Krzyczymy i ślinimy się z niemowlęcym grymasem; w pojedynkę każdy z nas jest słabym tchórzem, lecz razem tworzymy pałającą masę. Nocne zabawy często zaczynamy od wyjścia w miasto, Żydom

na pomoc. Odilo, Herta i ja formalnie mamy teraz miodowy miesiąc, ale nigdzie nie wyjeżdżamy. Tylko z powrotem do Berlina, na ślub.

Mój własny stosunek do Żydów zawsze był jednoznaczny. Lubię ich. Jestem, rzekłbym, urodzonym filosemitą. Najbardziej mnie zachwycają ich oczy. Te szkliste, gorące spojrzenia. Egzotyka sugerująca transcendencję - może, kto wie? Lecz po co w ogóle roztrząsać ich zalety? Jestem bezdziejny; Żydzi są moimi jedynymi dziećmi, które kocham tak, jak kochać winien rodzic, czyli nie dla ich zalet (choć oczywiście wydają mi się nadzwyczajne), pragnąc tylko, żeby istnieli, żeby kwitli, żeby mieli prawo do życia i miłości.

Pamiętam imiona i twarze, imiona wykrzykiwane o świącie podczas zgromadzeń na rynkach miasteczek, nad pustymi dołami po węglu i rowami przeciwczołgowymi lub w świetle ognisk, które rozpalali policjanci, albo w strefach przejściowych, na dworcach, nocami wśród zielonych pól. Imiona z wydrukowanych list, kontyngentów, wykazów. Lonka i Mania, Żonka i Netka, Liebish, Fajgele, Ajcyk, Jaakow, Motl i Matla, i Cypora, i Margalit. Pamiętam ich z Auschwitz-Birkenau-Monowitz, z Ravensbriick, z Mauthausen, z Natzweiler i z Terezina, z Buchenwaldu, z Belsen, z Majdanka, z Bełżca, z Chełmna, z Treblinki, z Sobiboru.

Chory uśmieszek, z którym Odilo obnosił się przez cały swój dzień weselny, z perspektywy czasu wydaje się aż nazbyt stosowny. Bez przerwy widziałem jego wyszczerzone zęby, radochę ostrożnego ćwoka odbitą w mnóstwie lusterek okalających koronę (tradycyjną: od uroku i tak dalej) na głowie Herty. Tak, ten uśmiech był odpowiednim komentarzem do sytuacji; także i bolesne detonacje, kiedy tłum nowych kolegów walił go po plecach. Bo i jaką tu mieć minę, gdy podczas jednej jedynej uroczystości żegnasz się z własnym życiem - ciskasz je na wiatr wraz

z rozrzutnym tumanem konfetti i ryżu? Dała mi mirtowy wieniec, szafran i cynamon, chleb, masło i resztę. A ja dałem jej całą swoją moc. Przełożyliśmy obrączki z serdecznych palców lewych dłoni na serdeczne palce dłoni prawych. Księżyc podobno sprzyjał zaślubinom: akurat go przybywało. Lecz ja widziałem, że go właśnie ubywa. Stąd to nieznośne walenie po plecach i po ramionach. Stąd uśmiech koprofaga. Stąd triumfalny rechot Herty.

Ta z radością wprowadza się z powrotem do rodzicielskiego domu i kładzie wśród złotych skrzydłych aniołów. A Odilo? Gdzie są, na miłość boską, nasi rodzice? Nagle ląduję w czteropiętrowym internacie cuchnącym kapustą i kapciami, mam na poddaszu wspólny pokój z Rolfem, Reinhardem, Riidigerem oraz Rudolfem i przeżywam koszmar, autentyczny *Alpdruck* pełen pojedynków na ręczniki, podręczników tudzież kawałów o wzdychaniu i zdychaniu. Tak jest: jestem w szkole medycznej. I w Nowych Niemczech, nerwowy i płochliwy jak wszyscy wokół mnie. Nawet na ulicach panuje klimat bursy: ta sama presja rówieśników i nieobliczalnie natarczywa kontrola, nastoletnia, niemiała, z seksualnym podtekstem, ale ukrytym i niedoważonym, cała w komicznych pozach, z których wara się śmiać. Kto próbuje, tego wszyscy zaraz chcą zabić. Na szczęście jestem niezabijalny. Niezabijalny, lecz nie nieśmiertelny. Co z naszą męskością?

I tak nie jest najgorzej, bo jeszcze widzimy Hertę, codziennie w szkole: to sekretarka dyrektora, ta w wąskiej spódnicy. Często dopadam ją na dziesięć minut w korytarzu, w stołówce siadam blisko jej stolika, a czasem idziemy na schody i się całujemy - oddychamy z ust do ust. Poza tym tylko ławki w parkach i ciemne sienie. Myszka Miki chichocze, a Greta Garbo odwraca zbolale spojrzenie od naszej konwulsyjnej udręki na krótkim futerku kinowych foteli. Przywieramy do siebie w zaciszu tłumów pod

latarniami i pochodniami. Podczas dziesięciminutowych interludiów w pokoju od ulicy, gdy jej rodzice ustawiają brudne talerze, szykując stół do kolacji, też sporo mi się udało... Podobnie na wiosennych i letnich piknikach. Wśród ostróżek, lwich paszcz, prawoślazów i pachnącego groszku, na kocu, obok koszyka, Herta zaszczyca mnie czasem nostalgiczną pieśczęcią - a Odilo zawsze potem godzinami płakawie się naprasza. Gdzie niegdyś władaliśmy, dziś służymy. Najlepiej skutkuje argument, że tłumienie żądz szkodzi jego zdrowiu. Drugi chwyt, też zwykle skuteczny, to wyliczanie nazw kwiatów - po angielsku. W lesie Herta się ośmiela. Niemieckie dziewczę to dziecko natury. Odilo jest histerycznie wdzięczny za każdy puszczański cmok, niuch, łaps czy haust, który mu się trafia. Lecz ja nie jestem wdzięczny. On zapomina. Ja pamiętam. To męczeńskie macanie. Erotyczny rewanżizm rani mnie do żywego. A w dodatku wiem coś, czego Odilo jakby nie był w stanie przyjąć do wiadomości: nic dwa razy się nie zdarza. Przyszłość zawsze się ziszcza. Smutno zbieramy niezapominajki. Kocha, nie ko... Już ledwo śmiemy na nią spojrzeć, na tę maleńką maszynistkę, tak wielka jest jej moc. *ja* - mówią widma malowanych liter na drzewach w alejach. *Nein* - odpowiada Herta, biorąc mnie za rękę i wkładając ją na krótką lecz gniewną chwilę sobie między uda. A potem, późnym popołudniem, znowu do szkoły: żyłują z niego - niestety, na raty - *zygomę, xanthelasmę, volvulus*, cały ten szkaradny szajs. Ale większość wykładów nie dotyczy, o dziwo, ludzkiego ciała jako maszyny: dotyczą zarządzania szpitalem. Niekiedy późną nocą Odilo i ja wykradamy się samotnie na dach internatu; Niemcy śnią swoje sny, a my delektujemy się czujną (i z lekka cyklofreniczną) cygaretką, patrząc w gwiazdy, które chyba koją nasz wzrok.

Drugim źródłem radości i pociechy było - przynajmniej dla mnie

- obserwowanie Żydów. Ludzi, których pomogłem zejść z nieba na ziemię. Byłem pod wrażeniem ogromu roli, jaka najwyraźniej im przypadła. Wszystko musiało się udać. Zrazu roztropnie ostrożne - pewnie onieśmiewione samą ich liczbą (nadciągali bowiem zewsząd, z Kanady, z Palestyny) - społeczeństwo niemieckie przykładowo rozwarło szeregi, robiąc miejsce nowo przybyłym. W obliczu ich błyskawicznej asymilacji i nieprzerwanego pasma sukcesów padło nieco ostrych słów. Żydzi zajmowali same najtłuściejsze posady, zwłaszcza w branży medycznej, ku oburzeniu Odila i jego przyjaciół; szczerze mówiąc, ja także byłem zaniepokojony. Nie po to tyle się natrudziłem, żeby moi synowie zostali lekarzami. Ale co, u diabła. Ktoś przecież musi; jest widać powód. Choć przybywało mi trosk i coraz bardziej dokuczała samotność, uchYLENIE KAŻDEJ KOLEJNEJ ustawy rasowej dodawało otuchy. Nawet tu przejawiała się jednak sadystyczna ironia losu, bo tym postępowaniem zawsze towarzyszył jakiś nowy zakaz Herty. Śmieszna sprawa, trudno zaprzeczyć. Żydzi krok za krokiem, mrugając oczami, wychodzą na słońce. Ja zaś ulegam stopniowej deklasacji: wyszydzany, wyzuty z miłosnych przywilejów. Na przykład.

Niewidomi i głusi Żydzi mogą teraz nosić opaski, które dla użytkowników jezdni są sygnałem inwalidztwa. Tracę dolną połowę ciała, zewnętrzne serce - z punktu widzenia Herty. Od pasa w dół raz na zawsze przestaję istnieć.

Żydom wolno mieć zwierzęta; w komisariatach policji rozdaje im się papużki, szczeniaki itp.; Żydzi płaczą z wdzięczności, zabierając do domu nowych towarzyszy zabaw. Herta zaczyna inaczej oddychać, kiedy się całujemy; zawsze opanowana, chłodno śledzi każdy mój ruch.

Żydzi mają prawo kupować mięso, sery i jajka. Koniec z wszelkimi swobodami podczas pikników, chociaż narzekam na

zdrowie i po angielsku nazywam kwiaty, aż braknie mi tchu.

Żydom zezwala się utrzymywać przyjazne stosunki z Aryjczykami. Herta już nie mówi „kocham cię”. Ja dalej to mówię. Pocałunków nie całkiem zaniechano, ale języki kategorycznie *verboten*.

Zniesiono godzinę policyjną dla Żydów. Zaczynała się o dziewiątej wieczór latem i o ósmej zimą. Herta musi być w domu o ósmej trzydzieści, bez względu na porę roku.

Żydzi nie muszą już deklarować się jako niewierzący. Przyznam jednak, że sam straciłem wiarę.

Kocha, nie kocha. Po staremu tłukę się dwie godziny autobusem i tramwajem, żeby po staremu cmoknęła mnie w policzek. Niedługo jej szesnaste urodziny. A potem? Będziemy przynajmniej trzymali się za ręce? Chwilami łapię się na tym, że jak szalony podjudzam Odila do gwałtu (szybko, nim stuknie jej piętnastka): do przemocy, która naprawia i uzdrawia. Choć tak naprawdę nie pałam do tego pomysłu wielkim entuzjazmem. Myślisz, że mógłby? Byłby zdolny? Stwierdzam, że Odilo Unverdorben jako istota moralna jest absolutnie przeciętny i może zrobić wszystko, co zrobią inni, popełnić każdy czyn dobry lub zły, bez ograniczeń, byle krył go tłum. Nigdy nie mógłby być wyjątkiem; szuka oparcia w zdrowym społeczeństwie, potrzebuje piaskowych uśmiechów Rolfa i Rudolfa, Riidigera, Reinharda. Nadeszła *Krystallnacht* i wszyscy razem hulaliśmy, zbytkowali i pomagali Żydom, aż odłamki szkła musowały w powietrzu jak gwiazdy albo dusze, a Herta schyliła się, żeby otrzeć usta różową chusteczką – zanim wypluła mój język. Czy w jakiś sposób są temu winni Żydzi? Pukiel jej włosów, który trzymał w pudełku po tabletkach – czemu go zwrócił? Dokładnie widzę kształt i rozmiar specjalnie dla mnie skrojonej samotności, która już nadciąga. Herta daje mi kwiaty, lecz nie kocha. Nie kocha.



*Still, sprich durcb die Blume.* Zamilcz już, mów poprzez kwiat. Wiem, nie należy zrzędzić: choćby dlatego, że prawo zabrania... Przestała się do mnie odzywać. Było to wyłącznie kwestią czasu. Zamilcz już. Pewnego dnia wysiadając z autobusu tylko mi pomachała: do zobaczenia. Wieczorami dalej na nią czekam na przystanku, a potem idę jej śladem do szkoły i aż mi szumi w uszach. Moje spojrzenie straciło dla niej konsystencję: już nie może kazać jej zwolnić kroku albo przystanąć. A teraz Herta całkiem znikła. Na zawsze przepadła jej figurka, zastąpiona pustką dokładnie tych samych wymiarów. Wszędzie jej szukam - a on wcale. Odilo wyleczył się z idiotyczną raptownością. Jego uczucia zdążyły nawet zwrócić się - platonicznie, ale bez przesadnej zmayı - ku jasnobrewemu Reinhardowi. Już nazajutrz profesor zbeształ go za chichotki podczas zajęć z anatomii ogólnej: Rolf i Rudolf stroili sobie żarty ze świeżego trupa kobiety. Cierpię więc samotnie. *Arzt fur Seelisches Leiden* - głoszą wywieszki w oknach na parterze. Lekarz chorych dusz. Chyba właśnie do takiego lekarza powinienem się wybrać. Ostatnio spędzamy wiele czasu w szpitalu - jako gość, pojawiła się bowiem wreszcie nasza matka. Na imię ma, nawiasem mówiąc, Margaret. Odilo i ja wietrzyliśmy nowe mieszkanie, aż jej zapach rozszedł się po wszystkich kątach. Pewnie razem z nią zamieszkamy. Będzie przynajmniej do kogo mówić. Po angielsku. Trochę mi przypomina Irene. Wciąż pyta:

- Gdzie ja jestem? Gdzie jestem?

A Odilo za każdym razem ponuro odpowiada:

- W szpitalu. Na oddziale. *Das Krankenhaus, Mutti. Im Krankenhaus.*

Na czym? Mam ochotę wziąć ją za rękę i powiedzieć: Mamo. Jesteś na planecie, która wygląda jak szklana kula albo jak bila w przewiewnym legowisku z waty. Fruwają wokół niej ptaki. Jesteś

na Ziemi, Mamo.

# CZEŚĆ III

## 8

# Bo kaczki są tłuste

Już w czasach Schloss Hartheimu zacząłem myśleć, żeby wybrać się kiedyś w podróż sentymentalną do Auschwitzu. Do tego siedliska mocy u zbiegu rzek; do miejsca, gdzie ponumerowani Żydzi i ci inni, bez numerów, zstąpili z nieba na ziemię; do miejsca, gdzie przez chwilę nie istniało „czemu”. No i stało się. W 1929. Sporo w sumie przedtem się napodróżowałem, gdyby tak podliczyć służbę wojskową, hufiec pracy, wakacje „Przez Radość Do Siły” i całą resztę, aż uznałem, że pora minęła. Lecz w końcu jednak nadeszła. Miałem trzynaście lat.

Było to podczas wycieczki sfinansowanej przez jedną z organizacji młodzieżowych, które powstały z dawnego *Stahlhelmu*. W pewien ranek bezbarwny od mgły rozbiliśmy obóz na lewym brzegu Soły. Kiedy rozwijałem śpiwór, nic mi się jeszcze nie kojarzyło, chociaż zauważyłem kępy strzałki wodnej, znajomej rośliny o trójkątnych liściach zebranych w kołczany. Tamtej nocy nasunęła mi wiele przeczuć i zburzyła spokój, gdy Odilo spał. Zbudziłem się w ciepłą, pogodną noc pod przepastnym, nieprzełamanym szyfrem gwiazd. Siedzieliśmy przy ognisku, jak to na wycieczce, nucąc, śpiewając i jodłując; potem wziąłem wiadra i wraz z Dieterem, którego Odilo kochał, poszedłem odnieść wodę na płyciznę. I wtedy ujrzałem, jak rzeki spotykają się pod jesienną pełnią, a tory kolejowe raptem kończą bieg.

Przeszliśmy potem gęsiego obok tego miejsca. Stało tam ze dwadzieścia ruder, których cegły sklejał chyba tylko brud

(austriackie koszary artylerii przygotowane na następną wojnę), a trochę dalej parę groteskowo nijakich budynków - jak się dowiedziałem, własność Polskiego Monopolu Tytoniowego. Oświęcim. Auschwitz. Za pobliską brzeziną było już Birkenau: za brzeziną brzeziało Birkenau - miejsce, gdzie żyłem w harmonii z maszyną natury. Wyglądało nędznie i niewinnie. Istotę rzeczy, moc i cudowność zmył czas i pogoda.

Mam trzy lata i mieszkam dość skromnie na południowym skraju miasta Solingen.

Słynie ono z noży, nożyczek i narzędzi chirurgicznych. Ze zlewni, która obejmuje znaczną część Europy Środkowej, noże, nożyczki i narzędzia chirurgiczne spływają do Solingen, gdzie wyrabia się z nich stal. Oferujemy też - i to w całkiem bliskiej okolicy - golfa, jazdę konną, tenis i łucz-nictwo. Ponadto skromne Solingen hołubi pewien dumny sekret. Tak się składa, że tylko ja go znam. Otóż właśnie Solingen jest miejscem narodzin Adolfa Eichmanna. Óóóó... Zamilcz już. Nigdy się nie wygamam. A choćby nawet, kto mi uwierzy?

Ja też niedługo się urodzę. Miejscem moich narodzin będzie ten sam segment, w którym mieszkam. To chyba denerwująca sytuacja, ale nie upadam na duchu. Zresztą chwile przytomności umysłu miewam coraz rzadsze i krótsze. Mój Ojciec, szkielet o niezdrowej cerze, ma tylko pół prawej stopy. Moja Matka to ciepłe ciasto w lodowatym lukrze nocnej koszuli. Jest pielęgniarką w tutejszym domu starców. Każdy dzień Odila to bajeczny narkotyk, lecz i tak musimy sobie czasem popłakać, póki Ojciec nie ukoi bólu, rytmicznie podrywając grzechoczącą rękę. Potem znów jesteśmy szczęśliwi (i tylko byśmy broili). Wiara Matki zapewnia nam wstawiennictwo, ale to on ma władzę. Ranek grucha Odilowi i mnie

w języku, który wyłącznie my dwaj rozumiemy. Do Matki mówimy na przykład:

- Mamusiu? Kury są żywe. Możemy je złapać i upiec... a wtedy już nie żyją! Ale nie wolno zjadać kurek. Kureczek zjadać nie wolno. Bo kureczki są dobre. Można je tylko głaskać i w ogóle. Za to wolno zjadać kaczkę. Bo kaczki są tłuste.

Zaraz. Jakaś pomyłka. Pomyłka. Kategoria... Nazwieźliśmy. Nawpędzili. Nazwieźliśmy, nawpędzili, odbrali ich samym sobie. Czemu tyle dzieci i bobasów? Co nas napadło. Czemu aż tyle ich zdieciatkowaliśmy w śmierciarni, my lekarze? Byliśmy okrutni: przecież dzieci i tak niedługo miały tu zabawić. Do mnie należał wybór, no nie? Czemu? Bo bobasy są tłuste?... Lecz teraz jesteśmy daleko, biegiem przez pole, na którym wszystko, co żywe, rozkwita z desperackim wyuzdaniem, i co sekunda miotamy się między radością a zgrozą, z głową pełną nonsensownych zastrzeżeń wobec nonsensownych przesłanek, bezwiedni i niewinni, nigdy nikogo nie znaleźliśmy, nawet Irene, nawet Rosy, nawet Herty, nawet Żydów i tych innych, co to ich zrobiłem.

Tylko Matkę. Jesteśmy już z nią mocno spoufalerzeni, a jak dobrze pójdzie, jeszcze bardziej się zbliżymy. Będę mógł na przykład co dzień i co noc spędzać długie godziny w jej ramionach, całując piersi. (Będzie wolno. On nie zdoła przeszkodzić.) Aż w końcu naszą cielesną więź zadzierzgną nożyczki Solingen. Kiedy w nią wejdem, jakże będzie szlochać i wrzeszczeć. Że odszedłem. Nawet Odilo nie wie, jak bardzo Matka tkwi w naszej mocy i jak nas kocha: gdy przychodzi w nocy, poprawia nam kocyk, maca czoło i płacze ze zmartwienia, że jesteśmy chorzy, Odilo jej nie czuje...

Wkrótce Ojciec będzie miał ją wyłącznie dla siebie. Chyba jest zagłodzony. Chudy jak *Musselmann*. Przy jedzeniu za mało z siebie daje. Za mało - nie dość, żeby utrzymać duszę w ciele. Z ukrytym

szyderstwem mówię na niego *Fatti* - „grubasek”. Ma zajadłe, bezlitosne, przegrane spojrzenie: jak sadza w oczach, w twarzy strzaskanej, zgryzionej klęską i bólem nie zagojonych ran. Ale pewnie wydobrzeje - po wojnie. Zmasakrowana stopa też mu wydobrzeje. Oczywiście nie mogę ojcu wybaczyć tego, co musi mi zrobić. Wtargnie i zabije mnie własnym ciałem. Odilo też wie to i czuje.

Muszę ostatni raz się sprężyć, jeszcze na chwilę zebrać myśli, uporządkować słowa. W sumie najbardziej obchodzą mnie kwestie czasu: pewnych trwał. Żydom i tak za długo kazano czekać na miejskich placach, w dodatku z rozkapryszonymi dziećmi, a teraz już wiem, jakie bywają trudne, kiedy zaczną tworzyć: jak łatwo rozpada im się świat. Żydom za długo kazano czekać latem na łąkach pod mknącym niebem, podczas łączenia rodzin nazbyt długo trzymano ich w niepewności, w zawieszeniu, gdy dzieci biegały to tu, to tam, i nagle nieruchomiały z dłońmi uniesionymi jak szpony, szukając, a na ziemi co parę metrów niemowlęta w chustach, zapłakane, bo rodzice jeszcze nie gotowi, za długo, dużo za długo... Sny Odila to ostatnio same barwy i dźwięki, zachwycające albo pełne grozy, lecz bez treści, już całkiem bez.

Staje na chwilę, w polu. Tylko na chwilę. Największą jednostkę jego czasu. Musi działać, póki dzieciństwo trwa, póki wszystko towarzyszy w zabawie - nawet własna kupka. Musi działać, póki dzieciństwo trwa, zanim ktoś przyjdzie i je skonfiskuje. Bo w końcu przyjdą. Mam nadzieję, że lekarz ubierze się ładnie, odpowiednio, a nie w ten biały kitel i czarne buty, które przecież... to ja w nich pomykam. Pomyłka. Pomyłka. Nazwieźliśmy, nawpędzili. Patrz! Hen,

u podnóża stoku porośniętego sosnowym lasem schodzą się łuczniczki z tarczami i łukami. W górze takie światło, jakby zawodził

wzrok, a niebo tłumi nudności. Niezliczone niuanse nudności. Kiedy Odilo zamyka oczy, widzę strzałę lecącą w powietrzu - ale odwrotnie. Grotem naprzód. Och, nie, choć z drugiej strony... Znow biegniemy, lecimy biegiem przez pole. Odilo Unverdorben i jego ochocze serce. A w środku ja, przybyły nie na czas - może przedwcześnie, może grubo za późno.



# Postowie

Książkę tę dedykuję swojej siostrze Sally, która jako całkiem małe dziecko oddała mi dwie niezmiernie istotne przysługi. To ona wzbudziła we mnie instynkt opiekuńczy; jej też zawdzięczam może nie najwcześniejsze, ale z pewnością najbardziej nasycone i promienne wspomnienie dzieciństwa. Miałem wtedy cztery lata, a ona może pół godziny.

Winien też jestem ogromną wdzięczność Robertowi Jay Liftonowi, mojemu przyjacielowi. Dwa lata temu zacząłem nosić się z pomysłem, żeby opowiedzieć czyjeś życie od końca. Pewnego popołudnia po pełnym emocji (jak zwykle) starciu na korce Lifton podarował mi swoją książkę *The Nazi Doctors*. Bez niej nigdy bym nie napisał tej powieści. Równie ważną rolę odegrały zapewne książki Primo Leviego, a zwłaszcza *Czy to jest człowiek*, *La Tregua*, *I sommersi e i sahati* oraz *Lilit e altń racconti*. Inni pisarze, którzy w ten czy inny sposób bardzo mi pomogli, to Martin Gilbert, Gitta Sereny, Joachim Fest, Arno Mayer, Erich Fromm, Simon Wiesenthal, Henry Orenstein i Nora Waln. Miałem też w pamięci pewne opowiadanie Isaaca Bashevisa Singera i jeden - słynny - akapit Kurta Yonneguta. (Pominę tu autorów tekstów medycznych, nad którymi ślęczałem bez entuzjazmu; lecz miło mi jest podziękować Lawrence'owi Shainbergowi za jego zajmującą i wstrząsającą książkę *Brain Surgeon*.) Uczucia, jakie w każdym z nas budzi ten temat - czyli Zagłada - wyłaniają się i rozwijają również dzięki rozmowom, w ciągu długich lat. Jestem wdzięczny swoim rozmówcom, a byli nimi między innymi: moja żona, Antonia

Phillips; mój ojciec, Kingsley Amis; ojczym żony, Xan Fielding; szwagier i szwagierka, Chaim i Susannah Tannenbaum; drugi szwagier, Matthew Spender; a także Tom Maschler, Peter Foges, Piers i Emily Read, John Gross, Christopher Hitchens, James Fox, Zachary Leader, Clive James, Joseph Boothby, Sholom Globerman, Ian McEwan, Saul i Janis Bellow, Edmund i Natalia Fawcett, Jonathan Wilson, Michael Pietsch i David Papineau.

Zastanawiałem się, czy nie zatytułować tej książki *Natura występku* - określeniem wziętym z Primo Leviego. Rzeczony występki był zaś takiej natury, że samobójstwo Leviego należy może uznać za akt ironicznego heroizmu, deklarację mniej więcej tej treści: Nikt prócz mnie nie ma prawa odebrać mi życia. Był to występki jedyny w swoim rodzaju - nie z powodu okrucieństwa czy tchórzostwa sprawców, ale z racji sposobu, w jaki go popełnili, łącząc atawizm z nowoczesnością: w stylu gadzio-logistycznym. Sam ten występki nie definiuje niemieckości, lecz jego styl - owszem. Narodowi socjaliści zlokalizowali rdzeń gadziego mózgu i doprowadzili doń swoją *Autobahn*. Projektowane z myślą o szybkości i bezpieczeństwie, no i o tysiącletnim trwaniu, *Reichsautobahnen* - jak może Państwo pamiętać - miały wtapiać się w krajobraz harmonijnie niczym ogrodowe ścieżki.